

Aktualny jak Stanisław Lem
W setną rocznicę urodzin

Prof. Andrzej Romanowski
Sami sobie obrzydziliśmy Polskę

Ameryka Łacińska
odchodzi od Kościoła

Podwyżki cen
prądu coraz bliżej

Amerykańskie imperium WOJNA ZA WOJNĄ KŁĘSKA ZA KŁĘSKĄ



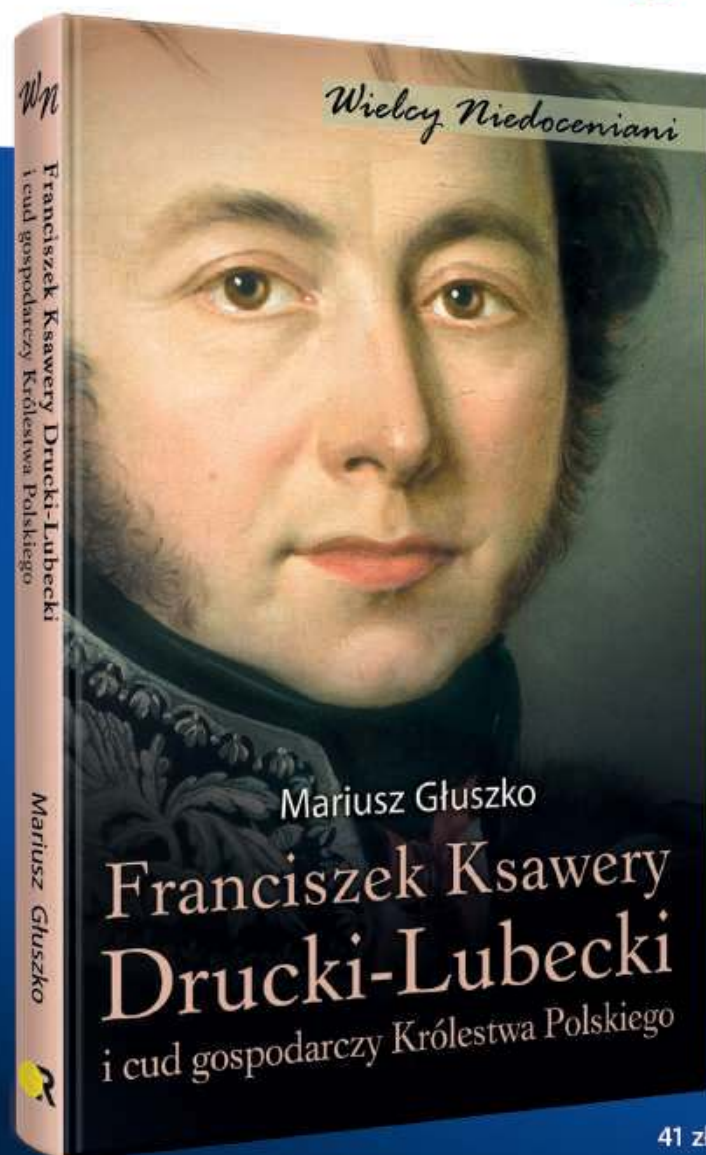
ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



Kup książkę PRZEGLĄDU

Reformator, który uratował Królestwo Polskie

Przekonał cara i zreformował gospodarkę



E-BOOK
19,90 zł

41 zł

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 41 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.

W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.



Stan (bardzo) wyjątkowy

Konstytucja przewiduje możliwość wprowadzenia trzech stanów nadzwyczajnych: stanu wojennego, stanu wyjątkowego i stanu klęski żywiołowej. Można je wprowadzić „w sytuacjach szczególnych zagrożeń, jeżeli zwykłe środki konstytucyjne są niewystarczające”. To „szczególne zagrożenie” ma dotyczyć „konstytucyjnego ustroju państwa, bezpieczeństwa obywateli lub porządku publicznego”. Wprowadzenie takiego stanu wymaga zatem wykazania, że owo szczególne zagrożenie rzeczywiście występuje i że ustawowe uprawnienia policji, straży granicznej, ABW, żandarmerii wojskowej i wszystkich innych służb, których mamy w Polsce nadmiar, byłyby niewystarczające do jego usunięcia.

W rozporządzeniu wprowadzającym stan wyjątkowy prezydent mówi jedynie, że wprowadza go „w związku ze szczególnym zagrożeniem bezpieczeństwa obywateli oraz porządku publicznego związanego z obecną sytuacją na granicy państwowej Rzeczypospolitej i Białorusi”. Chcielibyśmy wiedzieć, na czym to „szczególne zagrożenie” polega. Czy stanowi je owa grupa trzydziestu kilku uchodźców przetrzymywanych na granicy od kilku tygodni, w warunkach urągających godności ludzkiej, w imię ważnych celów politycznych?

Jakich to uprawnień zabrakło policji i straży granicznej, że sięga się po środki inne niż konstytucyjne? Nawet bu-

dowa polskiej linii Maginota z drutu kolczastego mieści się w uprawnieniach konstytucyjnych polskich władz i nie wymaga sięgania po środki nadzwyczajne.

Przedstawiciele rządu mówią o zagrożeniu nadchodzącą nową falą uchodźców, których Łukaszenka podobno samolotami przywozi z krajów arabskich. To co, ten stan wyjątkowy będzie trwał aż do upadku białoruskiego satrapy? Mariusz Kamiński wspomina o wspólnych manewrach białorusko-rosyjskich, które mają się odbywać niedaleko polskiej granicy... Brzmi to złowieszczo, tyle że takie manewry odbywają się na Białorusi cyklicznie. Jeśli stan wyjątkowy ma być odpowiedzią na manewry, to nie tylko Łukaszenka, ale i Putin dostają od nas instrument do destabilizowania sytuacji w Polsce. Wszak w czasie takiego stanu, a nawet 90 dni po jego zakończeniu, nie można będzie przeprowadzić żadnych wyborów. Aby zablokować u nas wybory, wystarczy więc zapowiedzieć manewry blisko polskiej granicy.

Obawiam się, że chodzi tu o coś zupełnie innego. O usunięcie z granicy dziennikarzy, wolontariuszy organizacji humanitarnych, aby swobodnie sobie poczynać w tajemnicy przed społeczeństwem. I jeszcze jedno. Straszanie bliżej nieokreślonym „szczególnym zagrożeniem” budzi w społeczeństwie lęk. A PiS wielokrotnie wykazało, że społecznymi lękami umie administrować znakomicie.

GARMOND bez „Przeglądu”

Ręce opadają. Po RUCH-u, od którego wydawcy nie dostali pieniędzy za sprzedane gazety, mamy powtórkę. Spółka GARMOND nie zapłaciła nam jeszcze za luty! Kończymy z tą hucpą. Nie szukajcie nas już w sieci GARMONDU. Część nakładu przejmuje KOLPORTER i jego punkty, m.in. Żabka, Delikatesy Centrum, Dino, Stokrotka, Netto, Carrefour Polska, Smyk i Kaufland.

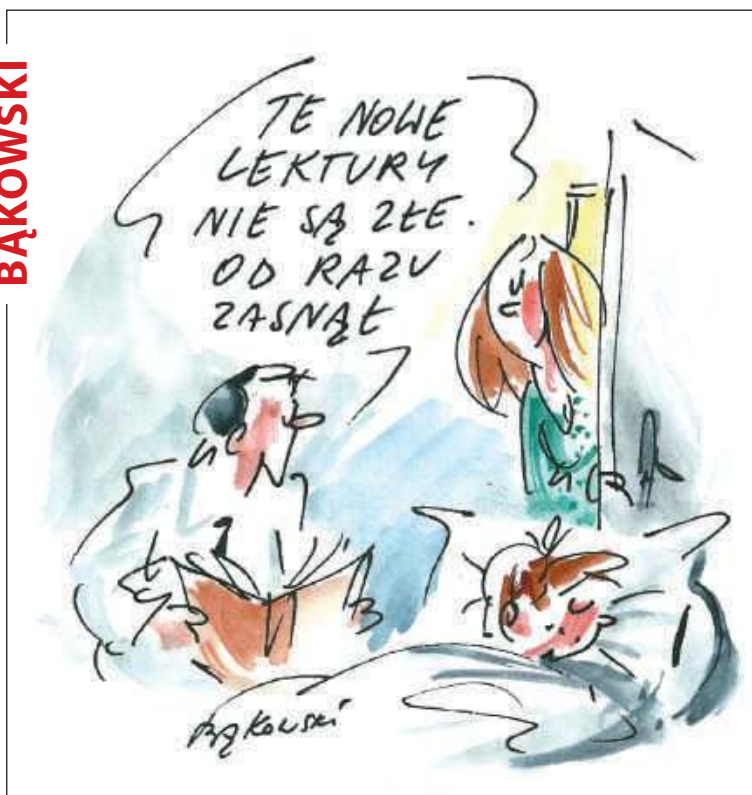
Dziękujemy KOLPORTEROWI za pomoc w tej dramatycznej sytuacji. Nasz tygodnik mają również LTR (saloniki Immedio, Relay), Pol Perfect i wszystkie Empiki.

Zachęcamy do zamawiania „Przeglądu” w najbliższych kioskach i sklepach. Sprzedawcy mają obowiązek przyjmowania zamówień, a my, musimy go tam kupować. Przepraszamy tych, którzy mają teraz kłopot.

KOLPORTER
Lagardère
TRAVEL RETAIL

POL LOGISTIC
PERFECT

BAKOWSKI



W NUMERZE

ZAGRANICA

- 8 Długi cień zamachów**
Amerykańskie imperium – co poszło nie tak
- 30 Afganistan czy kalifat**
Mozaika radykalizmów
- 32 Nowi przyjaciele talibów – cz. II**
Chiny, Pakistan, Iran i Rosja w koalicji
- 34 Kto mediom zabroni**
Dziennikarze demaskują polityków
- 38 Nie jestem pacyfistą, jestem przeciwko wojnie**
Odszedł Gino Strada
- 41 Zachód słońca nad imperium**
Korespondencja z Hondurasu

KRAJ

- 12 Likwidować należy z głową**
Alternatywa dla szpitali
- 16 Pod wysokim napięciem**
Prąd coraz droższy
- 19 Najczęściej zakończenia są szczęśliwe**
Jak szukać zaginionych
- 22 Pokolenie pozytywnych indywidualistów**
– rozmowa z Agnieszką Staszczak
- 26 Piętno dzieciobójcy – cz. II**
Ojciec z piekła rodem
- 29 Być człowiekiem wobec uchodźcy**
Opolszczyzna udzieliła schronienia
- 52 W stadzie pędzących bizonów**
– rozmowa z Markiem Głogoczowskim

SYLWETKI

- 15 Na stulecie urodzin Stanisława Lema**

OPINIE

- 44 Wiesław Stebnicki**
Lewicowa agonia
- 46 Andrzej Romanowski**
Czym jest polskość

HISTORIA

- 50 Bitwa pod Ewiną**
Zapomniane walki partyzantów AL

KULTURA

- 54 Zarobić na polskim wzornictwie**
Perełki na śmietnikach
- 57 Culturalia**
- 66 Feminizm. Sztuka kobiet**

PSYCHOLOGIA

- 58 Para u psychoterapeuty**
– rozmowa z Ewą Błaszczuk-Malik

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jan Widacki**
Stan (bardzo) wyjątkowy
- 25 Roman Kurkiewicz**
Stan wyjątkowy, stan wymarzony
- 33 Andrzej Szahaj**
Jakie państwo dobrobytu?
- 37 Tomasz Jastrun**
Drut kolczasty
- 45 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Czego nam zabraknie
(kiedy zabraknie nam kampu)

22

KRAJ

POKOLENIE POZYTYWNYCH INDYWIDUALISTÓW

– rozmowa
z Agnieszką Staszczak



41

ZAGRANICA

ZACHÓD SŁOŃCA NAD IMPERIUM

Korespondencja
z Hondurasu



54

KULTURA

ZAROBIĆ NA POLSKIM WZORNICTWIE

Perełki na śmietnikach

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. REUTERS/FORUM





Krótką pamięć polskiej emigracji

Różnica między polskimi emigrantami z okresu stanu wojennego a uciekinierami z Afganistanu jest istotna. Polacy w stanie wojennym wyjeżdżali z kraju, bo im się nie podobał ustrój polityczny. Afgańczycy uciekają przed śmiercią z rąk talibów. O tym warto pamiętać.

Leszek Kłoch

Tu chodzi nawet nie o to, czy Polacy są komuś cokolwiek winni, ale o zwykłą ludzką przyzwoitość. Ale kto dziś zna takie pojęcie... Przy okazji w rocznicę gratuluję Solidarności jej „osiągnięć” i „dokonań”.

Małgorzata Markiewicz



Nieżyły gips

Projektów unijnych się nie rozlicza. Po co? Żeby wykazać niegospodarność? Nie zależy na tym ani dzielnym, ani biorącym fundusze. Przykład – stanica kajakowa w Przedborzu. Od

trzech lat pies z kulawą nogą do niej nie zajrzał. Ale środki pozyskane? Pozyskane! Wydane? Wydane! Przedwyborcze otwarcie i zdjęcie do biuletynu były? Były! Czy ktoś skontrolował, czy obiekt zgodnie z założeniem jest funkcjonalny? Nie. Bo po co?

Paweł Zięba

Solidarność, moja miłość

Nie wiem, skąd ten sentyment red. Romana Kurkiewicza do Solidarności. Już w 1980 r. było wiadomo, w jakim kierunku to zmierz. W październiku po raz pierwszy zaświeciły puste półki. W 1981 r. wszystko było widoczne jak na dłoni, zwłaszcza po I zjeździe Solidarności (rozkoszne dzieciactwo z bacikiem – szczyt hipokryzji). Mam jeszcze ulotki z tamtych czasów, z instrukcjami na wypadek wojny z ZSRR włącznie. Cała reszta to był sztafaż, dekoracje, socjotechnika... Lud kocha bajki.

Marek Głowinkowski



Ta pierwsza Solidarność trwała do powołania regionów, obsadzenia ich swoimi ludźmi i odsunięcia prawdziwych przywódców, którzy wytonili się w zakładach pracy, zostali zaakceptowani przez załogi. Wielu z nich bezpodstawnie oskarżono o współpracę z bezpieczeństwem, po prostu ich skrzywdzono. Na przełomie 1980 i 1981 r. ta robotnicza, pracownicza, 10-milionowa Solidarność praktycznie się skończyła. Cały ruch był niczym innym jak pierwszą kolorową rewolucją w całości zorganizowaną przez tych samych ludzi, którzy nadal trzymają nas w garści. Wielkie oszustwo!

Laura Hailer

ZDJĘCIE TYGODNIA

Obozowisko uchodźców na granicy polsko-białoruskiej. Straż graniczna od trzech tygodni nie wpuszcza ich do Polski, a białoruscy pogranicznicy nie pozwalają im wrócić na Białoruś. W przygranicznym pasie części Lubelskiego i Podlaskiego wprowadzono na 30 dni stan wyjątkowy.





PYTANIE TYGODNIA

Czy dostęp dzieci do gier online powinien być limitowany?

DR MACIEJ DĘBSKI,

socjolog, Fundacja Dbam o Mój Z@sięg

Dostęp dzieci do cyfrowej rozrywki zdecydowanie powinien być kontrolowany, przede wszystkim na poziomie domu. Międzynarodowa Organizacja Zdrowia wpisała zaburzenie związane z uzależnieniem od gier do klasyfikacji chorób, więc musi coś być na rzeczy. Kontrola jest potrzebna również dlatego, że liczba osób grających i przeciętny czas spędzany przed ekranem znacznie się zwiększyły w porównaniu do czasu sprzed pandemii. Trzecim powodem, dla którego ograniczenia są niezbędne, jest to, że bardzo wiele młodych osób nie ma kompetencji samo-kontroli, co dotyczy zresztą także części graczy dorosłych. Co istotne, rodzicielska kontrola powinna dotyczyć też jakości gier. Wiele z nich rozwija kreatywność, uczy dbania o klimat, zdrowie czy oszczędzania, ale są i takie, które nic dzieciom nie dają, mimo że z badań naszej fundacji wynika, że tych korzyści widzą one bardzo dużo.

DOROTA JAWORSKA,

psycholożka, psychoterapeutka

Dostęp dzieci do wszelkich zasobów internetu powinien być uważnie limitowany przez rodziców. W sieci jest mnóstwo treści, z których mogłyby dowiedzieć się za dużo o rzeczach, na które nie są jeszcze gotowe, fake newsów, ale i zagrażających gier. Wiele cyfrowych rozrywek jest dostosowanych do rozwoju psychofizycznego najmłodszych graczy, ma wartość edukacyjną, rozwija percepcję

czy zdolności poznawcze, ale dzieciaki wolą raczej gry przeznaczone dla starszych albo wręcz dla dorosłych. Tak to już jest, że są one dla nich atrakcyjniejsze niż treści odpowiednie dla ich wieku.

GRZEGORZ BOBREK,

telewizja dla graczy TVGRY.pl

Uważam, że to rodzice powinni mieć ostatnie słowo w kwestii dostępu swoich dzieci do rozrywek. Każde twarde ograniczenie jest łatwe do obejścia, szczególnie przez starsze dzieci i młodzież. Do tego dochodzi kwestia, czy limit grania idzie w parze z limitem czasu na inne rozrywki. Czy rodzice dają dobry przykład, czy może sami spędzają pół dnia, oglądając seriale? Poza tym problem sprowadza się do gier online, podczas gdy gry niewymagające dostępu do sieci potrafią być równie wciągające. Nie miejmy złudzeń, gry dzisiaj potrafią korzystać z behawioralnych sztuczek, a problemu takiego ich projektowania nie rozwiąże narzucony limit. Zadałbym raczej pytanie, dlaczego tak często gry udają darmowość, a pełne mikrotransakcje, mają estetykę skierowaną do młodszych odbiorców.

IZA JOLANTA KAMIŃSKA,

czytelniczka PRZEGLĄDU

Fachowcy zwracają uwagę, że uzależnienie od gier komputerowych staje się poważnym problemem. Tyle tylko, że zamiast limitowania lepiej zacząć od edukacji – wszystkich.



Not. Michał Sobczyk

Długi cień zamachów

Pomimo najdłuższej wojny w amerykańskiej historii znów u władzy w Afganistanie są talibowie. Co poszło nie tak?

Jakub Dymek

Jest 11 września 2021 r. Prezydent Joe Biden podczas podniosłej gali przemawia do zgromadzonych Amerykanów. Wśród honorowych gości obok rodzin i potomków ofiar zamachów są prezydenci demokratycznego Iraku i Afganistanu, a bardzo eksponowane miejsca przeznaczono także dla kobiet – liderki społeczeństwa obywatelskiego w tych krajach. Media z wielkim namaszczeniem odnotowują, że są wśród nich członkinie parlamentów i ambasadorki, których dłonie ściskają aktualna pierwsza dama, Jill Biden, i Michelle Obama. Cała ceremonia symbolicznie łączy 11 września 2001 r., tragedię narodu amerykańskiego sprzed 20 lat, z ostatecznym zwycięstwem demokracji i pokonaniem fundamentalizmu

Polska nieproporcjonalnie mocno do zagrożenia i więzi z Ameryką przeżyła zamachy.

islamskiego jako liczącej się siły na świecie. Dzięki poświęceniu żołnierzy na misjach oraz medyków i ratowników na miejscu, dzięki wysiłkom dyplomatów oraz kolejnej generacji przywódców Ameryka i świat są dziś bezpieczniejsze.

Ten scenariusz się nie zrealizuje. Ale wcale nie jest tak odległy od tego, co urzędujący prezydent – czwarta już głowa państwa czasów wojny z terroryzmem – chciał powiedzieć. Przynajmniej do niedawna. Biały Dom planował wykorzystać historię, a historia się odwinęła. Nieprzypadkowo przecież zapowiedziano, że amerykańscy żołnierze zostaną wycofani z Afganistanu najpóźniej do 11 września. Jeszcze w środku lata do mediów z Waszyngtonu płynęły sygnały, że wszystko postępuje zgodnie z planem, a prezydent planuje przemówienie, w którym – tu cytat – pokaże, jak domknął się „20-letni rozdział historii”.

W przewrotnym sensie niestety tak się stało. Ale tylko dlatego, że pomimo najdłuższej wojny w amerykańskiej historii znów u władzy w Afganistanie są talibowie, dochodzi do krwawych zamachów, a jastrzębie polityki zagranicznej przekonują, że odpowiedzią na nieudaną wojnę jest jeszcze więcej wojny. Pod tym względem rzeczywiście rok 2021 i 2001 wiele łączy.

Globalny strach

Dwie dekady temu porwane przez członków Al-Kaidy samoloty uderzyły w Pentagon i w biurowce WTC, wówczas jedne z najwyższych budynków na świecie. „Gdziekolwiek byście byli, dosięgnie was śmierć, nawet gdybyście byli na wyniosłych wieżach” – to zdanie z Koranu, powtarzane często jak wróżba czy

groźba przez Osamę bin Ladeną, było również sygnałem dla zamachowców do rozpoczęcia akcji. Oba

górujące nad panoramą Nowego Jorku drapacze chmur zawaliły się nieco ponad 100 minut od pierwszego uderzenia. Obraz płonących budynków i unicestwienia jednego z symboli Ameryki miałyby olbrzymi propagandowy skutek bez względu na wszystko – nawet gdyby nikt nie stracił wtedy życia. Ale w Nowym Jorku zginęły 2753 osoby, nie licząc porwaczy, a wszystkich niewinnych ofiar 11 września, łącznie z załogami i pasażerami czterech porwanych samolotów, ratownikami czy strażakami, było prawie 3 tys. Zdjęcia płonących wież stały się ikonicznymi obrazami końca milenium i początku nowego wieku.

Choć porwacze byli w większości podobnie jak bin Laden Saudyjczykami, dowodził nimi Egipcjanin, a główny pomysłodawca ataków pochodził z Pakistanu, to konsekwencje i szok rozlały się

po całym świecie. Nawet jeśli niekoniecznie w pierwszym szeregu w ojczyznach autorów ataku. „Wydarzyło się coś, co jest poza naszymi wyobrażeniami, poza dotychczasowymi doświadczeniami i co prawdopodobnie powoduje, że nie tylko ten świat nie będzie taki sam, ale i my sami nie będziemy już tymi ludźmi, co jeszcze wczoraj”, mówił 11 września 2001 r. prezydent Aleksander Kwaśniewski. Miał rację. Polska nieproporcjonalnie mocno do zagrożenia i więzi z Ameryką przeżyła zamachy. Po części dlatego, że właśnie wtedy startowały w naszym kraju całodobowe kanały informacyjne, a powszechniejszy stał się dostęp do internetu. Śledziliśmy tragedię zamachów i wojen z terrorem po raz pierwszy jako pełnoprawni odbiorcy światowego obiegu informacyjnego, a nie tylko ubożsi i peryferyjni kuzyni.

Bezpośrednie zagrożenie islamskim terroryzmem dla naszego kraju nigdy nie było duże. Nawet tego tragicznego pierwszego dnia przypominał to rodakom Kwaśniewski, studząc nieco rozgorączkowanie zarówno komentatorów, jak zwykłych obywateli. Ale to nie powstrzymało Polski przed zaangażowaniem się w wojnę z terrorem. Jako jedno z pierwszych państw ogłosiłszy żałobę narodową, dołączyliśmy do montowanej przez prezydenta Busha antyterrorystycznej koalicji, wystaliśmy wojska zarówno do Iraku, jak i Afganistanu, a w końcu pozwoliliśmy amerykańskiej CIA na prowadzenie w Polsce tajnych ośrodków, okrytych nieślawą *black sites*. Przez 20 kolejnych lat w misjach w Afganistanie wzięło udział ponad 33 tys. żołnierzy Wojska Polskiego i pracowników cywilnych. Życie straciło 44 ludzi – 43 żołnierzy i jeden ratownik medyczny. Jak szacuje w wydanej przez Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej książce o misji w Afganistanie Jacek Zygmunt Matuszak, koszt naszych działań sięgnie w 2021 r. 6 mld zł.



Jedną z 2753 ofiar zamachu na WTC w Nowym Jorku 11 września 2001 r. był kapelan nowojorskiej straży pożarnej, ks. Mychal Judge.

I choć w następstwie wydarzeń z 11 września Polacy gorliwie popierali amerykański odwet na Al-Kaidzie i mówili, że Polska powinna militarnie wesprzeć USA – prawie 80% badanych przez CBOS wyrażało ten pogląd we wrześniu 2001 r. – to entuzjazm wygaśł równie szybko, jak się pojawił. W kolejnych latach niechęć do zbrojnego udziału Polaków w wojnie z terrorem stała się powszechna wśród rolników, osób słabiej wykształconych albo mniej

zaangażowania w Afganistanie, mało kto uznał to za informację wartą dłuższego komentarza czy refleksji.

Wielec niż ironia

Pisząc o okrągłej rocznicy zamachów z 11 września, łatwo popaść w patos i banał. Albo odwrotnie: w cynizm, *schadenfreude* i złośliwą satysfakcję z porażki imperium. Stwierdzenie, że nic się nie zmieniło przez 20 lat i sytuacja wróciła do

antyzachodniego terroryzmu wracają do swoich dawnych domów i przy-czołków. Trudno więc o gorszy dla amerykańskiego morale obrazek.

„Wall Street Journal” nieco okrutnie ogłasza, że rocznica będzie należeć do talibów. Elliot Ackerman, były żołnierz, oficer CIA i doradca administracji Obamy, nazwał na łamach „Foreign Affairs” amerykańskie zwycięstwo nad terroryzmem *ugly victory* – zwycięstwem „ohyd-nym”. Carter Malkasian, najczęściej obecnie cytowany kronikarz wojny w Afganistanie, autor właśnie wydanej największej monografii tego konfliktu, pisze: „Ostatnie, czego bym

chciał, to odciąć się od mojej obecności w Afganistanie, od afgańskiego doświadczenia Ameryki i służących tam ludzi. Chciałbym obok zła widzieć dobre strony i szczery wysiłek Amerykanów i Afgańczyków próbujących naprawić swój kraj. (...) Ale być może zrobiliśmy więcej szkody niż pożytku. (...) Czy dobre rzeczy, jakich dokonaliśmy, były warte przemocy, śmierci i cierpienia, jakie stały się udziałem Afgańczyków? ▶

W 2019 r. po raz pierwszy połowa weteranów sił zbrojnych powiedziała, że nie warto było walczyć w Syrii, Iraku i Afganistanie.

interesujących się polityką i mieszkańców prowincji. Jednak obydwie partie, które zdominowały Polską politykę po 2004 r., PO i PiS, były równie nieugięte w swoim poparciu dla misji, a głosy Polaków przestraszonych czy niechętnych wojnie z Irakiem popłynęły do Samoobrony, LPR i kolejnych partii protestu. Z czasem jednak wszystkie te emocje wyparowały – gdy prezydent Andrzej Duda ogłaszał wiosną 2021 r. koniec polskiego

punktu wyjścia, jest trochę na wyrost. Ale nawet stateczna BBC odnotowuje teraz, że główny i – wydawałoby się – najmniej kontrowersyjny element amerykańskiego odwetu na Al-Kaidzie, czyli wypędzenie jej z Afganistanu i ucięcie głów terrorystycznej hydry, stoi pod znakiem zapytania. Podobno już teraz kolejna generacja naśladowców nieżyjącego Bin Ladena i wypuszczeni z więzień w Pakistanie i Afganistanie weterani

► Powinniśmy nabrać dystansu i zadać sobie pytanie: czy w imię powstrzymania terroryzmu dla naszego bezpieczeństwa, wyzwoliliśmy czy dalej uciskaliśmy ten naród?”.

Jen Psaki, rzeczniczka Białego Domu, niedawno zaś przyznała brutalnie i szczerze, że ironia to za słabe słowo, by opisać położenie Ameryki w ostatnich dniach. Konkretnie chodziło o fakt, że aby zapewnić bezpieczeństwo ewakuującym się z Afganistanu Amerykanom, USA negocjują dziś z tą samą siłą, którą 20 lat temu obiecały odsunąć od władzy i zniszczyć. Teraz, czemu trudno się dziwić, rocznica zamachów z 11 września 2001 r. odbierana będzie przez filtr wydarzeń ostatnich tygodni.

Ale błędem byłoby zredukowanie skutków zamachów i następstw tzw. wojen z terrorem do kilku prostych obrazków i błędów tego czy innego prezydenta – niemądrego Busha, hamletyzującego Obamy,

W kluczowych dla globalizacji i rozwoju technologii cyfrowych pierwszych latach XXI w. cały zachodni świat uważał przecież za największe zmartwienie po kolei Al-Kaidę, talibów, Saddama Husajna i Irak, a potem kolejne mutacje Al-Kaidy i antyamerykańskie powstania w regionie. Gdy dekadę po zamachach z 11 września udało się zabić Osamę bin Lade- na, mogło się wydawać, że razem z nim pogrzebana zostanie idea wojny z terrorem. Chwilę później wybuchła jednak arabska wiosna, a za nią kolejne wojny domowe. Powstała „próżnia władzy” wypełniło zbrodnicze ISIS, niedoszły kalifat na ziemiach upadłych państw i na trupach. Zachód znalazł kolejnego wroga, w niektórych aspektach nawet bardziej przerażającego. A skutki kolejnej dekady walki z islamskim fundamentalizmem zapukały



Chaotyczna ewakuacja na lotnisku w Kabulu, 16 sierpnia 2021 r.

Największymi ofiarami dziedzictwa zamachów z 11 września są niewinni ludzie ginący w działaniach zbrojnych, w zamachach i na szlaku uchodźczym do Europy.

nieprzewidywalnego Trumpa. Świat wsiadł 20 lat temu na wspólną łąkę z Ameryką i chcąc lub nie, przez długi czas wszyscy żyliśmy w ramach nakreślonych świata u progu XXI w. przez zamachy z 11 września, islamski terroryzm i odpowiedź na niego. Jedni, jak Polska, trwali uparcie przy USA i konsekwentnie dzielili amerykańską diagnozę świata, niezależnie od tego, kto rządził w Waszyngtonie i Warszawie. Drudzy, jak Rosja czy Francja, szybko się odkleili.

Dziś najmodniejsza teoria każe zaś mówić, że koniec końców i tak zwyciężką okazały się Chiny, które mogły robić swoje i się rozwijać.

wtedy i do Europy – pod postacią zamachów terrorystycznych i setek tysięcy uchodźców.

Ogon 2001 r. był naprawdę długi.

Zmęczeni wieczną wojną

Pytanie, czy było warto, należy pewnie w pierwszym rzędzie zadać bliskim i potomkom ofiar zamachów z 11 września i wszystkich późniejszych. Oni z pewnością, oglądając obrazy z Kabulu, zadają sobie to pytanie. Amerykańskie społeczeństwo w sprawie konieczności kontynuowania wojen i wysyłania żołnierzy do Afganistanu i Iraku wypowiedziało

się już dość wyraźnie. Najpierw wybierając w 2016 r. prezydenta, który z zakończenia obu wojen uczynił jedną ze swoich podstawowych obietnic. Potem wybierając następcę, który choć wywodził się z przeciwnej partii, akurat w tej sprawie składał równie jednoznaczne deklaracje.

Wyborcy republikanów i demokratów różnili się w sprawie tego, jak zdecydowanie należy się wycofać z wojen w Iraku i Afganistanie, ale byli coraz bardziej zgodni, że udział w tych konfliktach należy czym prędzej ograniczyć. W ostatnich latach jednak, co było rzadkim przypadkiem ponadpartijnej zgody, dwie trzecie Amerykanów zaczęło deklarować w kolejnych sondażach, że wojny „nie były warte” swojej ceny. Jeszcze większym ciosem dla idei „wiecznych wojen” Ameryki stały się opinie weteranów. W 2019 r. po raz pierwszy w historii podobnych badań ponad połowa weteranów sił zbrojnych powiedziała badaczom Pew Research Center, że nie warto było walczyć w Syrii, Iraku i Afganistanie. Stopień niechęci do afgańskiego konfliktu, który przez lata uchodził za „dobrą” i „właściwą” wojnę, zrównał się wśród żołnierzy z opinią całego społeczeństwa i dobił

Odszedł

Bronisław Stępień

Mądry i dobry człowiek. Przyjaciół.
Powszechnie szanowany za gigantyczną pracę i życzliwość.
Działacz studencki, społecznik, wieloletni, legendarny
wiceprezes RSW „Prasa-Książka-Ruch”.
Bardzo nas wspierał w czasach „Sztandaru Młodych”.
Rodzinie Bronisława serdecznie współczuję

Jerzy Domański



Ofiary i obietnice

Największymi ofiarami dziedzictwa zamachów z 11 września są oczywiście niewinni ludzie ginący w działaniach zbrojnych, w zamachach i na szlaku uchodźczym do Europy. Zespół projektu *The Costs of War* powstałego przy amerykańskim Brown University pisze, że „przynajmniej 929 tys. ludzi zginęło wskutek bezpośredniego zastosowania wojennej przemocy w Iraku, Afganistanie, Syrii, Jemenie i Pakistanie. Liczba rannych i okaleczonych jest dużo wyższa, podobnie jak liczba ofiar pośrednich – w wyniku zniszczenia szpitali i infrastruktury, zanieczyszczenia środowiska i innych skutków działań zbrojnych. Wśród ofiar zdecydowanie najliczniejszą grupą są cywile. Zginęło ich 387 tys. – więcej niż żołnierzy z każdej strony konfliktu lub bojowników”.

Cywile ginęli zarówno z rąk zamachowców, jak i wskutek samej inwazji USA na Irak i Afganistan: w wyniku amerykańskich bombardowań i ataków dronów oraz w następstwie przejmowania władzy przez kolejne bojówki i ugrupowania zbrojne przez te 20 lat. Aż do ostatniego zamachu pod kabulskim lotniskiem i amerykańskiego odwetu – w jednym i drugim zginęli niewinni ludzie. Atak z użyciem drona sięgnął bowiem domów dwóch afgańskich rodzin, pozbawiając życia łącznie dziesięciu cywilów, w tym siódmkę dzieci, z których najmłodsze miało dwa lata. Co gorsza, ofiary miały obiecany azyl w USA i pakowały się do wyjazdu, więc ten rykoszet ostatniego aktu wojny dotknął tych, którzy byli po amerykańskiej stronie. Komentatorzy nazwali ten epizod „miniaturą całej tej potwornej wojny” i ostatecznym obrazem tego, do czego prowadzi cykl przemocy. Zamachowcy bowiem dążą do osiągnięcia pokrętnego celu: chcą wyrzucić Amerykanów z Afganistanu – a szerzej ze wszystkich ziem zamieszkałych przez muzułmanów – ale zarazem wciągnąć ich w kosztowny konflikt i zmusić do zaangażowania. Dotychczas, do ostatnich dni amerykańskiej obecności w Afganistanie, mechanizm ten działał w najlepszej.

Tylko najwięksi optymiści uważają dziś, że Ameryka Bidena będzie zachowawcza i nie da się znów

sprokować. Rozgadana i chwiejna klasa ekspertów i komentatorów w USA miota się zaś od ściany do ściany: naciskając raz na wycofanie, a raz na eskalację, domagając się konfrontacji z Chinami, z Rosją, z Iranem, strasząc upadkiem amerykańskiego imperium, ogłaszając jego śmierć lub żądając z powrotem przejęcia inicjatywy. A w środku owych sporów muszą jeszcze odbyć się uroczyste pogrzeby ostatnich ofiar tego konfliktu po stronie amerykańskiej – 13 żołnierzy zabitych w zamachu z 26 sierpnia.

Joe Biden już dziesięć lat temu – jako wiceprezydent w administracji Baracka Obamy – uczestniczył w uroczystościach upamiętnienia zamachów. W 2011 r. wygłosił mocne przemówienie, które łączyło szacunek dla rodzin i bliskich wszystkich ofiar z szukaniem sensu w amerykańskim zaangażowaniu i odwecie na Al-Kaidzie. Biden przekonywał wtedy, że Amerykanów połączyły silniejsze więzi i determinacja „twardsza niż miliony ton betonu i wapienia” Pentagonu. Biden jednak zapowiedział też – dziesięć lat temu – że amerykańscy żołnierze będą ścigać Al-Kaidę do jej ostatecznego rozbicia, a w przyszłości opuszczą Irak i Afganistan jako „stabilne państwa, które nie będą już nam zagrażać”.

Tych ostatnich obietnic nie udało się spełnić przez kolejną dekadę nawet za cenę dodatkowych setek miliardów dolarów. I, co ważniejsze, dziesiątek i setek tysięcy niewinnych ofiar. Okrągła rocznica zamachów z 11 września choćby z tego powodu nie będzie ani dla Ameryki, ani dla świata okazją do łatwego zamknięcia tego rozdziału historii.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



wówczas do progu 60%. Dziś jest pewnie jeszcze wyższy.

Zmieniły się masowe strachy społeczeństwa, w Ameryce i na świecie. Po zwycięstwie Trumpa terroryzm wypadł nawet z pierwszej dziesiątki obaw Amerykanów. Choć przez wiele lat skłonni byli mówić badaczom, że boją się rzeczy tak mało prawdopodobnych jak kolejna wojna światowa czy atak nuklearny ze strony Korei Północnej. Gdy terroryzm wrócił na listę obaw w 2019 r., to już z przedrostkiem cyber, jak gdyby ludzie zapomnieli o zamachach bombowych, strzelaninach czy innych krwawych zbrodniach ostatnich lat. Paradoksalnie czynnikiem, który najbardziej zwiększył obawy Amerykanów związane i z terroryzmem, i z samym islamem, były wydarzenia w Europie w latach 2015-2016. A te przecież same były z kolei konsekwencją amerykańskiej wojny z fundamentalistycznym terrorem islamskim. To błędne koło, które trzeba było przerwać.

Po 2016 r. coraz częściej mówiło się już o *forever* i *endless wars* – wiecznych wojnach i wojnach bez końca. Konflikty te były bliskie osiągnięcia pełnoletniości, stały się starsze niż walczący w nich żołnierze, bo w USA zaciągnąć się można jeszcze przed 18. urodzinami. Czy może dziwić, że Amerykanie chcą końca tej wojny?

Likwidować należy z głową

Radykalna wypowiedź marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego na temat likwidacji szpitali wielu oburzyła. I słusznie



Jeśli trafiamy na SOR, czekamy godzinami na przyjęcie.

Beata Igielska

Tomasz Grodzki na Campusie Polska Przyszłości chwalił wyższość opieki ambulatoryjnej nad lecznictwem szpitalnym. I zaproponował, by zlikwidować w Polsce większość szpitali. Jako przykład podał Danię, gdzie szpitali jest 16 na 5 mln mieszkańców. – To w Polsce powinno być ok. 130 na 40 mln, a jest prawie 1000 – mówił senator.

Żeby pacjent nie został na lodzie, trzeba stworzyć infrastrukturę do dobrej opieki ambulatoryjnej.

I co z tego, że jest 1000 szpitali, skoro na łóżko na ortopedii czekasz dwa lata, na urologa miesiącami, na alergologa z pół roku. System ochrony zdrowia jest niedostępny dla pacjenta z powodu kolejek właściwie do wszystkich specjalistów. Najważniejsza więc jest likwidacja kolejek. Bo nawet do lekarzy podstawowej opieki zdrowotnej w Polsce jest

więcej pacjentów niż gdziekolwiek w Unii Europejskiej.

Co widzi pacjent?

Na niektórych oddziałach szpitalnych, np. na kardiologii, niezdiagnozowani z powodu pandemii chorzy, u których choróbko już nieźle się rozszalało, leżą dziś na korytarzu, jak w lazarecie. Na materacach, nie na łózkach. Jeśli zaś trafiamy na SOR, czekamy godzinami na przyjęcie.

Bo? Nie działa pozaszpitalny system ochrony zdrowia – w rejonie brak zintegrowanej opieki nad pacjentem. Lekarz więc odsyła pacjenta na SOR po... komplet badań. Kiedy na oddziale ratunkowym w jednym z dużych warszawskich szpitali tłoczą się ludzie ze złamaniami obok wymiotujących i ledwo zipiących, czekających na swoją kolej dziewięć godzin, można

by tłok rozładować, zrobić osobne wejście dla połamanych, których zawsze jest sporo, osobne dla innych chorych. Czterech lekarzy mogłoby pracować tylko na potrzeby oddziału ratunkowego, aby nie ściągać lekarzy z oddziału, co znacznie wydłuża oczekiwanie. Potrzebne są więc dodatkowe pieniądze. One mogłyby pomóc pod warunkiem dobrej organizacji. A w tym mistrzami nie jesteśmy. Ale tu ciekawostka: kolejki na SOR-ach są na całym świecie.

Jakkolwiek by patrzeć, w tej chwili system ochrony zdrowia jest nieprzyjazny dla pacjenta. Ale kolejkom można dość łatwo zapobiec, likwidując limity przyjęć. Czyli nie działać tak, że dana poradnia ma zakontraktowaną konkretną liczbę pacjentów i na tym koniec. Od kiedy poprzedni minister zdrowia Łukasz Szumowski uwolnił badania tomografem i rezonansem magnetycznym, poprawiła się dostępność do nich. Każda placówka prywatna wykonuje je, bo ma pewność zwrotu pieniędzy przez NFZ. Obecny minister zdrowia Adam Niedzielski co prawda od 1 lipca br. uwolnił ambulatoryjną opiekę specjalistyczną, ale to nie zlikwidowało kolejek do specjalistów. Patrząc więc zdroworozsądkowo, należałoby zlikwidować limity przyjęć. Oczywiście istnieje ryzyko, że wtedy od czwartej rano ludzie tłoczyliby się do zapisu.

– Ale my coś takiego praktykowaliśmy. Zapisywaliśmy raz w miesiącu. I okazało się, że pacjent miał szybki dostęp do lekarzy, których nagle zrobiło się więcej – tłumaczy prof. Bolesław Samoliński, specjalista od zdrowia publicznego, alergolog. Jego zdaniem powinno się uwolnić kolejki na zasadzie: ilu pacjentów poradnia przyjmie, za tyle wam zapłacimy. Wtedy mogłoby się okazać, że nawet jedna czwarta porad jest zbędna. – Jeśli jednak chcemy zlikwidować świadczenia szpitalne, które można by wykonywać ambulatoryjnie, trzeba dobrze wycenić porady, by nie były, jak obecnie, na poziomie

ok. 25 zł płatnych lekarzowi – 40 zł dla placówki, jeżeli nie są wykonywane badania. Wtedy system sam szybko się naprawi – uważa prof. Samoliński. – Decyzja o redukcji łóżek szpitalnych byłaby zaś w tym momencie ryzykowna, bo i tak już kiepska dostępność do lekarza jeszcze by się pogorszyła. A to właśnie dostępność do lekarza jest w ochronie zdrowia najważniejsza. Wszelkie badania opinii pacjentów pokazują, że wolą oni dostać się od razu nawet do mniej znanego lekarza, byle mieć szybką poradę. Jeśli zatem chcemy likwidować łóżka szpitalne, budujemy alternatywę w postaci dobrej opieki ambulatoryjnej. Jeżeli zaś nie ma do niej infrastruktury, pacjent będzie się miał jeszcze gorzej. Dlatego dziś najważniejsze jest zlikwidowanie kolejek do szpitali i specjalistów. Poza

w jednym miejscu. Obecnie zaś: wizyta u lekarza, zdjęcie RTG, rehabilitacja to odrębnie wyceniane procedury. A przecież można zaplanować opiekę nad pacjentem od A do Z. Nawet przy takich samych pieniądzach będzie mniej wizyt. Jedyną metodą poprawy sytuacji pacjenta jest to, żeby pieniądze szły za nim, a nie za placówką. Błędem również jest, że NFZ rozlicza ze świadczeń, a nie z efektu zdrowotnego. Brakuje zdroworozsądkowych analiz koszt-efekt, które są praktykowane na zachodzie Europy. W Polsce zaczątki tego widać w kardiologii i onkologii – tłumaczy prof. Samoliński.

Wniosek? Jeśli nie zlikwidujemy kolejek, a do systemu wrzucimy dodatkowe pieniądze, on je wchłonie nieproduktywnie. Nic się nie zmieni. W latach 70. XX w. kolejek do

Dramatyczny brak kadry

Na problem ewentualnej likwidacji kilku czy kilkudziesięciu szpitali – oczywiście nie mówimy o takiej skali jak w wystąpieniu marszałka Grodzkiego – warto spojrzeć z perspektywy braków kadrowych. W 2018 r. na 1000 Polaków przypadało 2,4 praktykującego lekarza. To najniższy wskaźnik w Unii Europejskiej, dla której średnia wyniosła 3,8; w Niemczech na 1000 mieszkańców przypadało 4,3 lekarza, a we Włoszech – 4. W Polsce niepokoi też średni wiek lekarza – 52 lata. Specjaliści, tacy jak pediatrzy, ginekolodzy, chirurdzy, internści, mają średnio 58 lat. Braki kadrowe dotyczą szczególnie szpitali powiatowych, gdzie funkcjonują oddziały pediatrii, ginekologii, interny i chirurgii. Już dziś wiele oddziałów jest zamykanych z powodu braku lekarzy – i to w miejscowościach, w których są one bardzo potrzebne. Dlatego o koncepcji stworzenia sieci szpitali mówił już 2006 r. ówczesny minister zdrowia Zbigniew Religa. Opublikował listę ponad stu szpitali, które nie powinny zostać zlikwidowane, lecz przekształcone w oddziały opieki długoterminowej. Wielkim problemem systemu ochrony zdrowia w Polsce jest bowiem niewystarczająca liczba oddziałów dla osób przewlekle chorych, wymagających stałej opieki. Dziś tacy pacjenci są leczeni na oddziałach chorób wewnętrznych.

– Nadmiar łóżek szpitalnych w Polsce jest problemem akcentowanym przez wszystkich ekspertów. Potwierdzają to także analizy Ministerstwa Zdrowia zawarte w mapach potrzeb zdrowotnych. Są tam szczegółowe prognozy co do optymalnej liczby łóżek szpitalnych. Z map wynika jednoznacznie, że w sposób radykalny zmniejsza się zapotrzebowanie na łóżka szpitalne na oddziałach ginekologii i położnictwa oraz pediatrii, co jest związane z kryzysem demograficznym. Samo życie wymusza więc zmiany ich liczby – mówi Jerzy Gryglewicz, ekspert Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego. – Mamy też ogromne zróżnicowanie w liczbie łóżek w przeliczeniu na 1000 mieszkańców. Na Śląsku jest to 5,5 łóżka, w województwie pomorskim 3,3 łóżka. Przy czym nie ma znaczącej różnicy w dostępności do świadczeń opieki zdrowotnej. ▶

Jedyną metodą poprawy sytuacji pacjenta jest to, żeby pieniądze szły za nim, a nie za placówką.

tym rezerwa łóżek zawsze musi być. W covidzie okazało się, że ich brakuje – tłumaczy profesor.

Opowiada też, jak to w Warszawie doszło do absurdu, gdy Konstanty Radziwiłł, obecny wojewoda mazowiecki, jeszcze jako minister zdrowia przekierował nocną pomoc lekarską tylko do szpitali, które mają oddziały ratunkowe, czyli tzw. szpitali w sieci. Tylko one mogły kontraktować nocną pomoc. Ale nie miały jak, gdzie ani kim jej świadczyć. Rozpisywały więc konkursy, które wygrywały... placówki dotychczas tę pomoc świadczące. Różnica? Zarabiała 20% mniej, gdyż tyle zabierał sobie szpital.

Leczymy w jednym miejscu

Wpompowanie dodatkowych pieniędzy w system w obecnym kształcie niczego nie zmieni. Najważniejsze jest postawienie na zintegrowaną opiekę nad pacjentem. Tego nam potrzeba, to wszystkim będzie się opłacać. Wtedy szpitale same przejdą na jednodniową opiekę. Chodzi o optymalizację kosztów wobec efektu zdrowotnego. To w gruncie rzeczy dość proste.

– Pacjent powinien być zdiagnozowany jednego dnia, w jednym miejscu. To jest właśnie tzw. zintegrowana opieka nad pacjentem: konsultacja, badanie, rehabilitacja, wszystko

lekarzy nie było, czyli da się wszystko tak zorganizować, żeby ich uniknąć. Obecnie są one tworem sztucznym. Pacjenci zapisani w danym dniu na wizytę nie zgłaszają się, bo już zdążyli pójść do innej poradni na NFZ albo odbyli wizytę prywatnie. Jednak terminu nie odblokowali, by mógł skorzystać ktoś inny. Nieraz ktoś dzwoni do pacjenta z poradni z pytaniem, czy jest w stanie w ciągu półtorej godziny dojechać, bo właśnie jakiś pacjent odwołał wizytę. Mieszkaniec dużego miasta może dać radę, gorzej w przypadku 75-letniej osoby ze wsi nieskomunikowanej z miastem powiatowym.

W Polsce jest 575 publicznych szpitali, powiatowych 301. Premier Mateusz Morawiecki 31 sierpnia podkreślił, że rząd nie będzie żadnego zamykał, ale będzie modernizować – na ten cel przeznaczy 7 mld zł, np. na wymianę 90 tys. łóżek dla pacjentów, 7 tys. łóżek na oddziałach OIOM czy zakup 400 nowoczesnych ambulansów. Zapowiedział też podniesienie wynagrodzeń i poprawę warunków pracy personelu medycznego. Tymczasem Ogólnopolski Związek Zawodowy Ratowników Medycznych przypomina, że 31 sierpnia wygasły umowy wypowiedziane kilka tygodni temu.

► Na Śląsku szpitali jest po prostu za dużo, są w mniejszej odległości od siebie niż 30 km. Na mapach wykazano też, że większość świadczeń realizowanych w warunkach szpitalnych, zwłaszcza diagnostycznych i zabiegowych, można obecnie realizować w warunkach ambulatoryjnych – wylicza dr Gryglewicz.

Obecnie często pacjenci w dobrym stanie są hospitalizowani w celach diagnostycznych – patrz wyżej: jest za mało poradni specjalistycznych, a wycena porad specjalistycznych, diagnostycznych i zabiegowych jest bardzo niska.

Dlatego strategię zwiększenia roli opieki ambulatoryjnej rząd zapisał w Krajowym Planie Odbudowy. W kwietniu br. został on przedstawiony Komisji Europejskiej, aby uzyskać znaczące fundusze. Jeśli to rozwiązanie zostanie zaakceptowane, będzie realizowane przez ten i następne rządy. Zresztą obecne kierownictwo resortu zdrowia cały czas wskazuje, że należy dokonać gruntownej reformy szpitali. Istnieją np. oddziały ginekologiczno-położnicze, gdzie poród odbywa się raz na trzy dni – 130 porodów rocznie. Warto też zauważyć, że wiele badań naukowych dowodzi, że jeśli w jakimś szpitalu wykonuje się niewiele procedur medycznych, ryzyko zdarzeń niepożądanych dla pacjenta jest bardzo duże. Mówiąc krótko, szpitale słabo

wyposażone i bez odpowiedniej kadry medycznej są zagrożeniem dla bezpieczeństwa chorego.

Politycy won od naszego zdrowia

Jaki morał płynie z opowieści z Tomaszem Grodzkim w tle? Nasze zdrowie nigdy nie powinno się stać przedmiotem targu politycznego. Niestety, jest nim. Na szpitale nie powinno się patrzeć przez pryzmat polityczny. TVP na okrągło ogrywa wypowiedź Grodzkiego. To z lekka niezrozumiałe, gdy wiadomo, że samo Ministerstwo Zdrowia chce racjonalizować koszty utrzymywania szpitali. Teoretycznie więc PiS powinno tę wypowiedź przyjąć pozytywnie.

Błędem jest, że NFZ rozlicza ze świadczeń, a nie z efektu zdrowotnego.

Na zdrowy rozum jeśli nieco zmniejszyłaby się liczba szpitali, pozostałe miałyby szansę na lepszy kontrakt z NFZ, a co najważniejsze, nastąpiłaby koncentracja zespołów lekarskich. Bo nie może być tak, że z powodu braku kadry zamykane są szpitale niezbędne, a te z małą liczbą pacjentów, w bardzo małych powiatach, z powodu ambicji lokalnych polityków są na siłę utrzymywane. Wykonuje się w nich bardzo mało

zabiegów. Potencjał lekarzy marnuje się. Poza tym zdaniem specjalistów reumatologia nie powinna być szpitalna. Podobnie dermatologia czy laryngologia. 100% tych świadczeń powinno być udzielanych ambulatoryjnie.

Warto sobie uświadomić, że utrzymywanie tak dużej liczby szpitali odbywa się z naszej składki zdrowotnej. Tu nie powinno być miejsca na populizm, że zamknięcie kilku bądź kilkudziesięciu szpitali jest zbrodnią, choć ich utrzymywanie przeczy zdrowemu rozsądkowi. Argument o dużej odległości, jaką pacjent musi pokonać do szpitala, jest nietrafiony. Miasta powiatowe oddalone są od siebie mniej więcej o 30 km. W każdym jest szpital. Mamy np. Płock, Sochaczew, Gostynin (chodzi o szpital Gorzewo-

-Kruk, bo w Gostyninie jest też znany na całą Polskę szpital psychiatryczny). Czy gdyby z trzech kiep-

skich szpitali zrobić dwa dobre, nie byłoby to z korzyścią dla pacjentów?

– W prowincjonalnych szpitalach lekarzom nic się nie chce, czekają na emeryturę, opierając się na wiedzy sprzed 20 lat – punktuje Katarzyna, 60-letnia mieszkanka powiatu gostyńskiego, gmina Sanniki. – Powstają miejscowe klany lekarskie: ojciec ciągnie dzieci. W naszym powiecie w szpitalu na Kuku powinna zostać tylko rehabilitacja, bo jest w środku lasu, czyste powietrze, świetne warunki spacerowe. Resztę oddziałów powinno się zamknąć. Lekarze tam dojeżdżają i naprawdę średnio angażują się w problemy pacjenta. Poza tym co to za standard w XXI w. – łazienki wspólne na korytarzach? Budynek jest stary, potrzebuje radykalnego remontu. A dojazdy pacjentów? To już nie te czasy, że na wsi jeździło się furmankami. Dziś każda rodzina ma samochód, nawet jeśli stary, to sprawny.

Do rozwiązania, które zaproponował Grodzki, powinno się dochodzić w procesie, latami. Cięcia szpitali są nierealne, gdy nie rozbudowano sieci opieki ambulatoryjnej. Szkoda, że politycy od prawej do lewej strony uprawiają populizm i mówią to, co ludzie chcą usłyszeć. A dostępu chorych do lekarzy jak nie było, tak nie ma.

Beata Igielska

b.igielska@tygodnikprzeglad.pl



Na stulecie urodzin Stanisława Lema

(12 września 1921 – 27 marca 2006)

Jeden z najwybitniejszych umysłów XX w., wizjoner, pisarz *science fiction* i filozof, autor książek przetłumaczonych na ponad 40 języków, jest szczególnie bliski czytelnikom „Przeglądu”. Mieli z nim bardzo bliski i częsty kontakt. Od lutego 2002 r. do lutego 2006 r. napisał dla naszego tygodnika 126 komentarzy. Ostatni – miesiąc przed śmiercią. Gdy w grudniu 2001 r. wręczaliśmy Lemowi w jego krakowskim domu naszą nagrodę BUSOŁĘ, powiedziałem, że jest ona wyrazem wdzięczności autorów i czytelników tygodnika za skłanianie nas „do refleksji nad światem, nad kondycją współczesnego człowieka, nad jego miejscem w kosmosie. A Stanisław Lem jest niczym busola w życiu intelektualnym naszej epoki”.

Widzimy, jak spełniają się jego najodważniejsze wizje. Widział w człowieku odkrywcę, ale również niszczyciela własnego dorobku.

Co dwa tygodnie na trzeciej kolumnie pojawiały się jego błyskotliwe teksty. Był ateistą i racjonalistą, krytycznym

i odważnym. Pisał prosto z mostu. Patrzył na świat i Polskę bez złudzeń. Wiele ówczesnych tekstów jest i dziś bardzo aktualnych. Choćby taka uwaga: „My nie mamy porządných partii, nie ma na kogo głosować...”.

Lem jak mało kto zasługuje na pomniki. A przede wszystkim na to, żeby jego oceny trafiły do kolejnych pokoleń Polaków. Szykujemy więc e-book z tekstami, które napisał dla „Przeglądu”.

Przypomnę przy tej okazji słowa, z których jesteśmy dumni: „Zgodziłem się przyjąć waszą nagrodę, ponieważ regularnie czytam wasz tygodnik i go cenię. »Przegląd« jest pismem odważnym, wiarygodnym, pisze w nim wielu znakomitych autorów”.

Pisał dla nas, a ja miałem zaszczyt drukować swoje komentarze na zmianę z Wielkim Lemem. Składamy mu na stulecie urodzin hold naszej pamięci. I przypominamy jakże wciąż aktualny komentarz.

Jerzy Domański

Kłamstwo jest prawdą

Rzeczywistość zamienia się w krainę fikcji. Redaktor berlińskiej gazety, który popełnił książkę o tym, że atak na wieżowce Manhattanu był tylko wymysłem CIA, sprzedał już 100 tys. egzemplarzy tego dzieła. Były minister poprzedniego rządu niemieckiego, pan Andreas von Bülow, wydał podobną pozycję, pod tytułem „CIA i 11 września”. W tym opasłym tomie radykalnie rozprawił się z wersją, jakoby to islamiści bin Ladena storpedowali wspomniane budynki za pomocą porwanych samolotów pasażerskich, ponadto zaś trzecim takim obiektem latającym uderzyli w Pentagon. Według wersji byłego pana ministra rozmowy telefoniczne, jakie prowadzili z rodzinami pasażerowie trzeciego samolotu, na tle arabskich głosów, zostały sfingowane, zaś sam Pentagon doznał szkód jedynie dzięki filmowej animacji. Aczkolwiek rzetelne media po prostu wyśmiewają brednie tego rodzaju, wedle badań opinii publicznej jedna piąta (!) Niemców jest przekonana, że 11 września żadnego ataku nie było, a jeśli nawet coś tam było, to zamachowcami były amerykańskie służby specjalne.

Na ogół nie uświadomiamy sobie, że 90% wiedzy, jaką otrzymujemy, nie pochodzi z bezpośredniej obserwacji otoczenia i zdarzeń. Większość tego, co wiemy o zajściach na świecie, siłą rzeczy zawdzięczamy informacjom z drugiej ręki, podawanym przez telewizję, prasę

czy internet. Zresztą wspomniany autor książki „CIA i 11 września” oświadczył, że dane, na jakich opiera teorię, jakoby za wszystkimi zamachami nie stali terroryści Al-Kaidy, lecz mordował Amerykanów ich własnymi samolotami amerykański wywiad, pochodzą właśnie z internetu.

Autorzy podobnych banialuk, zarabiający pieniądze za pomocą robienia ludziom mętnej wody z mózgu, stosują systematycznie zabezpieczenia w tekstach ogłaszanych, dzięki którym nie mogą być oskarżeni o szerzenie kłamstw wyspanych z palca. Nie piszą oni mianowicie, że było tak, a nie inaczej, lecz tylko poprzedzają opisy skrytobójczych działań CIA słowami „jakoby”, „rzekomo”, a wszystkie czasowniki wyposażone są w formę warunkową. Skoro zatem nie piszą o tym, co się stało i jak naprawdę było, ale o tym, co nie wiadomo kto, nie wiadomo gdzie i nie wiadomo w jaki sposób napłótt, stają się nietykalni pod względem prawnym. Zarazem szerzeniu kłamstw mogą bezkarnie zawdzięczać spore dochody, ponieważ wydawcy ich są zainteresowani wyłącznie sprzedażą książek, a nie weryfikacją prezentowanych wersji wydarzeń.

Jest to bardzo niebezpieczne wlewanie do środowiska mediów wielkiej ilości pomyj, które zdają się walczyć o pierwszeństwo z najbardziej nawet wypchaną dziwolągami *science fiction*. W ten



Stanisław Lem: Cenię wasz tygodnik. „Przegląd” jest pismem odważnym, wiarygodnym, pisze w nim wielu znakomitych autorów.

sposób korzystający ze źle pojętej wolności słowa potrafią robić z ludzi idiotów, a sobie napelniać kieszenie. Jest rzeczą pouczającą, że dementowanie tych bzdur, nawet w poczytnych i opiniotwórczych pismach, jak „Spiegel”, wcale nie zmniejsza pokupności takich obłąkanych książek. Jak widać z tego, nie tylko cenzura działa szkodliwie, ale również niebezpieczna i niezdrowa społecznie może być całkowita i niekontrolowana wolność słowa.

środa, 14 sierpnia 2003

Pod wysokim napięciem

W przyszłym roku ceny energii elektrycznej dla gospodarstw domowych mogą wzrosnąć o 30%. A to dopiero początek

Marek Czarkowski

W cieniu sporu o migrantów kojarzących na białorusko-polskiej granicy w Usnarzu Górnym i stanu wyjątkowego ogłoszonego na terenie części województw podlaskiego i lubelskiego mają miejsce zdarzenia, których skutki wyjątkowo boleśnie dotkną nas już za kilka miesięcy.

14 lipca 2021 r. Komisja Europejska przyjęła liczący 4 tys. stron pakiet propozycji legislacyjnych mających na celu dostosowanie unijnej polityki klimatycznej, energetycznej, użytkowania gruntów, transportu i podatków do ograniczenia emisji gazów cieplarnianych o co najmniej 55% do roku 2030 w porównaniu z poziomami z roku 1990. Nazwano go „Fit for 55”. I już wzbudził potężne kontrowersje.

Komisja chce zmniejszenia zużycia energii elektrycznej w krajach Unii o co najmniej 9% do roku 2030, a 49% energii zużywanej przez budynki ma pochodzić z odnawialnych źródeł energii (OZE).

Opłatami za emisję dwutlenku węgla – w ramach unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji (EU ETS) – zostaną objęte nowe sektory, m.in. transport i budownictwo. Od roku 2035 wszystkie rejestrowane nowe samochody mają być bezemisyjne, czyli albo elektryczne, albo napędzane wodorowymi ogniwami paliwowymi. A to tylko część wyznaczonych przez brukselskich urzędników celów, których efektem ma być ograniczenie do minimum emisji gazów cieplarnianych.

Pierwsze szacunki mówią, że osiągnięcie 40-procentowej redukcji emisji dwutlenku węgla w budownictwie i transporcie będzie możliwe przy cenie uprawnień do emisji na poziomie 170 euro za tonę w roku 2030. Dziś to kwota zbliżona do 60 euro za tonę i jest uważana za krytycznie wysoką.

W konsekwencji w latach 2025-2040 tylko gospodarstwa domowe

w krajach Unii mogą zapłacić dodatkowo 1,11 bln euro z powodu wzrostu kosztów związanego z wejściem w życie rozwiązań proponowanych przez Komisję. W mniejszym stopniu odczują to społeczeństwa bogate. Polacy natomiast muszą się liczyć z dramatycznymi konsekwencjami, gdyż zużywamy dużo energii, mamy wysoką emisję oraz niższe dochody.

Pewne wyobrażenie na temat kosztów, które będziemy musieli ponieść, daje wywiad prezesa Polskiej Grupy Energetycznej Wojciecha Dąbrowskiego udzielony portalowi wnp.pl. Powiedział on, że transformacja polskiej energetyki będzie kosztować ok. 136 mld euro, czyli według obecnego kursu – 623 mld zł. Dla porównania – wydatki budżetu w roku 2021 sięgną 486,7 mld zł. Tyle będzie kosztowało zamknięcie części elektrowni węglowych i zastąpienie ich mniej emisyjnymi elektrowniami gazowymi. Będziemy też musieli zainwestować w budowę farm wiatrowych, elektrowni słonecznych, geotermalnych

Stworzenie alternatywnych miejsc pracy tylko dla pracowników Polskiej Grupy Górniczej kosztowałoby ok. 350 mld zł.

i jądrowych. Prezes Dąbrowski zapelował o szybkie uwolnienie przez rząd cen prądu dla gospodarstw domowych, by spółki energetyczne uzyskały niezbędne środki na planowaną przez Komisję Europejską transformację. Ceny prądu powinny już w przyszłym roku wzrosnąć o 30%. A to oznacza, że gospodarstwo domowe, które teraz przeciętnie wydaje 260 zł na prąd, zapłaci 340 zł. I z pewnością na jednej podwyżce się nie skończy.

Górnice karuzele

Zdumiewający jest brak aktywności rządu Mateusza Morawieckiego w obliczu tak poważnych wyzwań. Nie wiemy, co rządzący Polską sądzą o propozycjach Brukseli ani jak są przygotowani do negocjacji

z Komisją Europejską. Opozycja również nie ma o tym pojęcia i siedzi cicho. Cóż, nasza chata z kraja.

Jedyne, co obserwujemy, to ruchy kadrowe. W Jastrzębskiej Spółce Węglowej 9 lipca rada nadzorcza odwołała z funkcji prezes Barbarę Piontek i dwóch członków zarządu. Pani Piontek długo nie porządziła. Fotel po Włodzimierzu Hereźniaku objęła 1 marca br. Teraz zastąpił ją Tomasz Cudny, w przeszłości prezes spółki Tauron Wydobycie.

Karuzela stanowisk zakręciła się także w spółce PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna. 30 czerwca br. rada nadzorcza odwołała prezes Wiolettę Czemieli-Grzybowską, która pełniła tę funkcję od kwietnia 2020 r. Obowiązki prezesa powierzono Norbertowi Grudniowi. 14 lipca br. rada wybrała nowego prezesa, którym został Krzysztof Kuśmierowski. Ten rozejrzał się w spółce i po sześciu dniach złożył rezygnację. Dwa dni po nim rada odwołała też Norberta Grudnia.

10 sierpnia br. kolejnym prezesem został Andrzej Legeżyński, a wiceprezesem... Krzysztof Kuśmierowski.

Na takie karuzele kadrowe można sobie pozwolić, gdyż sytuacja w polskim górnictwie jest wyborna. W roku 2020 Jastrzębska Spółka Węglowa szorowała po dnie. Strata netto wyniosła w grudniu 1,5 mld zł. Teraz karta się odwróciła i w pierwszym półroczu 2021 r. JSW co prawda odnotowała stratę netto w wysokości 330,5 mln zł, lecz był to świetny wynik wobec 973,8 mln zł straty rok wcześniej. Podobnie dzieje się w Polskiej Grupie Górniczej, która w ubiegłym roku musiała przełknąć stratę prawie 2 mld zł. A w tym roku fedruje ile wlezie i sprzedaje węgiel na potęgę. Zapewne na koniec roku będzie na minusie, lecz znacznie

niższym niż w roku 2020. Żaden ekspert nie spodziewał się tak gwałtownego i szczęśliwego zwrotu akcji.

Przyczyn dobrej koniunktury w górnictwie jest kilka. Światowa gospodarka wychodzi z ubiegłorocznego kryzysu wywołanego pandemią COVID-19 i potrzebuje więcej energii elektrycznej. A ponieważ prąd produkuje głównie elektrownie węglowe, wzrosło zapotrzebowanie na ten surowiec i ceny poszybowały w górę. Za tonę węgla kamiennego trzeba dziś zapłacić 151 dol., czyli 575 zł. To rekordowy poziom od połowy lipca 2008 r., gdy tona kosztowała 213 dol. Dla porównania – w połowie ubiegłego roku cena tony wynosiła 47-51 dol., czyli ok. 175-185 zł.

Kolejnym sprzyjającym naszemu górnictwu czynnikiem jest konflikt handlowy między Chinami a Australią, który niekorzystnie odbił się na eksporcie australijskiego czarnego złota do Państwa Środka. Spółki z antypodów szybko znalazły nowych odbiorców w Indiach i Wietnamie, a Chińczycy ruszyli na zakupy w Rosji. W efekcie zmalały dostawy węgla do naszego kraju, bo Rosjanie zaczęli więcej eksportować do Chin. Nasze kopalnie mogą liczyć zyski także ze względu na rekordowo wysokie ceny gazu ziemnego i ropy naftowej. Wszystkie te czynniki umacniają koniunkturę w polskim górnictwie.

Jest tak dobrze, że pojawiły się pomysły uruchomienia nowych kopalń. Co nie będzie łatwe, bo jeśli doszłoby do tego, samorządy utracą niemałe środki z unijnego Funduszu na rzecz Sprawiedliwej Transformacji. Dlatego wysyłają petycje do premiera Morawieckiego, by rząd się na to nie godził. Zapewne więc rząd będzie milczał. Może w przyszłości uda się coś wynegocjować w Komisji Europejskiej? Albo zrzucić na nią winę. Trudno bowiem oprzeć się wrażeniu,

Najnowsze pomysły Komisji Europejskiej grożą likwidacją górnictwa i energetyki węglowej.

że gabinet premiera Morawieckiego w sprawach górnictwa i energetyki pozoruje działania. Co nie powinno dziwić, gdyż wyzwania, przed którymi staną, są ogromne.

Nadciągająca rewolucja

Jeśli Europejski Zielony Ład przedstawiony w Brukseli 11 grudnia 2019 r. zapowiadał rewolucję, która odnowi europejską gospodarkę, to zaprezentowane 14 lipca br. propozycje Komisji Europejskiej „Fit for 55” są rewolucją w rewolucji. I jeśli proponowane przez Brukselę cele i terminy nie zostaną zmienione na bardziej rozsądne, mogą zaorać europejską gospodarkę.

Pojawiły się pierwsze symulacje kosztów wprowadzenia zmian przyjętych przez Komisję. Jedną z ciekawszych przedstawiła Polska Grupa Górnicza. Spółka ta zatrudnia ok. 38 tys. osób. Jej eksperci na podstawie danych od firm z branży motoryzacyjnej, które mają fabryki na Dolnym i Górnym Śląsku, wyliczyli, że stworzenie alternatywnych miejsc pracy dla wszystkich pracowników PGG kosztowałoby ok. 350 mld zł. Mówimy o miejscach pracy gwarantujących

byłym górnikom bezpieczeństwo socjalne, czyli podobne wynagrodzenie co w kopalniach. Nawet gdy rozłożymy tę kwotę na lata i zapewnimy wsparcie środków unijnych, pieniędzy może zabraknąć. A są przecież inne spółki węglowe.

Z górnictwem i energetyką związanych jest w Polsce ok. 330 tys. miejsc pracy. Tylko w górnictwie węgla kamiennego pracuje ok. 80 tys. osób. Kolejne 10 tys. w sektorze węgla brunatnego. Doliczmy do tego ok. 180 tys. miejsc pracy w otoczeniu górnictwa. Energetyka oparta na węglu kamiennym to ok. 15 tys. pracowników, w elektrowniach na węgiel brunatny mamy zaś kolejne ▶



► 6 tys. W otoczeniu tych elektrowni zatrudnionych jest ok. 40 tys. osób. Większości trzeba będzie zapewnić nowe miejsca pracy i godne wynagrodzenie. Jeśli to się nie uda, bezrobocie w wielu śląskich powiatach może sięgnąć 30-40%.

Ponieważ połowa miejsc pracy w europejskim górnictwie węglowym znajduje się nad Wisłą, a nasze elektrownie w 70% produkują prąd z węgla kamiennego i brunatnego, najnowsze pomysły legislacyjne Komisji Europejskiej grożą likwidacją tych dwóch gałęzi przemysłu.

Wiele wskazuje, że przynajmniej część naszych elektrowni i elektrociepłowni zostanie przebudowana, by można było wykorzystać w nich gaz ziemny. Po roku 2033 ma się pojawić pierwsza elektrownia jądrowa o mocy 1-1,6 GW, a do roku 2050 Polska ma dysponować trzema takimi elektrowniami o łącznej mocy 6-9 GW. Będą one kosztowały ok. 180-200 mld zł. Własne plany budowy małej elektrowni jądrowej w Pątnowie przedstawili ostatnio prezes Grupy Polsat Zygmunt Solorz

i Michał Sołowow, właściciel m.in. spółki Synthos. Ich elektrownia miałaby od czterech do sześciu reaktorów o mocy 300 MW każdy.

Według programu „Polityka Energetyczna Polski do 2040” przyjętego przez rząd 2 lutego br. pełna transformacja energetyczna naszego kraju ma kosztować ok. 1,6 bln zł. W sektorze paliwowo-energetycznym wydatki mogą sięgnąć 890 mld, a w pozostałych sektorach (usługach, przemyśle, transporcie, rolnictwie) – 745 mld zł. Jeśli wierzyć szacunkom, do roku 2030 Polska może z Unii otrzymać ok. 130-140 mld zł. A to za mało.

Rząd Morawieckiego do roku 2035 zaplanował likwidację wszystkich polskich elektrowni opalanych węglem brunatnym, czyli Bełchatowa, Turowa, Pątnowa, Adamowa i Konina. A do roku 2040 r. ma też zostać zamknięta większość elektrowni korzystających z węgla kamiennego. Utracona moc – łącznie 17,5 GW – ma zostać uzupełniona energią ze źródeł odnawialnych, gazu ziemnego, wodoru, elektrowni jądrowych

i być może dwóch-trzech ostatnich elektrowni węglowych. Dotychczasowe doświadczenia w realizacji takich obietnic rządowych nie napawają optymizmem, bo albo nie były one realizowane, albo realizowano je z wielkim opóźnieniem i zbyt wysokim kosztem.

Byłoby lepiej, gdyby gabinet Mateusza Morawieckiego pochylił się nad 4 tys. stron pakietu „Fit for 55” i dobrze przygotował do rozmów z Brukselą, ponieważ zmiany, które zaproponowała Komisja Europejska, nie uwzględniają realiów. Zamiast nowoczesnej, innowacyjnej europejskiej gospodarki, która oferuje światu przyszłościowe technologie i rozwiązania, będziemy mieli masowe bankructwa, wielkie niepokoje społeczne, obniżenie poziomu życia milionów ludzi, a w konsekwencji rozpad Unii Europejskiej. Bo komu potrzebna jest instytucja, która generuje problemy i nie umie sobie z nimi radzić? Stanem środowiska naturalnego nikt nie będzie się przejmował.

Marek Czarkowski

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

LIST

Polska po '98 r. to IV Rzeczpospolita

W 33. numerze PRZEGLĄDU Paweł Siergiejczyk w tekście „A jednak Trzecia” pociesza prof. Andrzeja Romanowskiego – który uważa, że „Trzecia Rzeczpospolita przestała istnieć” – że jednak nie jest to prawdą. I przytacza różne argumenty, które tutaj pominę jako niezbyt istotne. Chodzi bowiem o coś innego. Autor publikacji pisze: „Pierwsza Rzeczpospolita istniała więc do trzeciego rozbioru, Druga Rzeczpospolita funkcjonowała od momentu uzyskania niepodległości w roku 1918 do jej utraty w roku 1939 (z symbolicznym przedłużeniem działania władz na emigracji), a Trzecia Rzeczpospolita narodziła się – jak stwierdza preambuła jej konstytucji – »odzyskawszy w 1989 roku możliwość suwerennego i demokratycznego stanowienia o jej losie«”.

Z tego cytatu wynika, że po zakończeniu w 1945 r. II wojny światowej aż do 1989 r., słowem przez symboliczne 44 lata, Polska nie istniała, gdyż nie przypisano jej kolejnego numeru lub nie zapisano go w odpowiednim dokumencie. Oznacza to, że wszyscy ci profesorzy, doktorzy, no i magistry, którzy uzyskali tytuły w latach 1945-1989, nie mają do nich prawa, bo uzyskali je w jakiejś pustce geograficznej i czasowej. Podobnie np. olimpijczycy zdobywali medale dla nieistniejących, chyba podziemnych, może tajnych struktur. Ciekawe, dla kogo reprezentacja piłkarzy z trenerem Kazimierzem Górskim zdobyła trzecie miejsce podczas mistrzostw świata w 1974 r. I skąd w Warszawie wzięły się dziesiątki ambasad, w tym USA,

Wielkiej Brytanii, Francji... A co z ONZ, gdzie „przesiadawała” jakaś „dziwna” delegacja polska?

Zaskakuje mnie nawet nie tyle ton tej wypowiedzi Pawła Siergiejczyka, bo skoro prezydent Aleksander Kwaśniewski dał sobie wcisnąć Trzecią Rzeczpospolitą, to nie dziw, że i „maluczcy” w Polsce mówią czy piszą językiem prawicy i używają jej argumentacji. Bardziej dziwi, że lewicowy tygodnik pozostawia taką narrację bez komentarza. Przecież PRZEGLĄD – ku mojej radości – robi tak wiele w obronie PRL, w obronie naszej powojennej przeszłości. Nie chce mi się wierzyć, żeby redakcja uważała, iż między 1945 a 1989 r. była w środku Europy czarna dziura, jak to podaje współczesna (nie tylko rządowa) propaganda. Funkcjonował normalny kraj, ze wszystkimi niezbędnymi strukturami państwowymi, uznany na arenie międzynarodowej, aktywny członek ONZ i innych organizacji. To oczywiste, idzie jednak o to, żeby obecnie – zwłaszcza rzecz dotyczy ogłupianej przez Kościół katolicki i prawicę młodzieży – nie dać się prowadzić na propagandowym pasku prawicy, odrzucić narrację, która jest nieprawdziwa i obca polskiej racji stanu. Skoro zatem numerujemy Polski, to PRL nosiła numer 3. I tego powinniśmy się trzymać, taki właśnie język stosować, nawet wbrew tzw. opinii publicznej. Czyli Polska po 1989 r. to Czwarta Rzeczpospolita, jakiegokolwiek obecnie skojarzenia to niesie.

Eugeniusz Kurzawa,

poeta, redaktor książek i wydawnictw, animator kultury, prasoznawca

Najczęściej zakończenia są szczęśliwe

W Polsce zgłasza się średnio 31 osób zaginionych dziennie

Ewa Smolińska-Borecka

Na facebookowym profilu Zaginieni-Cala-Polska prawie codziennie pojawia się informacja o nowym zaginięciu. Te o czymś zniknięciu przeplatane są wiadomościami o odnalezieniu. Zdarzają się jednak informacje, że odnaleziono ciało... Dane o zaginionych publikują też inne portale, a dostępną online bazę prowadzi Fundacja Itaka.

Marcin Janiszewski ma 25 lat, 180 cm wzrostu, jest szczupły, ma krótko ścięte jasne włosy. Mieszkał w Heerlen w Holandii. Ostatni raz z matką rozmawiał 7 sierpnia. Powiedział, że nazajutrz jedzie w delegację do Chorwacji. Wiadomo, że dotarł tam 9 sierpnia. Od tego dnia jego los jest niezany.

Sebastian Sierpiński ma 26 lat, 185 cm wzrostu, niebieskie oczy, krótkie, ciemne włosy. Zaginął 14 sierpnia w miejscowości Wirówek w gminie Gryfino. Jechał samochodem ze swoim szefem. Nieoczekiwanie wyskoczył z samochodu i pobiegł w pole kukurydzy. Przed wakacjami został pobity, co mogło mieć wpływ na jego nietypowe zachowanie.

Janina Jasianek ma 91 lat, 150 cm wzrostu, siwa, szczupła. 21 lipca przed południem zaginęła w Kuźnicy w gminie Ostrówek. Z powodu stanu



Poszukiwania Piotra Kijanki zaginionego 6 stycznia 2017 r. w Krakowie.

sportowy i około godz. 18 wyszedł z hotelu pobiegać. Wsiadł w taksówkę, by podjechać do początku trasy, którą sobie wyznaczył i miał przemierzyć, wracając do hotelu. Nie wrócił.

Dominika Chutyra ma 16 lat, 170 cm wzrostu i brązowe oczy. Zaginęła 6 czerwca w Bystrzycy Kłodzkiej. Ostatni raz była widziana na stacji PKP w swoim mieście, kiedy

wany pod numerem 10-0681, a jako datę zaginięcia podano 14 lipca 2010 r. Miał wówczas 35 lat. Oczy brązowe, wzrost 185 cm. Ostatni raz widziano go w okolicach szczytu Elbrus na Kaukazie na terytorium Rosji. Informacje o zaginięciu Grzegorza można znaleźć również na innych portalach, np. na podróżniczym Peron4. Ostatni raz Grzegorza widziano między 7 a 11 lipca 2010 r. Był ubrany we flanelową koszulę w kratkę, ciemne spodnie bojówki i czarno-granatową kurtkę. Na głowie miał jasny kapelusz. Wyjście na Elbrus zarejestrował u ratowników w miejscowości Terskoł. Zaginął prawdopodobnie na wysokości 4 tys. m, po zejściu ze szczytu, który ma 5642.

Grzegorz z zawodu jest chirurgiem, pracował w szpitalu w Międzylesiu pod Warszawą. Do Rosji pojechał na urlop. Zazwyczaj wyłączał telefon, kiedy ruszał na wyprawę, więc jego zaginięcie stwierdzono,

Najwięcej zaginięć zdarza się w czerwcu, sierpniu i we wrześniu.

zdrowia wymaga stałej opieki. Do poszukiwań użyto nawet policyjnego śmigłowca Black Hawk.

Michał Kozek ma 35 lat, jest szatynem, 187 cm wzrostu, oczy niebieskie, waży 75 kg. Mieszka w Szwajcarii, w Gockhausen. W lipcu wyjechał z rodziną na urlop na Maderę. Zatrzymali się w hotelu Savoy Saccharum Resort & Spa w miejscowości Calheta. 7 lipca Michał założył strój

wsiadała do pociągu do Wrocławia o godz. 9.07.

Spośród zaginionych w tym roku nadal poszukuje się 203 osób i jest to jedynie 2,94% zaginionych. Pozostałe odnaleziono lub się odnalazły.

Fundacja szuka i wspiera

Grzegorz Ślepowroński w karcotece Fundacji Itaka został zarejestro-

► dopiero gdy nie pojawił się po urlopie w pracy.

W lipcu ub.r. policja zakończyła poszukiwania Grzegorza, bo robi to 10 lat po zgłoszeniu zaginięcia osoby pełnoletniej. Itaka będzie go szukać do skutku. – Rosyjska siostrzana organizacja zatrudniła wspinaczy, którzy ponownie przeszli ten teren. Zrobili to dla nas bezpłatnie – mówi Alicja Tomaszewska, prezes Fundacji Itaka – Centrum Poszukiwań Ludzi Zaginionych. – Oczywiście są bogate rodziny, które byłoby stać na finansowanie poszukiwań za granicą. Ale to wyjątki. Większość nawet nie potrafiłaby tego zorganizować, a dla nas to bułka z masłem.

Jak ludzie trafiają do Itaki? Fundacja istnieje już 19 lat, więc dużo osób o niej słyszało. – Ponadto policja, kiedy ktoś zgłasza zaginięcie, ma zgodnie z zarządzeniem podać adres najbliższej przychodni, która udzieli mu wsparcia psychologicznego – wyjaśnia Tomaszewska. – Dlatego policjanci podają nasz telefon, bo wiedzą, że od nas osoba poszukująca uzyska te namiary. Zwykle poszukujący zgłaszają się do nas od razu. Prowadzimy

moment. Cieszymy się, że rodzina jest już w komplecie. Jeśli zadzwonią i powiedzą, że potrzebują wsparcia psychologa, to możemy je zapewnić. Podobnie jak pomoc prawnika czy specjalisty opieki społecznej.

Fundacja współpracuje z wieloma organizacjami zagranicznymi zajmującymi się poszukiwaniem ludzi. – O pomoc do tych organizacji zwracamy się w uzasadnionych przypadkach – tłumaczy Tomaszewska. – Na przykład jeśli ktoś mieszkał w Hamburgu lub widziano go w tym mieście, kontaktujemy się z niemieckimi organizacjami. Najdalsze poszukiwania prowadziliśmy w Australii i Brazylii.

Każde zaginięcie to tragedia dla bliskich. Ale oprócz niepokoju o zdrowie i życie są inne obawy – o byt rodziny, gdy znika osoba dorosła, która była jedynym żywicielem rodziny albo wspólnie z małżonkiem utrzymywała dom.

– Najwięcej wśród zaginionych jest osób dorosłych, pracujących i mających rodziny – potwierdza Tomaszewska. – Mam pracownika socjalnego, który kontaktuje się z ośrodkiem

informacje o zaginięciu w ok. 200 mediach. Pocieszające jest to, że większość odnajduje się w krótkim czasie. Chciałabym więc sprostować opinię, że ciągle stykamy się z nieszczęściem. Jeśli ktoś się odnajdzie, to w fundacji jest wielka radość. Więcej jest u nas dobrych wiadomości niż złych.

Zgłosić jak najszybciej

Jak wynika z danych policji, ok. 30% zaginionych odnajduje się w ciągu 24 godzin od zgłoszenia. Po 48 godzinach od zgłoszenia odnalezionych zostaje 54%, a po siedmiu dniach aż 77%. Po miesiącu od zarejestrowania zaginięcia odnajduje się ponad 90% osób.

Od jej zaginięcia za dwa miesiące minie jednak 26 lat. Daria Młynarczyk miała wówczas 14 lat, mieszkała w Pile. 9 listopada 1995 r. wyszła z domu kupić książkę do angielskiego. Przystanek autobusowy był tuż pod domem. Kiedy do wieczora nie wróciła, rodzice zgłosili zaginięcie. Poszukiwania policji trwały 10 lat od dnia, w którym stałaby się pełnoletnia, czyli w sumie 14 lat. Zakończono je w 2009 r. Fundacja Itaka nadal szuka Darii. W sierpniu tego roku do sprawy postanowili wrócić policjanci z poznańskiego Archiwum X, czyli zespołu do spraw niewykrytych. Dla osoby, która ma informacje mogące pomóc w odkryciu, co się stało z Darią, przewidziano nagrodę w wysokości 10 tys. zł. Policjanci liczą, że dzięki rozwojowi technik dochodzeniowych możliwe będzie rozwikłanie tajemnicy.

W tej chwili w Krajowym Systemie Informacji Policji figuruje 2418 osób zaginionych. Tylu nie udało się odnaleźć w ciągu kilkudziesięciu lat. W sierpniu br. najstarsze zaginięcie zarejestrowane w systemie pochodziło z 9 stycznia 1969 r. Zostanie wykreślone niebawem, zaginiony bowiem był niemowlęciem urodzonym pod koniec 1968 r., więc dziś ma, jeśli żyje, 53 lata. W ten sposób jakkolwiek ślad po zaginięciu, poza pamięcią rodziny, zniknie. Nie będzie szansy, by do sprawy kiedykolwiek wrócili policjanci z Archiwum X.

– Poszukiwanie osób zaginionych to jedno z wielu ustawowych zadań realizowanych przez policję

Fundacja Itaka najdalsze poszukiwania prowadziła w Australii i Brazylii.

poszukiwania równolegle z policją. Bywa tak, że rodziny nie chcą informować policji, że zaginiony np. brał narkotyki albo należał do gangu, choć mogłoby to ułatwić poszukiwania, a nam mówią. Jeśli rodzina zobowiąże nas do tajemnicy, musimy jej dochować. Ale zawsze przekonujemy, że ta informacja ułatwi poszukiwania.

W ciągu 19 lat działalności Itaka odnalazła 12,4 tys osób. Fundacja jest skuteczna mimo trudności ze środkami – rocznie MSWiA wspomaga ją kwotą 100 tys. zł na pokrycie kosztów zatrudnienia prawnika i psychologa. A tymczasem fundacja funkcjonuje 24 godziny na dobę.

– Ostatnio odnalazła się kobieta, której nie było przez 20 lat – opowiada Tomaszewska. – Wyjechała do pracy za granicę i bliscy nie wiedzieli, co się z nią dzieje. Od rodziny dowiedzieliśmy się, że wróciła do domu.

Czy przeżywają frustrację, kiedy długo kogoś nie odnajdują? Tomaszewska zaprzecza: – Dla nas każde odnalezienie to szczęśliwy

pomocy. Psycholodzy pytają o sytuację materialną. Niektórzy ludzie nie chcą, żeby opieka społeczna się nimi zajmowała. Ale zdarza się, że nie mają wyjścia, bo muszą spłacać raty kredytu mieszkaniowego, na które nie mają środków.

Bywa, że osoba zgłoszona jako zaginiona nie chce, by ją odnaleziono, bo zaczęła nowe życie w innym kraju, z inną osobą. – Taka osoba może iść na policję lub, jeśli jest za granicą, do placówki dyplomatycznej i pokazać dowód tożsamości – informuje Tomaszewska. – Może odwołać poszukiwania i zobowiązać policję, by poinformowała rodzinę, że żyje, ale nie chce z nią utrzymywać kontaktu i nie chce podać miejsca pobytu. Do nas też takie osoby się zgłaszają z prośbą, by usunąć je z listy zaginionych. Zawsze radzimy im, by odwołały także swoje poszukiwania na policji, chociaż, jeśli od zaginięcia osoby dorosłej minęło 10 lat, policja sama kończy poszukiwania. Jeśli poszukiwania nie zostały odwołane, my zamieszczamy

– informuje podinsp. Anna Zgódką z Wydziału Poszukiwań i Identyfikacji Osób Biura Kryminalnego Komendy Głównej Policji. – To zadanie wymagające od policjantów wszechstronnej wiedzy i umiejętności.

Liczba zaginionych rocznie utrzymuje się w granicach od 11 tys. do ponad 20 tys. Najwięcej było w roku 2014 – 20 845. Potem ubywało ich z roku na rok, do 15 167 w 2019 r. 2020 był rokiem dwóch covidowych lockdownów, więc w pewnym sensie szczególnym. Nie wiadomo, jaki wpływ miały na liczbę zaginionych, ale spadła ona do 12 750. W tym roku do końca lipca zaginęło 6909 osób. Trudno prorokować, jaka liczba

przez policję i inne służby. Tak było w przypadku zaginięcia 80-letniego Stanisława Rybackiego z Józefowa w gminie Szczutowo w województwie mazowieckim. Pan Stanisław wyszedł z domu w niedzielę 18 lipca br. około godz. 14 i rowerem pojechał do znajomego w oddalonej o 10 km miejscowości. O godz. 16. opuścił dom znajomego i ruszył w drogę powrotną. Jako że miał zaniki pamięci, mógł pomylić drogę. W każdym razie – jak twierdzi mieszkanka jednej z pobliskich miejscowości – mężczyzna odpowiadający rysopisowi zaginionego upewniał się u niej, czy jedzie w dobrym kierunku. Powiedziała mu, że to droga

– Statystyki dotyczące odnalezienia zaginionych wskazują, że większość spraw zostaje wyjaśniona najpóźniej do trzeciej doby od zaginięcia – wyjaśnia podinsp. Zgódką. – Policja podejmuje poszukiwania osoby zaginionej niezwłocznie po otrzymaniu informacji o zaginięciu. Policjanci w całej Polsce prowadzą poszukiwania z ogromnym zaangażowaniem, z wykorzystaniem wszystkich dostępnych sił i środków, jak również posiadanej wiedzy merytorycznej. Świadczy o tym chociażby rok 2020, w którym ze wszystkich osób zarejestrowanych jako zaginione odnaleziono 98,8%. Sprawa Stanisława Rybackiego znana jest Centrum Poszukiwań Osób Zaginionych KGP i jest monitorowana na bieżąco.

Nikt nie zakłada, że ktoś z rodziny lub przyjaciół któregoś dnia może zaginać, i nie przygotowuje się do takiej sytuacji. Ale warto wiedzieć, że nie trzeba czekać 24 godzin, by zgłosić czyjeś zaginięcie. Należy poinformować policję, kiedy mamy uzasadnione obawy, że osoba zaginęła, a próby poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Nawet jeśli okaże się, że zgłoszenie zaginięcia było na wyrzut, żadnych konsekwencji nie poniesiemy.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Okolo 30% zaginionych odnajduje się w ciągu 24 godzin od zgłoszenia.

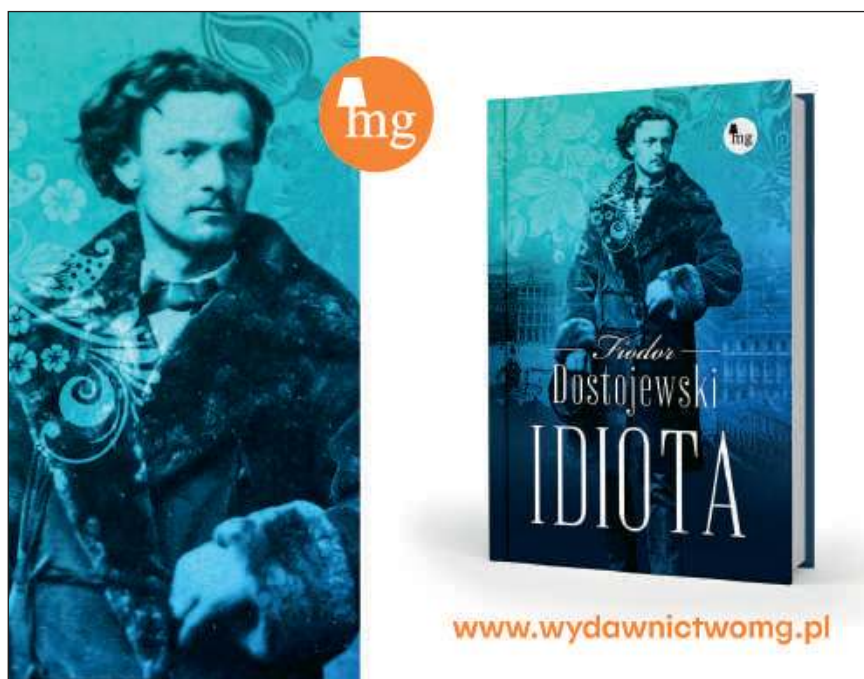
będzie na zakończenie 2021 r., ale najwięcej zaginięć zwykle jest w czerwcu, sierpniu i wrześniu. Można więc przypuszczać, że zaginionych będzie więcej niż w roku ubiegłym.

Do 10 sierpnia z tych 6909 osób zaginionych od 1 stycznia br., w rejestrach Krajowego Systemu Informacji Policji figurowały nadal 203, czyli odnalazło się ponad 97% zaginionych. Policja nie gromadzi danych dotyczących tego, ile odnalazło się osób żywych, a ile odnaleziono zwłok. – Policja nie gromadzi również danych, ile osób odwołało poszukiwania, ale nie chcą kontaktu z rodziną – wyjaśnia podinspektor Zgódką. – Chęć zerwania kontaktu z rodziną jest jedną z przyczyn zaginięć osób dorosłych. Jeśli odwołano poszukiwania takiej osoby, oznacza to, że odnaleziona, pełnoletnia i nieubezwłasnowolniona osoba zaginiona nie wyraziła zgody na ujawnienie osobie uprawnionej aktualnego miejsca pobytu oraz złożyła pisemne oświadczenie. Z kolei najczęstszą przyczyną zaginięć najmłodszych dzieci jest niedostateczna opieka ze strony dorosłych. Główne przyczyny zaginięć nastolatków to ucieczki z domów rodzinnych czy placówek opiekuńczo-wychowawczych.

Jeśli przypuszcza się, że zaginięcie nastąpiło za granicą, sprawę poszukiwania koordynuje Biuro Międzynarodowej Współpracy Policji KGP. Zdarza się, że rodzina zaginionego nie jest usatysfakcjonowana natężeniem poszukiwań prowadzonych

biegnąca na stawy i że powinien zawrócić. Ale kobieta nie miała pojęcia, czy faktycznie zaginiony zawrócił.

Z powodu zaginięcia pana Stanisława do Józefowa zjechało dziesięcioro jego dzieci, także ze Szwecji i Wielkiej Brytanii, plus wnuki i prawnuki. Czynniki włączyły się w poszukiwania, przeczesując pobliskie bagna i lasy. Dziennikarzom poszukujący skarżyli się, że przez trzy doby do poszukiwań zaangażowano bardzo dużą liczbę policjantów, ale po tym czasie rodzina została sama.



Pokolenie pozytywnych indywidualistów

Zetki nie wchodzą ze sobą w konflikt, ale konsekwentnie żyją, jak chcą

Rozmawia Artur Zaborski

Internet i media społecznościowe towarzyszą generacji Z od kołyski. Dlatego to pokolenie tak różni się poprzednich?

– Młode pokolenie nie stawia tak wyraźnej jak w przypadku poprzednich generacji granicy między rzeczywistością wirtualną a realną. Chociaż nastolatki potrafią te dwie rzeczywistości rozróżnić, to traktują je na równi, bo tak samo w świecie online, jak i offline widzą przestrzeń do realizacji własnych potrzeb. Coraz rzadziej postrzegają też jedną formę kontaktu jako bardziej wartościową od drugiej – media społecznościowe i wszelkie komunikatory umożliwiają im budowanie ważnych relacji. Wpływ takiej zapośredniczonej przez internet komunikacji na rozwój społeczny młodych docenili także niektórzy psycholodzy, zwracając uwagę, że taka forma kontaktu sprzyja większej otwartości oraz skraca czas potrzebny na zaznajomienie się z drugą osobą. Absurdalnie wybrzmiewa tu hasło akcji „Wyloguj się do życia!”, która miała zachęcać do ograniczenia czasu spędzania w sieci, bo zetki tak samo naprawdę żyją w obu sferach. Oczywiście młodzi też czasem potrzebują zrobić sobie odwyk od smartfona, ale wynika to częściej z poczucia przeciążenia informacyjnego niż z przekonania, że tracą czas na aktywności w fałszywym świecie.

Młode pokolenie nie stawia tak wyraźnej granicy między rzeczywistością wirtualną a realną.

Zetki są bardziej podatne na fake newsy?

– Młodzi ludzie są dużo bardziej wyczuleni na fake newsy niż poprzednie generacje. Są po prostu bardziej uwrażliwieni, bo mają z tą sferą kontakt od dzieciństwa. Sama należą do

pokolenia milenialsów i zdumiewa mnie, z jaką uwagą korzystają z internetu np. moi rodzice – mają tendencję do zapoznawania się z treścią wyskakujących na ekranie okienek, nawet kiedy jest to reklama lub powiadomienie systemowe. Ja takie rzeczy intuicyjnie zamykam, koncentrując się na tym, co dla mnie ważne. Umiejętność szybkiej selekcji informacji, zarówno pod kątem ich przydatności, jak i prawdziwości, u zetki jest świetnie rozwinięta.

A hejt w sieci? Dotyka młodych?

– Hejt jest oczywiście problemem, ale zmieniają się jego powody. Dla zetki wyzywanie kogoś na podstawie jego seksualności, pochodzenia czy wyglądu staje się obciachem, wstydem. Te kwestie się znormalizowały, a młodzi ludzie są na tyle otwarci, że takie wyzwiska uderzają w osobę, która ich używa, nie na odwrót. Paradoksalnie częściej ofiarami hejtu zostają ci, którzy sami się go dopuścili albo po prostu bez zastanowienia powiedzieli w sieci coś, co naruszało ważne w ich środowisku normy. Mówiąc o hejcie, nie sposób również nie wspomnieć o internetowych dramach, czyli o publicznych spięciach,

np. między youtuberami. Niezależnie od tego, czy taka drama wydarza się spontanicznie, czy jest zagranie obliczoną na podbicie oglądalności danego kanału, często efektem są prawdziwe ofiary. Internetowa publiczność zwykle opowiada się po którejś stronie konfliktu i potrafi być naprawdę dosadna w komentarzach.

Co wpływa na to, że wyzwiska odwołujące się do czyjejś seksualności stają się obciachem?

– W dużej mierze fakt, że młodzież jest bardziej otwarta na wyrażanie seksualności. Mówi o niej

wprost, oswaja się z nią i z językiem jej opisu. W takiej sytuacji stosowanie określenia gej w kategorii obelgi mija się z celem. Obserwując profile społecznościowe młodych ludzi, uważam, że w opisach dość często dodają adnotacje dotyczące swojej orientacji, np. bi czy *queer*. Uważają to za coś istotnego. Można się zastanawiać, czy nie jest to tylko odruchowe wykorzystanie gotowego szablonu autoprezentacji w internecie, ale ich otwartość w tej kwestii to chyba dobry znak. Mają mniej barier w wyrażaniu siebie niż my.

Czym objawia się ten brak barier?

– Obecnie normalizujemy takie tematy jak niepełnosprawność, choroby psychiczne, różnego typu ograniczenia. Młodzi ludzie nie tylko mają potrzebę rozmawiania o nich i dzielenia się doświadczeniami, ale także znajdują ciekawe formy ich wyrażania i spotykają się z pozytywnym odbiorem. Może nie wszystko wygląda tak różowo jak wycinek, który do mnie dociera, ale wsparcie jest widoczne. W czasie lockdownu zostaliśmy w dużej mierze odcięci od świata zewnętrznego, a do głosu doszła domowa codzienność. Dzieciaki znalazły jednak miliony sposobów na opowiadanie o niej i utrzymanie kontaktu z rówieśnikami, chociażby poprzez krótkie wideo na TikToku. Bardzo podobał mi się np. trend na filmiki – młodsza generacja punktowała w nich różne kliszowe upodobania i zachowania starszych pokoleń, z którymi dosłownie została zamknięta w domach.

Czy granica między tym, co prywatne, a tym, co publiczne, jeszcze bardziej się zatarła u zetki?

– Granica ta jest dla nich indywidualną sprawą i zależy od tego, na ile zetki same czują się z nią komfortowo. To one decydują, co chcą pokazać światu. Coraz więcej młodych ludzi wie, na czym polega stawianie i pilnowanie granic, również tych w świecie wirtualnym. Sprzyja temu



AGNIESZKA STASZCZAK

– absolwentka komparatystyki na Uniwersytecie Jagiellońskim, zajmuje się komunikacją marketingową i badaniem mediów społecznościowych

edukacja, ale niekoniecznie ta szkolna, raczej ta, do której dostęp mają za pośrednictwem internetu. Świetną robotę robią tutaj psycholodzy, którzy popularyzują ważną dla nastolatków wiedzę poprzez YouTube czy TikTok.

Odnoszę wrażenie, że nastolatki w rodzinie nie czują się ze swoimi problemami same. Często mówią, że coś im doskwierało, ale w internecie mnóstwo rówieśników mierzy się z podobnymi problemami.

– Faktycznie zetki chętnie dzielą się wiedzą i doświadczeniem z innymi. Mówią o czymś, aby udzielić sobie nawzajem wsparcia. Na FB powstało wiele grup ukierunkowanych na rozmowę o konkretnych problemach – psychicznych, rodzinnych, które traktują jako swoją bezpieczną przestrzeń. Niestety, czasem podchodzą do niej ze zbyt dużym zaufaniem, zapominając, że wgląd w ich problemy ma ogromna rzesza osób, w większości obcych.

Nie martwi cię, że młodzi szukają pomocy wśród rówieśników, a nie u specjalistów?

– Porady rówieśników często są bardzo dojrzałe – np. jednoznacznie sugerują wizytę u psychologa lub zwrócenie się do rodziców z prośbą o zapisanie na oddział odwykowy. Czytając posty nastolatków, zdałam sobie sprawę z tego, w jak trudnym położeniu wielu się znajduje. Na FB natknęłam się np. na opis sytuacji, w której niepełnoletnia dziewczyna została wyrzucona z domu i wylądowała na ulicy. Pytała, co ma ze sobą zrobić: w środku zimy, gdy zbliżała się noc. W części komentarzy zwracano jej uwagę, że zachowanie jej opiekunów jest niezgodne z prawem i może zgłosić sprawę na policję, inne osoby, które mieszkały w tym samym mieście, zadeklarowały, że jeśli nie znajdzie pomocy, chętnie przyjmą ją do siebie. Jeszcze inni oferowali zbiórkę pieniędzy na hotel.

Jak się czujesz na takich forach?

– Jest to rzeczywistość zupełnie inna od mojej, ale nie czuję się tam obco. Czasami nawet mam potrzebę coś skomentować. Po części też ze względów zawodowych śledzę najróżniejsze grupy, które zrzeszają nie tylko młodzież. Wszędzie, gdzie są ludzie, można znaleźć coś niesamowitego. Jest to poza tym doświadczenie bardzo ciekawe językowo.

To znaczy?

– Choć wszyscy funkcjonujemy w tych samych mediach społecznościowych, to niektóre grupy ich użytkowników mają oryginalny język i styl komunikacji – często z własnymi szyframi, inside joke'ami czy gotowymi matrycami wypowiedzi. Może to być odwołanie do wydarzenia, które zaistniało w szerokiej świadomości dzięki internetowi, albo przywołanie imion bohaterów jakiejś dramy, które stały się synonimami określonych cech. Im dłużej w tym siedzisz, tym więcej takich szyfrów jesteś w stanie zrozumieć. Najciekawsze zjawiska komunikacyjne zachodzą, gdy spotykają się ludzie z różnych baniek. Widać to szczególnie na TikToku, który łączy ludzi odmiennych pod kątem geograficznym, kulturowym, zawodowym czy wiekowym, wszystkim oferując dokładnie te same narzędzia do tworzenia krótkich materiałów wideo. Aplikacja podsuwa ci gotowe pomysły na tematy i schematy ich wyrażania, które wypełniasz jednak własną, oryginalną treścią. Scrollując TikToka, możesz zobaczyć takie nagrania dodane przez użytkowników z najróżniejszych grup wiekowych. Zmieniają się tylko przedstawiane sytuacje.

Jak zetki się komunikują?

– Starsze pokolenia marudzą, że młodzi porozumiewają się za pomocą emotikonów, a komunikacja obrazkowa jest jedyną, jaką znają. Ale to nieprawda. Owszem, młodzież sięga po emotikony, ale używa ich raczej jako dopełnienia wypowiedzi. Nazywałabym to wyższą kulturą obrazkową. Podejście zetek do tworzenia treści obrazkowych jest bardzo świadome – ci młodzi ludzie są wrażliwi na emocje, jakie przekazuje obraz, i potrafią to wykorzystać. Nie ma więc sensu deprecjonowanie tego sposobu komunikacji. Co jednak najważniejsze, nie wyparł on słowa mówionego i pisanego. Młodzież w sieci chętnie porozumiewa się np. przez ▶

► opowieści stylizowane na tzw. pasty, których geneza jest bardzo ciekawa. Kiedyś bardzo popularne były fora internetowe, na których ludzie dzielili się doświadczeniami ze swojego życia albo po prostu wymyślonymi historiami. Często opierały się one na niuansach i humorze, przypominając anegdotę lub kontekstowy dowcip.

Podasz jakiś przykład?

– Najpopularniejsza jest chyba pasta o ojcu, fanatyku wędkarstwa. Syn przedstawia sytuacje z rodzinnego życia ukazujące stopień jego fiksacji na wędkarstwie. Takie doświadczenia opisywane na forach zmieniły się w bardzo funkcjonalny, często humorystyczny format, poprzez który ludzie dzielą się codziennymi radościami, zmartwieniami, sukcesami i porażkami, a inne osoby mogą się z nimi utożsamiać. Utworzyły się facebookowe grupy specjalizujące się w różnych rodzajach tych opowieści. Analizowali je m.in. badacze z think tanku Królicza Nora. Dotarli oni do

takie jak *coming out*. Zadanie może wówczas brzmieć: pokaż, że jesteś gejem, nie mówiąc, że jesteś gejem. Ludzie nagrywają wtedy np. kolekcję tęczyowych flag w pokoju. Łańcuszek zaczyna jedna osoba, po czym dołączają kolejne.

Jak jest z politycznym zaangażowaniem zetek?

– W internecie obserwuję kilka młodzieżowych grup, które koncentrują się na działaniach prośrodowiskowych lub feministycznych. Ich uczestnikom zależy na transformacji rzeczywistości, ważniejsza od indywidualizmu jest dla nich wspólna sprawa. Inne grupy zrzeszają osoby zakorzenione w tradycyjnych wartościach. Zwykle nie są one zbyt aktywne politycznie, nie manifestują poglądów, lecz dążą do stworzenia małej stabilizacji w gronie najbliższych. Nie wchodzą ze sobą w konflikt, widoczny u przedstawicieli starszej generacji. Nie walczą o to, kto ma rację, lecz konsekwentnie żyją tak, jak chcą.

Pokolenie Z ma więcej akceptacji dla tego, co niedoskonałe, a więc po prostu ludzkie.

wielu takich kontekstowych grup, np. do grupy „Story of my okres”, gdzie dziewczyny dzieliły się historiami związanymi z miesiączką. To pokazuje, że młodzi znaleźli własny sposób, by rozmawiać nawet o tym, co może wydawać się krępujące. A najważniejsze jest to, że zawsze znajdzie się osoba, która napisze, że przeżyła coś podobnego i „też tak ma”. To upodobanie do opowieści jest też widoczne na TikTok – funkcjonuje tam format *storytime*, w którym nastolatki opowiadają historie ze swojego życia.

Nie przypomina ci to opowiadania sobie historii w naszym pokoleniu?

– Bardzo przypomina mi to czasy naszego dzieciństwa, kiedy na spotkaniach przytaczało się anegdoty z życia znajomych, często koloryzując rzeczywistość. W aplikacji ludzie rzucają sobie wyzwania, np. opowiedz historię, w którą nikt nie uwierzy. To z kolei kojarzy mi się z opowiadaniem historii o duchach przy kolonijnym ognisku, czego doświadczył chyba każdy z mojego pokolenia. Inne wyzwanie, na jakie się natknęłam, brzmiało: opowiedz najdziwniejszą historię, jaka spotkała cię u lekarza. Poruszane są też odważniejsze tematy,

Politycy grzmiały, że młode pokolenie jest biernie społecznie. Media ekscytowały się, że zetki wyszły na ulice dopiero w Czarnych Marszach, a sprawę wolnych sądów całkowicie zignorowały.

– To normalne: zetki po prostu nie identyfikują się z wieloma wydarzeniami, które mają znaczenie dla starszych osób, lub walczą o te kwestie na swój własny sposób. Same podejmują działania w sprawach, które są dla nich ważne, i cechuje je duża empatia, co pokazują omawiane przez nas reakcje na problemy, którymi młodzi dzielą się w internecie.

Jakie sprawy są ważne dla młodej generacji?

– Jesteśmy coraz bardziej świadomi problemów ekologicznych, czego brakowało poprzednim pokoleniom, dlatego odpowiedzialność spłynęła na młodych ludzi. Popularne stają się takie inicjatywy jak strajki klimatyczne. Młodzież odpowiedzialnie podchodzi też do codziennej ekologii i np. segregacja śmieci jest dla niej bardziej naturalna niż dla nas. Współcześnie dzieci coraz częściej są wychowywane w duchu *less waste* i życia w zgodzie z naturą. Dużo

większą wagę przykładają do tego, co jedzą, bo zwiększyła się świadomość konkretnych produktów – ich wpływu na środowisko oraz na zdrowie. Narodziło się pokolenie pozytywnych indywidualistów, czyli ludzi, którzy nie chcą robić niczego wbrew sobie. Mają dużą świadomość własnych potrzeb i próbują je realizować, lepiej lub gorzej, co może się przekładać na przekonania polityczne oraz podejmowane aktywności. Strajk Kobiet był dowodem na to, że kiedy polityka zaczyna mieszać się w sprawy dla młodych ludzi istotne, to chcąc pozostać w zgodzie ze sobą, dążą oni do obrony własnych praw.

Nie obawiasz się o to, jaką przyszłość zgotuje nam ta generacja, gdy dojdzie do władzy?

– Akurat pod tym względem czuję się spokojna. Młodzi ludzie mają teraz czas na poznanie siebie, a sposób, w jaki to robią, jest dużo bardziej świadomy niż nasz w ich wieku. Dysponują większymi zasobami, są lepiej wyedukowani. Wiedzą, co mogą powiedzieć innym, gdzie szukać pomocy. Rozwijają się, żeby znaleźć dla siebie możliwości, a to przełoży się na ich późniejsze działania na większą skalę. Podoba mi się też to, że mają więcej akceptacji dla tego, co niedoskonałe, a więc po prostu ludzkie. Medium charakterystycznym dla końcówki naszego pokolenia był Instagram, który przekłamywał rzeczywistość. Był objawieniem, na którym wyrosło wiele gwiazd, wielu influencerów. Teraz popularność zyskuje TikTok, który wyraźnie stawia na to, co na drugim planie. Poszerza perspektywę Instagrama, pokazując, że nie żyjemy w idealnych domach. Na krześle może leżeć bielizna, a obserwatorom nawet nie wypadnie się czepląc, bo w pewnym sensie są u kogoś gośćmi. Tu bardziej liczy się twoja osobowość niż estetyka.

Młode pokolenie jest bardziej autentyczne niż nasze?

– Tak, a stało się to właśnie dzięki odnalezieniu przez nie wygodnych form wyrażania siebie. Jeśli oswajasz się z czymś, wykorzystując do tego zabawną formę, jest po prostu łatwiej. A im bardziej znasz samego siebie, tym mniejsza jest potrzeba radykalnego odcinania się od pewnych kwestii czy kreowania fałszywego wizerunku. To podstawa, by w ogóle zacząć walczyć o bycie autentycznym.

Artur Zaborski

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Prezydent Andrzej Duda, po głębokim namyśle (tak dla niego charakterystycznym), wyważając racje (jak na rasowego wykładowcę Uniwersytetu Jagiellońskiego przystało), wyraził niezwłocznie (już rozumie, co to znaczy, kiedy to dla jego partii korzystne) zgodę na wprowadzenie stanu wyjątkowego na mniej więcej trzykilometrowym pasie przy granicy z Białorusią, na terenie województw podlaskiego i lubelskiego. Na 30 dni, na dobry początek. W ten sposób na wniosek premiera Morawieckiego chce bronić bezpieczeństwa Polski i Unii Europejskiej. Tyle oficjalna gadka. Mariusz Kamiński (który, zamiast odsiadywać wyrok kilku lat więzienia za przestępstwa dokonane, kiedy był szefem CBA, pełni obowiązki ministra spraw wewnętrznych i administracji), faktyczny inicjator tego politycznego „wyjątkowego” posunięcia, uzasadniając całą operację, perorował do mediów, że „tak, jesteśmy atakowani przez obce reżimy” (nie sprecyzował niestety które), „nasze bezpieczeństwo jest zagrożone” (nie uściślił, w jaki sposób, przez kogo, gdzie i jak).

warto przypomnieć, że śmierć prawie 100 tys. Polaków i Polek w wyniku zarażenia covidem nie była wystarczającym powodem do wprowadzenia w jakiejś formie stanu wyjątkowego. Premier Morawiecki zapewniał wówczas: „Już teraz nie trzeba się jego bać (koronawirusa). Trzeba pójść na wybory. Wszyscy, zwłaszcza seniorzy, nie obawiajmy się, idźmy na wybory”. Gdyby ogłoszono stan wyjątkowy, uzasadniałoby to najróżniejsze ograniczenia swobód obywatelskich, które w tym czasie wprowadzano bezprawnie. Ale nie można by wtedy zorganizować wyborów prezydenckich, a „długopis” Andrzej Duda jest, był i będzie partii niezbędny do parafowania czegokolwiek, pocokolwiek i jakkolwiek.

Co oznacza *de facto* obecny stan wyjątkowy? W praktyce jest skierowany przeciw dwóm grupom zawodowo-społecznym, czyli organizacjom aktywistycznym, takim jak Fundacja Ocalenie, oraz dziennikarzom patrzącym na ręce funkcjonariuszom straży granicznej i policji oraz wojsku, których w opinii komentatorów oprócz łamania konwencji genewskiej można

Stan wyjątkowy, stan wymarzony

Z tym patologicznym, jaskiniowym antykomunistą jest trochę tak, że należy traktować jego wypowiedzi w sposób samoniwelujący ich sens, to znaczy zawsze czytać je na odwrót. Jeśli nas zapewnia o „ataku”, możemy być pewni, że nic takiego się nie dzieje. Jeśli jak zawsze winni są inni, to oznacza niechybnie, że sami sprokurowaliśmy problem. Jeśli z charakterystycznym patosem i zaśpiewem pseudopatriotycznym wygłasza tezę, że „w żadnym wypadku problem, o którym mówimy, nie dotyczy 32 osób przebywających w Usnarzu” (choć od dwóch tygodni pisowska władza i jej wiernopoddanie media gardlują, że uchodźców w Polsce nie ma – czyżby Kamiński Usnarz oddał Łukaszenko???) – możemy być pewni na 200%, że tak właśnie jest. 38-milionowy kraj zadrzał w posadach przed grupą zagłodzonych, pozbawionych wody, chorych, niemogących zaspokajać potrzeb fizjologicznych ludzi, którzy zgodnie z obowiązującymi w Polsce od 30 lat przepisami mają prawo złożyć prośbę o ochronę międzynarodową i zostać objęci adekwatną procedurą. Mam głęboką nadzieję, że zarówno Kamiński, jak i Duda, Morawiecki oraz „niewidzialny” wicepremier ds. bezpieczeństwa Jarosław Kaczyński za to przestępstwo staną przed niezawisłym sądem.

Zostawiając na boku kłamliwe i wydumane słowa polityków rządzącej formacji (choć nie tylko, POPiS-owy konsensus w sprawie uchodźców daje o sobie wyraźnie znać, wypowiedź Donalda Tuska o konieczności ochrony granic Europy równie dobrze mogłaby popłynąć, albo i płynęła, z ust wyżej wymienionej bandy czworga), spójrzmy, jaka wizja uprawiania polityki i tym samym wizja Polski wylania się z tego policyjno-wojskowego konceptu wprowadzenia stanu wyjątkowego. Może jeszcze

bezdyskusyjnie oskarżyć o tortury i nękanie, a także o stosowanie nieuznanej przez prawo metody *pushback*, czyli wypychania (często przy użyciu kolb karabinów i innej broni) uchodźców „z powrotem” na stronę białoruską. Warto dla potomności dorzucić jeszcze bezsprzeczne utrudnianie i uniemożliwienie parlamentarzystom wykonywania obowiązków poselskich czy – jak w przypadku posła Sterczewskiego – przekazania leków, wody i jedzenia maltretowanym, głodzonym i moknącym na deszczu uchodźcom i uchodźczyniom, w tym dzieciom. O braku imiennych identyfikatorów, oznaczeń jednostek (czy to jeszcze polskie służby, czy zielono-granatowe ludziki?) nawet nie wspominam. I o porażającym, stuporowym milczeniu i nieodpowiadaniu na jakiekolwiek pytania podczas tych kuriozalnych interwencji.

Tak właśnie wyobrażają sobie Polskę Kaczyński i jego podwładni: Duda, Morawiecki, ministrant Kamiński. Łamią obowiązujące prawo, bo co im kto zrobi? Kolejna podwładna Julia Przyłębska ze swoim tzw. Trybunałem Konstytucyjnym? Media nie opiszą, bo nie wolno im będzie się zbliżyć, organizacje pozarządowe nie przetłumaczą oczekiwań, żądań, prośb zamęczanych ludzi znad granicy, nie napiszą raportów, karetki nie podjadą, lekarze nie podejną. Fotografie i filmy nie powstaną. To marzenie władzy: wolna ręka, brak kontroli, śmierć transparentności, zero odpowiedzialności za przestępstwa.

Tak się jednak nie stanie, choćby nie wiadomo jak autorzy filozofowania drutem kolczastym wyginali swoje autokratyczne mózdzki.

Przed Sejmem głoduje w proteście przeciw tym działaniom kilkanaście osób. Chylę czoła.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Helena Kowalik

Po śmierci Adasia – zeznała Zofia K. – mąż zachowywał się tak, jakby się urwał z łańcucha. Nie odebrał ciała z prosektorium, nie uczestniczył w organizacji pogrzebu, spóźnił się na ceremonię żałobną.

Biegli psycholodzy stwierdzili, że zeznania kobiety nie spełniają kryteriów wiarygodności. Ich zdaniem Zofia K. ma skłonność do zniekształcania relacji, manipulowania otoczeniem, koncentrowania się na własnych potrzebach. To wynik zaburzenia emocjonalnego, którego cechą jest stały lęk przed porzuceniem przez bliską osobę.

Prokurator nie zgodził się z taką opinią. Główny zarzut: wnioski o nieprawidłowej osobowości badanej nie zostały powiązane z analizą treści jej zeznań. Na podstawie takiej ekspertyzy nie sposób ustalić, w którym momencie zeznania kobiety nie spełniają psychologicznych kryteriów wiarygodności. To dyskwalifikuje dowód przeprowadzony przez biegłych.

Takiej reakcji nie widziałem

W aktach prokuratorskich przybywało zeznań świadków. Ratownik medyczny z ekipy pogotowia wezwanego do Adasia zapamiętał docierający już w windzie płacz matki i „dziwną reakcję ojca dziecka”. – My w czasie akcji resuscytacyjnej zaklinaliśmy małego, aby walczył o życie, a ojciec siedział niewzruszony i bawił się telefonem. Widziałem różne reakcje rodziców, ale z taką spotkałem się po raz pierwszy. Kiedy uzupełniałem dokumentację medyczną po stwierdzeniu śmierci dziecka, podeszedł do mnie i zapytał, w jakim mechanizmie dochodzi do zatrzymania czynności serca z powodu urazu głowy – przypomniał.

Komentarz prokuratorski w akcie oskarżenia: „Treść pytania świadczy, że Oskar K. przygotowywał się do przyszłych czynności procesowych. Zapytanie o mechanizm zgonu składa się w całość ze sprawdaniem przez podejrzanego w internecie tuż po śmierci dziecka, jakie okoliczności mogą być istotne dla ustalenia przyczyny zgonu. Podejrzany na moje pytanie o okoliczności śmierci dziecka zaczął tak: »Chcę powiedzieć, że pomodłę się za panią, bo pani nie zna

Piętno dzieciobójcy

cz. II



Dla Oskara K. dzieci były przeszkodą w zaspokajaniu własnych potrzeb

wszystkich szczegółów, jak przebiegało to, co przeżyliśmy».

Nie wyjaśnił, co się wydarzyło z córką. Jego teatralna ekspozycja to kolejna próba odejścia od tematu. Nie chciał mówić o okolicznościach zgonu dzieci, ponieważ obawiał się, że podane przez niego informacje mogą pogorszyć jego sytuację procesową. Wolał obserwować, co się dzieje, i dostosowywać się do okoliczności”.

Teściowa Oskara K. zeznała, że zięć nie interesował się pogrzebem synka. Zaraz po tragicznym wydarzeniu wyszedł rzekomo do pracy. Nie wiem, co trzeba zrobić dziecku – świadek nie mogła powstrzymać płaczu – żeby zemdleło. To zdarzało się tylko wtedy, kiedy ono było z moim zięciem.

Kobieta została poddana badaniu wariografem. Według wykrywacza kłamstw mówiła prawdę.

W śledztwie bardzo ważne były opinie biegłych. Skorzystano z opinii 17 specjalistów w zakresie m.in. neuropatologii, psychologii, psychiatrii, seksuologii, wariografii kryminalistycznej, psychologii sądowej i śledczej czy laboratoryjnej genetyki medycznej. Prokuratura zgromadziła ponad 40 opinii.

Biegli patomorfolodzy wykluczyli, aby śmierć chłopca była skutkiem wyślizgnięcia się z rąk ojca. Już z pierwszych badań wynikało, że obrażenia czaszki nie jest typowy jak na pojedynczy upadek na podłogę przykrytą dywanem. Obrażenia wyglądały tak, jakby dziecko spadło z trzeciego piętra. Wersja ojca dziecka, że chwycił za nóżki wyrwijącego się niemowlaka, nie korespondowała z rozległymi obrażeniami głowy.

W czasie drugiej sekcji zarządzanej przez prokuraturę biegły stwierdził, że śmierć pięciomiesięcznego chłopczyka nie była nieszczęśliwym wypadkiem. Do urazów doszło w wyniku co najmniej trzech tępych, dokonanych ze znaczną siłą, uderzeń głowy o podłogę. Złamane żebra dziecka to zdaniem biegłych wynik rozmyślnego ściskania klatki piersiowej z tyłu, czyli nie tak, jak w czynnościach resuscytacyjnych.

Inteligentny egocentryk

Pod koniec listopada 2017 r. Oskar K. został zatrzymany przez policję. W stołecznej prokuraturze

okręgowej usłyszał zarzuty zabójstwa Adasia i nakłaniania w 2015 r. żony do przerwania ciąży z ich pierwszym dzieckiem.

Podjeżdżany nie przyznał się do zbrodni. Podtrzymał to, co mówił od samego początku, że syn wypadł mu z rąk. Podczas przesłuchań twierdził, że kochał swoje dzieci i żonę.

Dopytywany, w jakich okolicznościach doszło do śmierci córki, wprowadził do wyjaśnień – jak stwierdziła prokurator – „elementy, które mają wytworzyć u słuchacza przekonanie, że podczas niesienia dziecka pojawiły się czynności absorbujące jego uwagę (np. zapalenie światła w pokoju). W ten sposób K. dążył do uprzedzenia pytań, które mogą się pojawić. Już w fazie spontanicznej wypowiedzi sam z siebie opisał pozycję dziecka, bo wiedział, że to może mieć znaczenie dla kwestii jego odpowiedzialności karnej. Ekspozował nerwowo tiki Adasia, zatajając, że po wypisaniu dziecka ze szpitala prężenie ustąpiło”.

Usiłował też wzbudzić litość przesłuchujących. Obrazowo opisywał swój stan: „Z każdym dniem jest coraz ciężiej. Jakby się wchodziło na taką górę, gdzie wraz ze wzrostem wysokości maleje stężenie powietrza. Człowiek się dusi i najzwyczajniej przestaje iść”.

W lutym 2018 r. zostały ekshumowane zwłoki Kasi. Badania szczątków wykazały, że dziewczynka też mogła

i egocentryczną. „Ojcowie egocentryczni – dodał – nadają sobie prawo do decydowania o życiu i śmierci swojego potomka, ponieważ na poziomie mentalnym jest on dla nich ich własnością i źródłem dodatkowych obowiązków. Nie dostrzegają w sposób empatyczny odrębności dziecka jako istoty żywej. Tyczy się to również zabójstwa potomka w sytuacji, gdy uznają go za zbędny balast, destabilizujący ich dotychczasowe życie. Rekonstrukcja procesu motywacyjnego podejrzanego w zakresie zarzutu zabójstwa syna każe wziąć pod uwagę powielenie wcześniej zastosowanego schematu rozwiązania życiowych trudności, tj. celowego uśmiercenia córki”.

Zwierzenia pod celą

Podejrzanego o zamordowanie obojga dzieci solidarnie broniła jego rodzina. Babcia opowiadała w czasie przesłuchania, jak wspaniale jej głęboko wierzący wnuk opiekował się niepełnosprawnym bratem podczas wyjazdu rodziców do Rzymu. Kiedy padały pytania podważające ten szlachetny wizerunek, starsza pani zasłaniała się niepamięcią.

Prokurator tak to skomentowała w akcie oskarżenia: „Zeznania są wyuczone. Świadek wypiera możliwość jakiegokolwiek odpowiedzialności ojca za śmierć dzieci, tłumaczy, że wypadki się zdarzają”.

przedstawił jej syn. Identyfikowała się z jego emocjami, choć zdaniem prokurator była powierzchownie zorientowana w szczegółach życia swojego dorosłego dziecka i jego systemie wartości.

Inaczej oceniali Oskara K. jego koledzy ze studiów i z pracy. (K. był z zawodu inżynierem ochrony środowiska, ale nie pracował w zawodzie). Nie wystawili mu dobrego świadectwa. – On jest wewnętrznym socjopatą – powiedział jeden z nich.

Szczególnie ważnych informacji dostarczył organom ścigania więzień, który siedział z podejrzanym w jednej celi. Jak zeznał ów aresztant, Oskar K. zwierzył mu się, że zabił Adasia (mówiąc o synu, używał zwrotu „to”), uderzając nim o podłogę, bo się zdenerwował. Córki też nie znośli, bo nazbyt absorbowala żonę, a to się odbijało na ich pożyciu seksualnym. On zszedł na drugi plan.

Współwięzień pytał, jak naprawdę było z Kasią. Usłyszał takie zwierzenie: „Odwróciłem dziecko do góry nogami, nacisnąłem na brzuch i włożyłem głęboko do buzi gruszkę do odsysania śluzu, wtedy zwymiotowała... Następnie wprowadziłem nadtrawioną treść pokarmową do tchawicy i po wszystkim. A lekarze zastanawiali się nad śmiercią łóżeczkową”.

Biegle zweryfikowali tę relację i uznali ją nie tylko za prawdopodobną, ale i dostarczającą w końcu odpowiedzi na pytania konsylium lekarskiego.

Na przykład dlaczego w płucach dziecka nie rozwinął się odczyn zapalny? I dlaczego nic się nie ułato? Otóż dlatego, że od wywołania zachłyśnięcia do zgonu Kasi upłynęło bardzo niewiele czasu. W trakcie reanimacji nic już nie mogło się ułać, bo dziewczynka nie żyła. Oskar K. o tym wiedział.

Dwa światy – wykreowany i rzeczywisty

26-letni inżynier został oskarżony o popełnienie kilku przestępstw.

Po pierwsze, „22 kwietnia 2016 r. w wyniku frustracji związanej z ojcostwem niechcianego dziecka traktowanego jako balast w zaspokojeniu własnych potrzeb życiowych, w tym seksualnych, zabił trzymiesięczną córkę, pozorując jej zachłyśnięcie

Po śmierci Adasia mąż zachowywał się tak, jakby się urwał z łańcucha.

zostać zamordowana. Zdaniem biegłych możliwe było upozorowanie zachłyśnięcia. Mimo że badania przeprowadzono ponad rok od śmierci dziewczynki, biegli ustalili, że kiedy Zofia K. wróciła do domu z galerii handlowej, Kasia mogła już nie żyć od godziny.

Wykluczono tzw. śmierć łóżeczkową (pierwotnie w szpitalu postawiono taką diagnozę) oraz to, że dziewczynka miała wady wrodzone. Pojawiła się hipoteza, że wprowadzenie treści pokarmowej do dróg oddechowych mogło się odbyć np. przy użyciu gruszki do odsysania śluzu u niemowląt.

Biegły psycholog ocenił poziom inteligencji Oskara K. bardzo wysoko, a osobowość jako niedojrzałą

Z kolei matka Oskara ekspozowała w swoich zeznaniach, że wnuk na skutek niedotlenienia mózgu miał niekontrolowane ruchy spastyczne. Prokurator zauważyła, że przesłuchiwana, wyprzedzając pytania śledczych, wprowadzała do zeznań motyw odchylenia głowy dziecka, który jest linią obrony podejrzanego. Mówiąc o potknięciu się syna, znaczną część relacji skupiła na wskazaniu, że zabezpieczył dziecko, a nie na przebiegu zdarzenia. Jej relacje nie znajdują potwierdzenia w obiektywnych dowodach.

Co do śmierci wnuczki, świadek starała się zasiać wątpliwość, czy dziecko było zdrowe, a jeśli nie, to odpowiedzialnością za to obarczała synową. Nie dopuszczała innych scenariuszy wydarzenia niż ten, który

► się". Prokuratura uznała, że zadał córce „cierpienia ponad miarę”.

Po drugie, 8 września 2017 r. „powodowany chęcią wyeliminowania wydatków związanych z utrzymaniem chorego syna” uderzył ze znaczną siłą głową dziecka o podłogę, powodując co najmniej trzy masywne urazy, złamanie kości sklepienia i podstawy czaszki. Ściskając klatkę piersiową, doprowadził do złamania żeber. Dziecko zmarło kilka godzin później”.

Po trzecie, miał w mieszkaniu wyposażenie do nielegalnej uprawy konopi metodą *in door*.

Po czwarte, nakłaniał żonę do przerwania ciąży. Zamówił tabletki wczesnoporonne, zachęcał do ich przyjęcia. Mówił jej, jak domowym sposobem wywołać poronienie.

Po piąte, na uczelni wprowadził w błąd członków komisji stypendialnej, uzyskując 2,5 tys. zł zapomogi losowej rzekomo w związku z większymi wydatkami na córkę. Dziewczynka wtedy już nie żyła, a on sam nie ponosił kosztów utrzymania dziecka.

Po szóste, w innej uczelni wyłudził 2 tys. zł zapomogi na rzekome leczenie się u psychiatry po śmierci syna. Podrobił podpis żony na wniosku o dochodach, aby dostać zwiększone stypendium socjalne. Z towarzystwa ubezpieczeniowego wziął odszkodowanie z powodu nieszczęśliwego wypadku polegającego na upuszczeniu dziecka.

Na pierwszej rozprawie sądowej oskarżony stwierdził, że postawione zarzuty są dla niego „bolesne, krzywdzące, nieprawdziwe i nie do przyjęcia, jako że abstrakcyjne”. – Nigdy w życiu nie planowałem nikomu zrobić krzywdy, tym bardziej swojemu dziecku. Kochałem syna i chciałem dla niego jak najlepiej – oświadczył. Długo się rozwodził na temat ojcowskiej miłości.

Wiele miała do powiedzenia wezwana na świadka kuzynka oskarżonego, matka chrzestna Adasia. Z ogromnym poświęceniem pomagała Zofii K., gdy ta przebywała z chorym synkiem w CZD. – Kuzyn rzadko się tam pojawiał – zeznała.

– Jeśli już odwiedził żonę, nie pytał, jak syn się czuje. Postać pół godziny na korytarzu, zajęty swoim telefonem komórkowym, wychodził.

Po śmierci dzieci, gdy Zofia przez pewien okres z nią zamieszkała, doszło do zwierzeń kobiet. Matka Kasi i Adasia poskarżyła się, że Oskar popchnął ją, gdy w dziewiątym miesiącu ciąży przechodziła przez jezdnię, przestawiał pod jej nieobecność meble w mieszkaniu, tak że mogła upaść, idąc w nocy do łazienki. Specjalnie trzaskała drzwiami w czasie snu dziecka...

Ale na Facebooku zamieszczał zdjęcia, jak podaje żonie śniadanie do łóżka. – To były dwa światy – powiedziała w sądzie krewna Oskara K. – wykreowany i rzeczywisty.

Zeznania Zofii K. zostały utajnione na wniosek obrony i prokuratora. Proces trwa.

Helena Kowalik

Inicjały stron procesowych oraz imiona poszkodowanych dzieci są zmienione.

Zostań Partnerem Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę

Rozpoczynamy projekt rozbudowy i modernizacji placówki, w której skrzywdzone i wykorzystywane seksualnie dzieci od 2018 roku otrzymują bezpłatną pomoc.

Pomóż dzieciom – dołącz do Partnerów Zielonego Centrum Pomocy Dzieciom!

Kontakt: magda.sadlowska@fdds.pl

Więcej na stronie: fdds.pl



tremend



Przywieziono ich w nocy autobusami. W cienkich ubraniach, tylko z tym, co mieli przy sobie. Był mężczyzna w jednym bucie – w ścisku i zamieszaniu na lotnisku zgubił drugi, bo tam walczyli o życie. Mimo że na liście do wyjazdu do Polski były całe rodziny, to talibowie decydowali, kto leci, kto nie.

– Zostali w piekle – mówi żona lekarza specjalisty, 52-lotka. Męża i syna zatrzymali talibowie. Jej kilkunastoosobowa rodzina medyków, farmaceutów, pielęgniarzy i studentów, także uczących się do niedawna dziewcząt, drży o los bliskich. Lekarz jest w Afganistanie potrzebny, ale rodzina, która uciekła do kraju będącego sojusznikiem USA, może się okazać dla niego i syna wyrokiem śmierci. Spalono im paszporty. Wszyscy szukają pomocy, by ściągnąć ich do Polski. – Im dłużej to potrwa, tym mniejsze mają szanse – mówi zrozpaczony drugi syn, także lekarz.

Są policjanci z rodzinami, wierni towarzysze polskich żołnierzy. Jeden z nich, 30-latek, pięć tygodni temu został ranny w twarz w akcji z polskimi żołnierzami. Teraz ma bliznę, zdeformowany nos i usta. I czuje nieustanny ból. Ma zniszczone zęby, może jeść tylko miękkie pożywienie. Czwórka jego dzieci już się oswoiła z widokiem taty, który z trudem mówi i oddycha. Mężczyzna prosi o krople do nosa, bo z powodu nieustannie zatkaanej przeurody nie może spać. Wojna z talibami nie pozwoliła na uzyskanie właściwej opieki medycznej. Razem z nim jest brat z rodziną, inny policjant – bohater kilku polskich operacji. Jeszcze inny pomocnik Polaków jest tu sam. Wciąż ma w ciele odłamki po jednej z akcji. Dawni towarzysze broni starają się, by pomoc nie skończyła się na paczkach z odzieżą i dachu nad głową – to także moralnie wzmacnia „naszych Afganczyków”, jak się o nich mówi.

Kilka dni po przyjeździe uchodźców w lokalnym szpitalu urodziła się dziewczynka, została Kasią. 10 punktów w skali Apgar. To rodzina prawnika, nauczyciela. Są mniejszością szyicką w Afganistanie, a tę talibowie prześladowają. Mama czuje się dobrze, dziecko ma polską książeczkę zdrowia. Inna córka uchodźców urodziła się w drugim krańcu regionu.



Do ośrodka przywieziono ich w nocy autobusami, tylko z tym, co mieli przy sobie.

Być człowiekiem wobec uchodźcy

116 uchodźców z Afganistanu rozlokowano na Opolszczyźnie. Polscy sąsiedzi przypominają sobie, jak to jest być dobrym człowiekiem

Dzieciaki widzą deszcz i wybiegają na podwórko, szaleją, tańczą, śmieją się w kafuzach, śmieją się, jak to dzieci. Opiekunowie z ośrodka są przestraszeni, że się poprzeciębiają, jeden z afgańskich lekarzy, tata dwojga dzieci, uspokaja z uśmiechem: – My jesteśmy z Afganistanu, nie znacie naszych zim!

Starsze dziewczyny przynoszą talerze, zmiatają, pilnują mniejszych dzieciaków, dbają o porządek. Polscy gospodarze ośrodków doglądają, dopytują, organizują, co trzeba. W kuchni rządzą uchodźczynie, gotują dla wszystkich po swojemu, żeby czuli się jak w domu. Także urzędnicy starają się, jak mogą, choć to całkiem nowe wyzwania i spotkania kulturowe.

Po traumach ucieczki i podróży, wymuszonych rozstaniach z najbliższymi, po utracie dorobku życia, statusu społecznego każdy cierpi inaczej: podwyższony stan cukru, osłabienie, stany depresyjne, płacz, załamanie, apatia, do tego dochodzi samotność. Policjanci z Afganistanu i inni, wspierający Polaków i Amerykanów, czują się oszukani. Liczą teraz, że Polska pomoże im odbudować życie. Wiedzą, że na towarzyszy,

z którymi współpracowali, mogą liczyć, ale ci mogą, ile mogą. – Będziemy o nich walczyć – mówi mi jeden z żołnierzy.

Uchodźca od 2015 r. za sprawą propagandy PiS stał się dla Polaków synonimem kogoś niebezpiecznego, a co najmniej podejrzanego. Do tego są „gorsi” uchodźcy, jak czytamy w ekspertyzie PAN z 2017 r. – ci pochodzą z odległych krajów z islamem jako religią dominującą. Tym bardziej cieszy postawa działaczek ze Stowarzyszenia na rzecz Rozwoju Wsi Suchy Bór, opolskiego KOD, różnych środowisk na Opolszczyźnie. Organizowali zbiórki i zebrali tyle rzeczy, że prosili o wstrzymanie się z darami. Właściciele skromnych ośrodków pobytu uchodźców słyszeli z początku: „Ile ty na nich zarobisz”, „Ale się dorobisz na tych...” albo „Ci wasi Afgani chodzą po ulicach”. Szybko jednak sąsiedzi zaczęli przynosić ciasto, strażacy zbierali i przynosili dla dzieci owoce, ktoś zaproponował pomoc, by odpowiedzialni za pobyt tych strauatyzowanych rodzin sami mogli nieco odpocząć. Człowiek budzi się w Polaku. A uchodźca też człowiek.

b.dzon@tygodnikprzeгляд.pl



Członkowie IS-K odpowiedzialni za zamach na ministerstwo komunikacji w Kabulu, kwiecień 2021 r.

Afganistan czy kalifat

Ambicje Państwa Islamskiego Prowincji Choraszan rozciągają się na wszystkie sąsiednie kraje zamieszkane w zdecydowanej większości przez muzułmanów

Marcin Terlik

26 sierpnia oczy całego świata zwrócone były na lotnisko w Kabulu. Tysiące Afgańczyków desperacko próbowali wydostać się zachodnimi samolotami ze zdobytego przez talibów kraju. Przed bramami kontrolowanego przez Amerykanów lotniska panował chaos. Waszyngton ostrzegał, że w tych warunkach lada chwila może tam dojść do ataku terrorystycznego, a kolejne kraje związały w pośpiechu swoje akcje ewakuacyjne.

Zamach nastąpił chwilę przed godz. 18. Terrorysta wysadził się w powietrze przy bramie Abbey, przez którą zachodni żołnierze wpuszczali na teren lotniska uciekających ludzi. W wyniku eksplozji zginęło ponad 180 osób, w tym 13 amerykańskich wojskowych.

Uwaga świata do tej pory skupiona była na talibach, radykalnym islamskim ugrupowaniu, które w błyskawicznej ofensywie w kilka tygodni zajęło Afganistan. Do ataku bombowego przyznała się jednak inna organizacja, pozostająca ostatnio na uboczu – Państwo Islamskie

Prowincji Choraszan. Prowadzi ono wojnę zarówno z międzynarodową koalicją, jak i z samymi talibami.

Terrorystyci z kraju wschodzącego słońca

Choraszan po persku znaczy „tam, gdzie wstaje słońce”. Wieki temu nazywano tak krainę rozciągającą się na części terenów dzisiejszych Afganistanu, Pakistanu, Iranu, Turkmenistanu, Uzbekistanu i Tadżykistanu. Użycie tego określenia przez organizację terrorystyczną nie jest przypadkowe. Bojownicy Państwa Islamskiego w Iraku i Syrii chętnie się znoszeniem granic będących spadkiem po kolonialnych mocarstwach i tak samo ich naśladowcy w Azji Centralnej nie uznają narysowanych na mapie kresek za ostateczne. Jedni i drudzy wierzą w ustanowienie kalifatu – jednego państwa, które obejmie zasięgiem wszystkich rozrzuconych po świecie muzułmanów.

Pod Hindukuszem pojawili się na początku 2015 r., wkrótce po tym, jak na pustyniach Iraku i Syrii załazek swojego Państwa Islamskiego ustanowili tamtejsi fundamentalści. W Afganistanie ogłosili lojalność

wobec odległego o tysiące kilometrów nowego kalifa, rzucając wyzwanie nie tylko popieranemu przez Zachód rządowi w Kabulu, ale też prowadzącym od lat partyzanckie powstanie talibom. Ci drudzy, choć w czasach swoich rządów w latach 90. zakazali kobietom edukacji, zabronili słuchania muzyki i wprowadzili kary rodem ze średniowiecza, dla Państwa Islamskiego Prowincji Choraszan (z angielskiego określanego skrótem IS-K) byli zbyt mało radykalni. „Brudni nacjonalisci”, jak nowa organizacja nazywała talibów, chcieli władzy tylko w Afganistanie, zdradzając tym samym wezwanie irackiego kalifa do stworzenia jednego muzułmańskiego imperium.

IS-K początkowo osiągało sukcesy militarne, przyciągając zagranicznych ochotników i rozzarowanych talibów. Udało mu się nawet zdobyć tereny w niedostępnych górach na wschodzie Afganistanu, przy znanej z nieszczelności granicy z Pakistanem. W kolejnych latach terrorystyci z Prowincji Choraszan musieli jednak cofnąć się pod jednoczesnym naporem talibów i kabulskiego rządu, wspieranych przez amerykańskie natoly.

Filie od Atlantyku po Filipiny

W tym samym czasie w Iraku i Syrii upadł stworzony przez centralę Państwa Islamskiego kalifat, pokonany przez rządy tych krajów i kurdyjskie bojówki, przy udziale szerokiej międzynarodowej koalicji. Tym większe stało się znaczenie odległych komórek organizacji, operujących od Afryki Zachodniej po Filipiny. – Działanie tych filii stało się *modus operandi* Państwa Islamskiego, by przetrwać – zaznacza Arkadiusz Legieć, analityk Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych do spraw Kaukazu i Azji Centralnej. – Rozrzucone po świecie komórki zapewniają możliwość kontynuowania propagandy, przepływów finansowych i logistycznych. Oddziały Prowincji Chorasán również spełniają tę funkcję, mimo że nie są zbyt liczne i nie są w stanie kontrolować terytorium. Jednak ewentualna destabilizacja Afganistanu daje szansę, by stał się on centrum operacyjnym całego Państwa Islamskiego – dodaje Legieć.

IS-K po porażkach na polu bitwy zeszło do podziemia, skąd przeprowadzało jedno z najkrwawszych i najokrutniejszych zamachów w Afganistanie. Za cel obrało sobie często Hazarów, etniczną mniejszość wyznającą szyicką odmianę islamu, a więc uznawaną przez sunnickie Państwo Islamskie za odstępców od prawdziwej wiary.

Rzadką okazję zajrzenia za kuliszy działań IS-K miał kilka lat temu dziennikarz katarskiej Al-Dżaziry. Terrorysty

samobójca wysadził się na weselu w Kabulu, pozbawiając życia co najmniej 92 osoby. W maju 2020 r. uzbrojeni terroryści weszli na oddział położniczy stołecznego szpitala, zabijając dwoje niemowląt oraz 12 matek i pielęgniarek. Rok później przed szkołą dla dziewcząt wybuchł samochód pułapka. Zginęło co najmniej 90 osób.

ONZ niedawno ostrzegała, że choć wojskowo IS-K może się wydawać pokonane, wciąż zachowało wysoką zdolność do przeprowadzania brutalnych samobójczych zamachów.

Narzędzie w negocjacjach

Diagnozę tę potwierdził zamach przy kabulskim lotnisku. Część ekspertów zwracała po nim uwagę, że Państwo Islamskie Prowincji Chorasán może poważnie zagrozić nowemu reżimowi talibów, podważając jego obietnice zaprowadzenia silną ręką porządku w zniszczonym przez wojnę kraju.

Innego zdania jest Natiq Malikzada, afgański dziennikarz i działacz na rzecz praw człowieka, mieszkający obecnie w New Delhi. – Myślę, że o ostatnim ataku w Kabulu zdecydowało IS-K wspólnie z talibami – mówi. – W ten sposób wystali światu wiadomość, że jeśli w Afganistanie nie będzie centralnej władzy, Państwo Islamskie będzie zagrożeniem dla wszystkich. Lepiej więc, by Amerykanie i Zachód uznali rząd talibów.

Malikzada ostrzega przed potrzebą na afgańską politykę przez

pokazując je jako prawdziwe zagrożenie dla świata – uważa afgański dziennikarz.

Rosja i Chiny przed dylematem

Rozwój wydarzeń w Afganistanie może budzić niepokój w całym regionie Azji Centralnej. Jak zaznacza Arkadiusz Legieć, ambicje IS-K rozciągają się w zasadzie na wszystkie sąsiednie państwa, zamieszkane w zdecydowanej większości przez muzułmanów.

– Państwo Islamskie stara się działać przede wszystkim tam, gdzie organy władzy są słabe i istnieją podstawy do radykalizacji ludności. W tej chwili trudno mu operować w Uzbekistanie czy Turkmenistanie, których totalitarne reżimy w dużym stopniu kontrolują swoje terytorium i granice. Inaczej jest już w słabych Tadżykistanie i Kirgistanie, na pograniczu afgańsko-pakistańskim, a nawet w części Iranu – tłumaczy analityk PISM. – IS-K poprzez serię zamachów pokazujących, że talibowie nie są w stanie zapewnić bezpieczeństwa w Afganistanie, może budować swoją siłę, która następnie będzie rezonować w regionie. Tak myślą ci ludzie.

Rosja, Chiny i byłe republiki ZSRR mają więc poważny dylemat. Z jednej strony, dojście do władzy radykalnych talibów może ośmielić ekstremistów na ich własnych terenach. Z drugiej, nowe władze Afganistanu mogą mimo wszystko okazać się mniejszym złem. Talibowie podkreślają, gdzie tylko mogą, że zrozumieli swoje błędy z przeszłości i interesuje ich wyłącznie Afganistan, a nie wzniesienie islamskiej rewolucji na świecie.

– Rosjanie od kilku lat rozwijali relacje z talibami, państwa Azji Centralnej także co najmniej od kilkunastu miesięcy przygotowywały się na wariant przejęcia przez nich władzy. Na razie powstrzymują się od radykalnej krytyki tego ruchu i utrzymują swoje przedstawicielstwa w Afganistanie. Obawiają się nie tylko terroryzmu, ale też migracji, przemytu narkotyków, eksportu islamskiego radykalizmu. Z ich punktu widzenia, jeśli talibowie utrzymają władzę w Afganistanie, to pewnie niestety w jakiś sposób trzeba będzie z nimi się dogadywać – podkreśla ekspert PISM.

Państwo Islamskie Prowincji Chorasán chce pokazać, że talibowie nie są w stanie zapewnić bezpieczeństwa.

wpuścili go z kamerą do swojej kryjówki w afgańskich górach. Tym, na co przede wszystkim zwrócił uwagę, była prowadzona przez nich radykalizacja dzieci. Bojownicy Państwa Islamskiego, wzorując się na towarzyszach z Iraku i Syrii, w wiejskiej szkółce szkolili kilkuletnich chłopców w obsłudze karabinów i granatów. Pokazali dziennikarzowi również dwóch wyraźnie przestraszonych nastolatków, którzy według zapewnień terrorystów mieli być gotowi do samobójczych zamachów.

W ostatnich latach IS-K dokonało całej serii takich ataków. W sierpniu 2019 r. należącej do organizacji

pryzmat prostych podziałów. Zaznacza, że IS-K wywodzi się częściowo z ruchu talibów. – Trzeba pamiętać, że talibowie nie są jednolitą organizacją, ale składają się z co najmniej 19 różnych grup. Niektóre jeszcze przed 2015 r. oddaliły się od głównego nurtu. Potem dołączyły do Państwa Islamskiego, ale zachowały różnego rodzaju relacje i kontakty z pozostałymi talibami. Ich walki często wynikały nie z kwestii ideologicznych, ale z złości. Gdy talibowie rozpoczęli rozmowy dyplomatyczne z Zachodem, użyli Państwa Islamskiego Prowincji Chorasán jako narzędzia w negocjacjach. Mogli się przy nim wybielić,

Nowi przyjaciele talibów – cz. II

Koalicję popierającą talibów tworzą dziś Chiny, Pakistan, Iran, Rosja oraz do pewnego stopnia Turcja

Andrzej Kowalski

Dwa tygodnie temu (PRZEGLĄD nr 35) przedstawiliśmy scenariusz potencjalnych wydarzeń w Afganistanie z punktu widzenia jego sąsiadów, przede wszystkim Chin. Nasza teza o nadzwyczajnym zainteresowaniu Pekinu Afganistanem znalazła potwierdzenie.

Specjalnym przedstawicielem ChRL do spraw Afganistanu został mianowany Yue Xiaoyong. Ma 60 lat, jest zawodowym dyplomatą, doktorem filozofii Uniwersytetu w Wuhanie. Ostatnio był ambasadorem w Irlandii, wcześniej zajmował takie stanowiska w Jordanii i Katarze. W życiorysie ma również ważne stanowiska w MSZ ChRL i radzie państwowej, czyli rządzie – był w niej dyrektorem generalnym biura strategii.

W ubiegłym tygodniu, składając wizytę w Pakistanie, Yue Xiaoyong powiedział: „W perspektywie Chiny są gotowe wziąć udział w pokojowej rekonstrukcji Afganistanu. Jesteśmy otwarci na współpracę z nowymi władzami na zasadach obopólnych korzyści”. Podkreślił też, że w ramach kooperacji z innymi państwami regionu ChRL działa na rzecz urzeczywistnienia chińskiej inicjatywy „Pasa i Szlaku”. W odbudowie Afganistanu widzi także rolę dla Szanghajskej Organizacji Współpracy, w której Kabul jest obserwatorem. Pekin jest gotów do współpracy z talibami w zapewnieniu bezpieczeństwa i „zwalczaniu terroryzmu”. Z kolei chińskiemu portalowi Guancha.cn powiedział: „Talibowie są, z mojego doświadczenia z rozmów z nimi, dokładnie tacy sami jak inni Afgańczycy z wiosek czy miast”. Są też zdecydowani korzystać z doświadczeń innych państw, również Chin.

Rząd Chin nadal utrzymuje stosunki dyplomatyczne z dotychczasowymi władzami Afganistanu – najprawdopodobniej do czasu jednoznacznego zerwania związku talibów z muzułmańskimi separatystami



Specjalnym przedstawicielem ChRL do spraw Afganistanu został Yue Xiaoyong, który ostatnio był ambasadorem w Irlandii.

w prowincji Sinkiang (Xinjiang), zwanej także Wschodnim Turkiestanem. Islamski Ruch Wschodniego Turkiestanu (ETIM – East Turkestan Islamic Movement) jest w opinii Pekinu organizacją terrorystyczną. Brak wsparcia z Afganistanu dla Ujgurów zamieszkujących tę prowincję jest dla Chin kluczowy. Tego dotyczyły rozmowy prowadzone w Katarze przez ambasadora Chin w Afganistanie z Abdulem Salamem Hanafim, zastępcą szefa biura polityki Afganistanu w emiracie. Yue Xiaoyong spotkał się tam z ministrem spraw zagranicznych Kataru szejkiem Mohammedem bin Abdulrahmanem Al-Thanim. Ambasador wykorzystał okazję do skrytykowania USA za „pośpieszne i nieodpowiedzialne” wycofanie wojsk z Afganistanu, zasługujące na potępienie społeczności międzynarodowej. Jego zdaniem nie zwalnia to USA z dalszej odpowiedzialności za sytuację w tym kraju.

Rządzący do 2001 r. Afganistanem talibowie nie utrzymywali stosunków międzynarodowych. Zanarchizowane państwo żyło z hodowli i handlu narkotykami oraz pomocy państw arabskich. Talibowie 2.0 odrzucili islam wahabicki i rolę Arabii Saudyjskiej w przyszłym rozwoju ich państwa. Wydaje się, że koalicję popierającą talibów tworzą dziś Chiny, Pakistan, Iran, Rosja oraz do pewnego stopnia Turcja. Bezwarunkowe poparcie tej koalicji dla reżimu talibów w kształcie sprzed 20 lat jest mało prawdopodobne. Stąd też zapewnienia talibów 2.0, świadomych swoich ograniczeń, o stosowaniu się do ogólnie przyjętych w regionie norm w polityce zagranicznej i wewnętrznej. Czyli szariatu podobnego jak w Pakistanie czy konserwatywnych krajach arabskich. Wydaje się, że model, do którego będą dążyć talibowie, może być bardzo podobny do irańskiego. Również dla państw wyżej wymienionej koalicji ważne będzie, by przyszły rząd afgański miał jak najszerszą bazę społeczną. Stąd rozmowy talibów z rządem, jeszcze formalnym, czy Ahmadem Masudem, synem Lwa Pandższiru, szejka Ahmada Szaha Masuda. Tadżykowie, albo szerzej Sojusz Północny, w takiej czy innej formie są również bardzo istotni dla Chin, ze względu na ich możliwe poparcie dla Ujgurów.

Krótkoterminowe cele talibów to: zakończenie działań wojennych, brak odwetu na dotychczasowych przeciwnikach, wprowadzenie wersji szariatu, która będzie do zaakceptowania wewnątrz i za granicą, bezpieczeństwo dyplomatów i obcokrajowców, brak zezwolenia na eksport terroryzmu z terytorium Afganistanu. Ta taktyka wydaje się dziś trudna do osiągnięcia. Dlatego rysowanie dalekosiężnych planów talibów wydaje się nawet mniej ryzykowne. W najgorszym wypadku państwa niepopierające talibów mogą chcieć zezwolić, by historia się powtórzyła. ■



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Jakie państwo dobrobytu?

Czytam jeden z ostatnich tekstów Witolda Gadomskiego w „Gazecie Wyborczej” i oczom nie wierzę. Oto ten zagorzały obrońca neoliberalnej ortodoksji proponuje stypendia dla biednych dzieci, mające ułatwiać im awans społeczny dzięki porządnej edukacji. Co więcej, twierdzi, że powinno te stypendia fundować państwo. Państwo!!! Coś podobnego. Przecież państwo miało do niczego się nie wtrącać, wszak rynek kapitalistyczny jest zdolny załatwić wszystko sam. Państwo socjalne zaś to nic innego jak marnowanie zasobów, psucie leniwych obywateli przez uzależnianie ich od pomocy społecznej, odbieranie im samodzielności i tuczenie kosztem innych, ciężko pracujących, którzy bez niczyjej pomocy sami wykuwają swój los. Tak przecież przedstawił sprawę Janusz Lewandowski w „biblii” polskiego neoliberalizmu „Neoliberalowie wobec współczesności”. Redaktor Gadomski był przez dziesięciolecia wiernym wyznawcą tej koncepcji. A teraz państwo, stypendia, pomoc najsłabszym? Przecież to „polityka zombie”, jak był łaskaw przedstawić w jednym z felietonów moje uporczywe domaganie się aktywnej roli państwa w wyrównywaniu szans. Co się dzieje? Co rusz czytam dziś w wynurzeniach naszych rodzimych neoliberalów zdania zadziwiające z punktu widzenia ich niegdyśszych poglądów – odwołania do państwa socjalnego, aktywnej roli państwa itd. No ale żeby redaktor Gadomski? To już zakrawa na cud.

No dobrze, to teraz, drodzy (byli) neoliberalowie, zastanówmy się wspólnie, jakiego państwa socjalnego chcemy. Skoro mamy już zgodę, że jest ono niezbędne, wypadłoby się zastanowić, który jego model wybrać. Jak bowiem wskazał wiele lat temu klasyk tej problematyki Gøsta Esping-Andersen, jest ich kilka. Najważniejsze określa się mianem chadeckiego, liberalnego i socjaldemokratycznego. W każdym przypadku potrzebne są pieniądze. Ich jedynym stabilnym źródłem mogą być podatki. W krajach zachodnich, nawet w USA, zasadą, której już nikt nie podważa, jest progresywność skali podatkowej. Tymczasem w Polsce od dziesięcioleci mamy do czynienia ze skalą regresywną, tzn. biedniejsi płacą proporcjonalnie więcej niż bogatsi. Tak nie zbudujemy państwa dobrobytu. A już na pewno nie zbudujemy tego, które jest zdecydowanie najlepsze, czyli socjaldemokratycznego (nordyckiego). Jak wiadomo, cechuje się ono niezwykle wysokim poziomem usług publicznych, ale też wysokimi podatkami. Gra jest jednak warta świeczki, skoro we wszystkich statystykach jakości życia państwa skandynawskie zajmują najwyższe pozycje.

Pora zatem rozpocząć dyskusję o progresywnym systemie podatkowym w Polsce i o modelu państwa socjalnego, jaki

chcielibyśmy zrealizować. Przy czym warto unikać reakcji histerycznych, jakie zaprezentował niedawno Jarosław Gowin, który dosyć umiarkowane w gruncie rzeczy korekty systemu podatkowego proponowane przez PiS nazwał skrajnym socjalizmem. Wolne żarty. Wypowiedź ta dobrze ilustruje nastawienie skrajnych liberałów, zwanych często libertarianami. Wychodzą oni z założenia, że „podatki to kradzież”. Typowe jest ono dla znacznego odłamu opinii publicznej w USA. To tam bije także źródło niefrasobliwego posługiwania się terminem socjalizm, co widać np. wtedy, gdy propozycję wprowadzenia urlopów macierzyńskich klasyfikuje się jako pomysł socjalistyczny, a całą Europę uznaje się za siedlisko tej „zarazy”.

Podejście to wydaje się niemądre, delikatnie rzecz ujmując. Gdy jego źródłem jest legendarna ignorancja Amerykanów mających problem z podstawowymi pojęciami politycznymi

i faktami geograficznymi (mój syn musiał nauczyć się geografii w Stanach pokazując na mapie, gdzie leży Polska, a córka

tłumaczyć innej, że nie wszyscy ludzie na świecie mówią po angielsku) – no cóż, trudno, gdy jednak w niekompetentny sposób wypowiada się osoba tak znakomicie wykształcona jak Jarosław Gowin (doktor filozofii), w grę musi wchodzić coś więcej. To ideologicznie motywowane używanie pewnych pojęć jako straszków, mające na celu wzbudzenie silnych emocji negatywnych, a nie jakiegokolwiek refleksji. Rozumiem, że tak działają często politycy, plotacze, co im ślina na język przyniesie, ale od niektórych wymagam większej klasy. Doktor filozofii powinien wszak wiedzieć, że pojęcie socjalizm jest nader nieostre. Nie ma tutaj miejsca na wskazywanie kłopotów z jego sprecyzowaniem, zauważmy jedynie, że sposobów rozumienia socjalizmu jest w historii myśli społecznej co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście. Podobna wielorakość występuje na płaszczyźnie politycznej, gdzie partii zwanych się socjalistycznymi było wiele, a każda rozumiała socjalizm nieco inaczej.

Wydaje się jednak, że używanie pojęcia socjalizm jako straszaka odwołuje się do naszych wiejskich doświadczeń z tzw. realnym socjalizmem i jest bliskie straszeniu PRL-em jako takim. Nie widzę w tym większego sensu. Progresywne systemy podatkowe to norma w większości krajów zachodnich, element pewnego konsensu, który ukształtował się po II wojnie światowej. Jego fundamentalnym elementem było przekonanie, że państwo socjalne jest cennym dobrem, a podatki koniecznym źródłem jego utrzymania. Zapewnił on światu Zachodu najlepszy okres w dziejach. Najwyższa pora, aby i Polska do owego konsensu przystąpiła.

**Państwo socjalne jest cennym dobrem,
a podatki koniecznym źródłem jego utrzymania.**

Kto mediom zabroni

Boris Johnson i jego ekipa nie mogą się opędzić od zarzutów o nadużycie władzy i konflikty interesów

Zuzanna Muszyńska

Borisowi Johnsonowi & Co zarzuca się nadużywanie władzy i wchodzenie w konflikty interesów. Dziennikarze depczą rządzącym po piętach, ale napotykać przeszkody w dostępie do informacji publicznej. Nic dziwnego – stawką w grze są brudne pieniądze. Dużo brudnych pieniędzy.

Co wolno podczas pandemii

Matt Hancock nie jest już ministrem zdrowia. Zrezygnował ze stanowiska, kiedy ukazały się zdjęcia jego i Giny Coladangelo w intymnym uścisku. Hancock i Coladangelo poznali się w studenckiej rozgłośni radiowej na Uniwersytecie Oksfordzkim i pozostali bliskimi przyjaciółmi na lata. Do uścisku doszło 6 maja 2021 r., 11 dni przed zniesieniem obostrzeń nakazujących zachowywanie dystansu wobec osób spoza gospodarstwa domowego lub tzw. bańki wsparcia. Hancock i Coladangelo nie są z jednej bańki, oboje pozostają w związkach małżeńskich. Hancock mianował przyjaciółkę dyrektorem niewykonawczym jednego z departamentów w swoim resorcie, z pensją 15 tys. funtów rocznie za 15 dni pracy. W CV Giny Coladangelo nie ma tytułu naukowego lub śladów fachowej wiedzy, które uzasadniałyby wybór właśnie jej na to stanowisko. Portal openDemocracy znalazł 16 powiązanych z Partią Konserwatywną osób zatrudnionych w Whitehall w podobnym trybie.

Media od dłuższego czasu podejrzewały ministra zdrowia o korupcję. Jeszcze przed pandemią Hancock spotkał się z szefem firmy Bridgemere, Steve'em Morganem. Tematem spotkania był zwiększony dostęp publicznej służby zdrowia do sektora prywatnego. Bridgemere ma udziały w sieci prywatnych szpitali Circle Health, która otrzymała kontrakt wart 346 mln funtów na zapewnienie pacjentom miejsc

w swoich placówkach. W spotkaniu wzięły udział dwie osoby z Circle Health. Kiedy dziennikarze z openDemocracy wnioskowali o ujawnienie danych dotyczących spotkania, dostali odpowiedź: brak informacji. Inny pracownik mediów, zapytawszy o to samo, otrzymał nazwiska wszystkich obecnych na spotkaniu.

Bridgemere Group podarowała torysom milion funtów na kampanię wyborczą w 2019 r., a po wybuchu pandemii dalsze ćwierć miliona. Inwestycje w relacje z partią rządzącą opłaciła się. Rząd wydawał 200 mln funtów miesięcznie na utrzymanie w gotowości 8 tys. łóżek w prywatnych szpitalach. Angela Rayner, wiceprzewodnicząca Partii Pracy, powiedziała portalowi openDemocracy: „Matt Hancock stawiał obdarowywanie swoich kolegów ponad dobro publiczne. Trzeba skończyć z tym kanciarstwem”.

Na początku pandemii utworzono specjalną kolejkę po kontrakty covidowe dla VIP-ów ze świata biznesu polecanych przez VIP-ów ze świata polityki. Śledztwo dziennikarzy openDemocracy ma szansę doprowadzić do ujawnienia danych uprzywilejowanych firm, jak również nazwisk polityków, którzy polecali „swoich”. Good Law Project, organizacja walcząca prawem w imię interesu publicznego, poszła za sprawą do sądu. Urzędnicy zajmujący się zakupami sprzętu medycznego podczas pandemii mieli być „zalewani” rekomendacjami przez polityków partii rządzącej. W korespondencji dotyczącej firmy Pest-Fix, ubiegającej się o wielomilionowy kontrakt (przez pomyłkę, jak później stwierdzono), autor listu wyjaśnia, że właściciel polecanej przez niego firmy jest kolegą teścia z lat szkolnych.

Łączna wartość kontraktów na produkty ochrony osobistej (PPE) to 1,7 mld funtów. Według raportu Krajowej Izby Kontroli (National Audit Office) ze zgłoszonych 439 producentów co dziesiąty otrzymał kontrakt (bez przetargu). Poza pięcioma

firmami pozostałe trafiły na shortlistę z polecenia posłów, parów z Izby Lordów lub członków rządu. Mniej doświadczeni znaleźli się na początku kolejki. Kiedy telewizja BBC wyemitowała w kwietniu 2020 r. odcinek „Panoramy” zatytułowany „Zarabianie na covidzie”, rząd oskarżył dziennikarzy o stronniczość i nierzetelność. O rażących zaniedbaniach w zaopatrzeniu szpitali w środki ochronne dla personelu mówiło się od początku pandemii. Już wtedy zmarło na COVID-19 ponad 100 pracowników NHS. Media, mimo nawoływań rządu do solidarności społecznej na miarę czasów wojny, piętnowały cynizm polityków. Odwet na BBC za niepokorność jest oczywisty – coraz bardziej realne groźby zniesienia abonamentu.

Tylko ludzi żal

Wracając do Matta Hancocka – okręg wyborczy West Suffolk, który był ministrem zdrowia reprezentuje jako poseł, zamieszkuje wielu hodowców koni. Mieści się tam również siedziba zasłużonego Jockey Clubu, będącego organizatorem kilkunastu imprez rocznie. Hancock jest jego honorowym członkiem. „Daily Mirror” napisał w 2020 r., że Hancock otrzymał od bogatych osób i firm z branży wyścigów konnych darowizny przekraczające sumę 350 tys. funtów. W zarządzie Jockey Clubu zasiada baronowa Dido Harding, była szefowa NHS Test and Trace (więcej w „Pingdemia atakuje Wyspy”, PRZEGLĄD 33/2021). Hancock i Harding należą do grona osób, którym bardzo zależało, by w ostatniej chwili przed lockdownem odbył się Cheltenham Festival. Wyścigi konne to obok piłki nożnej czołowa dyscyplina sportu w Wielkiej Brytanii, warta 3,45 mld funtów rocznie. Odwołanie festiwalu oznaczałoby dziesiątki milionów funtów strat dla organizatorów zakładów na wyścigach. Zawody odbyły się, trwały



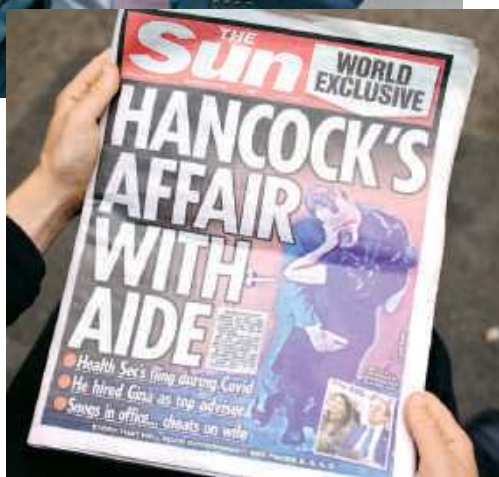
Media od dłuższego czasu podejrzewały ministra zdrowia Matta Hancocka o korupcję. Zrezygnował ze stanowiska, kiedy ukazały się jego dwuznaczne zdjęcia z Ginią Coladangelo.

cztery dni. Na trybunach zasiadło 250 tys. widzów. Według niektórych badań Cheltenham Festival mógł się przyczynić do 10 tys. zakażeń koronawirusem.

Lista podejrzeń wobec Matta Hancocka idzie dalej. Lord Vestey, były prezes Toru Wyścigowego Cheltenham, wynajmował ministrowi za bytkową posiadłość, Thurlow Estate. Tattersalls, najstarszy dom aukcyjny koni czystej krwi, podarował Hancockowi dziesiątki tysięcy funtów. Latem zeszłego roku, kiedy stopniowo znoszono obostrzenia, wyścigi koni, chartów i zawody snookera odmrożono w pierwszej kolejności. Trudno uwierzyć, że dymisję Hancocka spowodował skandal sanitarno-obyczajowy wywołany jednym czułym uściskiem, a nie sumy, które minister przytulał bez jawnego trybu.

Brexit do kupienia

Kojarzona z pandemią kumplokacja odciągnęła uwagę opinii publicznej od brexitu. Borisa Johnsona opuścił zimą bliski doradca Dominic Cummings, uważany za jeden z mózgów kampanii brexitowej. Specjalnością Cummingsa było obchodzenie prawa wyborczego w celu dotarcia do „brakujących 3 mln” wyborców. Píše o tym w książce



„Demokracja na sprzedaż. Brudne pieniądze i nieczysta polityka” Peter Geoghegan, dziennikarz openDemocracy. Kierowana przez Cummingsa organizacja Vote Leave wykupiła 1,5 mln reklam facebookowych. Ich celem było szerzenie strachu przed imigrantami, m.in. przed Polakami. Zgodnie z brytyjskim prawem wyborczym dwóm czołowym ugrupowaniom wolno przeznaczyć na kampanię po 7 mln funtów (pozostałym po 700 tys.). Dominic Cummings gotów był wydać na swoje brakujące 3 mln głosujących każdą sumę. Gdy przekroczył limit wydatków, na celowniku Vote Leave znalazła się grupa studentów z Brighton, działająca na Facebooku pod nazwą BeLeave. Media z zainteresowaniem śledziły grafiki produkowane przez eurosceptycznych milenialsów. Młodzi wydali na nie... 21 funtów. Nie mieli nawet konta w banku. Nagle dowiedzieli się, że otrzymają w prezencie od Vote Leave 675 tys. funtów. Pieniądze jednak poszły prosto do AggregatIQ, kanadyjskiej firmy zajmującej się analizą

danych. Studenci przyznali podczas śledztwa, że nie zobaczyli z darowizny ani funta.

Tę samą metodę Vote Leave zastosowało w Irlandii Północnej, gdzie kodeks wyborczy zakazuje ze względu na „specjalne okoliczności” (historyczne Kłopoty) ujawniania danych sponsorów kampanii. Kilka tygodni przed referendum Demokratyczna Partia Unionistyczna (DUP) dostała 435 tys. funtów. Mała północnoirlandzka partia również zatrudniła firmę z odległej Kanady. Wkrótce miliony wyborców w Wielkiej Brytanii przeczytały w tzw. targetowych reklamach na Facebooku, że brexit poprawi sytuację na rynku pracy, rodzinne budżety i bezpieczeństwo.

Gdyby nie dziennikarskie śledztwo openDemocracy, opinia publiczna nie dowiedziałaby się, że pieniądze dla DUP pochodziły od tajemniczej organizacji z Glasgow. Portal podał, że stali za nią były szef służb bezpieczeństwa w Arabii Saudyjskiej oraz Duńczyk handlujący bronią z Indiami. Trop urywa się w Kijowie. Odkąd śledztwo przejęła telewizja BBC, o przekręcie z DUP zrobiło się głośniejsze. W 2017 r. wprowadzono w Irlandii Północnej nowe prawo, które zabrania partiom przyjmowania anonimowych darowizn. Ale że prawo nie działa wstecz, opinia publiczna nie dowie się, kto ostatecznie stoi za wpłatą 435 tys. funtów dla DUP.

Największy konkurent Cummingsa, założyciel nieoficjalnej kampanii probrexitowej Leave.EU Arron Banks, to kolejny bohater książki Petera Geoghegana. Banks wydał na kampanię brexitową rekordową sumę 8,4 mln funtów, które zasiliły konta partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP) oraz rozmaite antyeuropejskie inicjatywy. Banksa oskarżano o współpracę z Rosjanami. Właściciel biznesów rozsiadanych na kilku kontynentach, od kopalni uranu w Nigerii poprzez bank na wyspie Man do firm ubezpieczeniowych w Anglii, mógł z łatwością zacierać ślady po międzynarodowych sponsorach. Korespondencja Banksa ze Steve'em Bannonem, doradcą prezydenta Trumpa, i z firmą Cambridge Analytica wskazywała na powiązania z populistami na całym świecie. Wizyty Banksa w ambasadzie rosyjskiej w Londynie nie uszły uwadze mediów – przyznał się do trzech, potem do

► czterech spotkań; śledzący go dziennikarze naliczyli 11.

Według openDemocracy firmy ubezpieczeniowe Arrona Banksa stały na skraju bankructwa w okresie referendum brexitowego, a jego kopalnia diamentów – co sprawdził dla oD reporter z Lesotho – nie mogła przynosić zysków, bo była zamknięta. Na krótko przed i po referendum brexitowym Banks miał otrzymywać od Rosjan lukratywne oferty biznesowe.

Narodowa Agencja ds. Przestępczości (NCA) zbadała związki dotacji Banksa z zagranicznym kapitałem i nie wniosła w tej sprawie oskarżeń. Do dziś toczy się proces cywilny o zniesławienie Banksa przeciwko dziennikarce „Observera” Carole Cadwalladr. Cadwalladr zbiera pieniądze na opłacenie kosztów sądowych. Linia obrony brzmi: badając powiązania Banksa z rosyjskim kapitałem, działała w imię interesu publicznego.

Kto wybiera za Anglików

Lubow Czernuchina w ciągu 10 lat przekazała Partii Konserwatywnej 1,7 mln funtów. Bankierka rosyjskiego pochodzenia jest żoną byłego wiceministra finansów Rosji, Władimira Czernuchina. W Anglii znana jest głównie z meczów tenisa. W 2014 r. zagrała z ówczesnym premierem Davidem Cameronem. Do gry dołączył Boris Johnson, wtedy burmistrz Londynu. Czernuchina zapłaciła za udział

w meczu 160 tys. funtów. Po wygranej torysów w grudniu 2019 r. był do kupienia na aukcji mecz tenisowy z premierem Johnsonem oraz wiceprez wodniczącym partii Benem Elliotem. I znów wyszła na kort Czernuchina, płacąc 45 tys. funtów. W tym roku cena meczu podwoiła się – i znów zagrała Czernuchina z Johnsonem.

Skąd i po co tyle pieniędzy dla partii rządzącej? Mąż Lubow, podający się za uciekiniera z Rosji, prowadzi co prawda duże interesy na rynkach nieruchomości w Rosji i Wielkiej Brytanii, niemniej jednak Międzynarodowe Konsorcjum Dziennikarzy Śledczych (ICIJ) podaje, że w 2016 r. Czernuchina otrzymał 8 mln dol. od firmy zarejestrowanej w raju podatkowym, związanej z rosyjskim oligarchą Sulejmanem Kerimowem. Był to rok referendum brexitowego. Lubow Czernuchina przełała w tym okresie na konta PK najwięcej, bo ponad 1,5 mln funtów. Prawnicy pary zaprzeczają jakimkolwiek związkom którejkolwiek darowizny z Kremlu.

Ben Bradshaw, poseł Partii Pracy, jako pierwszy podważył w grudniu 2016 r. uczciwy przebieg brexitowej kampanii referendalnej. Wszczęto śledztwo, które wlokło się latami. Gotowy raport komisji ds. wywiadu i bezpieczeństwa brytyjskiego parlamentu przeleżał w szufladzie rok i cztery miesiące. Boris Johnson pozostawał głuchy na wezwania do jego publikacji. Raport potępia lekceważący stosunek rządu do zagrożenia ingerencją Rosji w wybory, nie stwierdza jednak, że Rosjanie wpłynęli na wynik referendum. Co do referendum szkockiego z 2014 r., nie można wykluczyć, że Rosja chciała pomóc Szkocji w oderwaniu się od Wielkiej Brytanii. W raporcie jest też mowa o „londyńskiej pralni pieniędzy” rosyjskich oligarchów, których rząd brytyjski wita z otwartymi ramionami na swojej ziemi.

Im mniej, tym gorzej

Mała liczba darczyńców ma za duży wpływ na przebieg wyborów. Za mało wiadomo o tych, którzy dają. Partia Konserwatywna jest od takich darów poważnie uzależniona. Za Borisa Johnsona przyjęła od tajemniczych darczyńców 2,6 mln funtów. Według analiz openDemocracy z tej sumy 800 tys. trafiło bezpośrednio do postów PK. Każda osoba fizyczna,

która daje partii więcej niż 15 tys. funtów, musi to zadeklarować. Ta sama osoba może przekazać do 7,5 tys. niezrzeszonemu stowarzyszeniu, które poda dalej, co trzeba, bez obowiązku ujawniania tożsamości. To jedna z luk w brytyjskim prawie wyborczym, nad którym pochylił się ostatnio Komitet Doradczy ds. Norm w Życiu Publicznym. Stowarzyszenia nieposiadające osobowości prawnej mogą być wykorzystywane do potajemnego przekazywania pieniędzy politykom, ostrzega komitet. Większość z 47 rekomendacji, jakie wystosował, rząd zapewne zignoruje. Na portalu openDemocracy umieszczono petycję „Usuń brudne pieniądze z brytyjskiej polityki”, w której zapisano postulat przyjęcia powyższych rekomendacji przez rząd. Podpisało się pod nią dotychczas 12 tys. osób. Za mało, by doprowadzić choćby do debaty parlamentarnej na ten temat.

„Skandale finansowe w brytyjskiej polityce są jak londyńskie autobusy: czekasz i czekasz, aż nagle nadjeżdża ich cała gromada”, pisze dla portalu Politico.eu Peter Geoghegan. Że, zaczynając od samego świetznika, 40 lordów skrzętnie pominęło w oświadczeniach majątkowych rubrykę dotyczącą charakteru działalności firm, którym prezesują? Kogo obchodzi, co słychać w lordowskim skansenie. Że premier chciał, by za cyklinowanie podłóg w rezydencji na Downing Street zapłaciła jego partia? I że, gdy rachunki poszybowwały w górę do sześciocyfrowej sumy (prace wykończeniowe oddano pod nadzór luksusowej projektantki wnętrz), zaproszono do kasy jednego ze sponsorów partii? Ten odcinek telenoweli już leciał. Że dla Dominica Cummingsa szykowany jest mały prezent, byle nie chodził po stacjach telewizyjnych i nie opowiadał o remontach u byłego szefa? O jego wymarzonej Agencji ds. Zawansowanych Badań i Wynalazków (ARIA) i tak będzie cicho. Ma zostać wyłączona spod Ustawy o wolności informacji (FOI). Jeśli postom opozycji uda się temu zapobiec, to jest jeszcze w Whitehall specjalny dział, nazywany przez media orwellowskim, który zbiera wszystkie dociekliwe zapytania od dziennikarzy i decyduje, ile transparentności przydzielić sprawie. O nim samym też trudno cokolwiek się dowiedzieć.

Zuzanna Muszyńska

Chcesz patrzeć mądrzej?

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

- Jerzy J. Wiatr
- Longin Pastusiak
- Tadeusz Iwiński
- Danuta Waniek
- Bogusław Liberadzki
- Krzysztof Janik
- Tadeusz Wojciechowski
- Tadeusz Klementewicz
- Andrzej Wilk
- Piotr Gadzinowski

www.trybuna.info

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Drut kolczasty

Koszmar tego, co się dzieje w Afganistanie, na wszystkie strony pokazywany przez media. Jakie jednak pocziwie i postępowe jest PiS przy talibach. A Donald Tusk napisał: „Polskie granice muszą być szczelne i dobrze chronione; ochrona nie polega na antyhumanitarnej propagandzie, tylko sprawnym działaniem”. I zrobiła się na opozycji awantura o te „szczelnie chronione granice”. Że to niehumanitarne. Ale Tusk mówi jak polityk, który wie, że większość Polaków nie chce uchodźców. Nie może tego ignorować. Powiedział też: „Musimy zbudować zgodę narodową wokół dwóch wymiarów tego kryzysu. Po pierwsze, chyba wszyscy chcemy pomóc tym, którzy cierpią. Nie może być tak, że rząd dużego europejskiego państwa nie jest w stanie zapewnić kanapki i lekarstwa matce z dzieckiem na naszej granicy. Po drugie, musimy zapewnić bezpieczeństwo na naszej granicy. Rzeczą najważniejszą jest elementarna zgoda narodowa”. Całe to budowanie ogrodzenia i ten koszmarny drut kolczasty na granicy to jakaś żałość, nawet jeśli nie ma innego wyjścia. Inna sprawa, że fachowcy mówią, że przez taką zaporę przejść nie będzie trudno, wystarczy rzucić trochę desek na druty. Ale będzie to przy okazji śmiercionośna pułapka dla zwierząt i ludzi, którzy na ogrodzenie wpadną. Prezes codziennie zaciera małe dłonie, ma paliwo do propagandy na dwa lata. Znowu będzie chronić świętą a polską ziemię przed obcymi. O tej „świętej polskiej ziemi” raczył powiedzieć Mateusz Morawiecki. Unosi się nad tym nacjonalistyczny, nieświeży zapaszek. Boże, jacy oni są obrzydliwi, żyć z nimi pod jednym dachem to wielki dyskomfort.

Lex TVN i prezydent Duda. Ten mętnie i pokrętnie sugeruje, że ustawa jest zła. Ale jest zła głównie dlatego, że nie podoba się Amerykanom. A Dudzie? Jego prawie nie ma, on jest przezroczysty, widać tylko durne miny, jakie robi. A i tak wszyscy wiedzą, że ostateczne decyzje zapadną na Nowogrodzkiej.

Wspominałem niedawno o nowo wydanej książce „Rowerem przez II RP”. Bernard Newman był angielskim pisarzem i podróżnikiem. Na rowerze, któremu nadał imię George, przemierza wzdłuż i wszerz nasz kraj. I opisuje swoje wrażenia. Jest rok 1934. To przedwojenna Polska widziana brytyjskim okiem, obraz bogaty i kolorowy. Ostrzegam, to nawet nie umywa się do „Szkiców

piórkiem” Andrzeja Bobkowskiego, który na rowerze przemierzał wojenną Francję. Newman dobrze jednak wychwytuje polskie smaki i zapachy, ale też pisze monstualne głupstwa. O Polkach pisze czasami jak o tubylcach na nowo odkrytym kontynencie: „Widziałem mnóstwo pięknych kobiet, ale mówić, że generalnie Polki są piękne, to gruba przesada. (...) Jej najbardziej atrakcyjną cechą stanowi głos, spokojny i melodyjny. Jej figura szczególnie na prowincji – nierzadko budzi przerażenie (...). Polka jest duża i silna, może pracować równie ciężko jak mężczyzna i rodzić niezliczone zdrowe dzieci. Ma krępe, bynajmniej nie zgrabne ciało, nogi grube, a twarz pozbawioną czystości rysów. Najlepiej wygląda za młodu, szybko się rozwija – w wieku szesnastu czy siedemnastu lat jest już fizycznie dojrzała. O dużych piersiach i szerokich biodrach, ale z młodzieńczą postawą. W późniejszych latach robi się ciężka i bezkształtna”. Autor przemierza też słynny korytarz między Niemcami a Prusami Wschodnimi, który będzie pretekstem do wojny. Jedzie także przez Prusy Wschodnie, gdzie nazizm już się zakorzenił. Nie chwali go, ale i nie gani za bardzo. Nie ma pojęcia, jaka zbrodnia w nim drzemie i że zbliża się apokalipsa. To znamienne, że współcześni, nawet ci najmądrzejsi, nie

widzą znaków, że szykują się wielkie wydarzenia, które za chwilę zmienią oblicze świata. Jak nie widzi się belki w swoim oku. Przecież prawie nikt nie przewidział wybuchu I wojny światowej – ani II wojny, a wydaje się teraz, że była oczywista. Nie przewidzieliśmy stanu wojennego w Polsce ani rozpadu radzieckiego imperium. Co tak uderza w relacjach Newmana, to niebywała nędza polskiej wsi, która była wtedy jeszcze drewniana i bosa. Tu nastąpiła rewolucyjna zmiana.

Początek roku szkolnego, moje dzieci idą do szkoły. Jakoś to zawsze wzruszające. Ożywają moje początki roku szkolnego. Odkrywam, że w podręczniku do polskiego Antosia, już licealisty, jest wiersz mojego ojca. Ojciec, kiedyś taki znany pisarz, został niemal zupełnie zasypany zapomnieniem, więc bardzo się cieszę, że jednak jest w polskiej literaturze. Niejasne i nieprzejrzyste do końca są drogi, jakimi idzie zapomnienie artysty. Na pewno nie ma tu sprawiedliwości.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

Nie jestem pacyfistą, jestem przeciwko wojnie

Odszedł Gino Strada,
który pomógł 11 milionom
ofiar wojny i biedy



Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Włoch

Wraz ze śmiercią Gina Strady Włochy straciły najbardziej nieustraszonego działacza na rzecz pokoju. Jego marzeniem był świat bez wojen. Pozostawił smutek w sercach wielu ludzi, wielką pustkę, ale i olbrzymi spadek. Prawie wszyscy włoscy politycy złożyli kondolencje i wyrazy ubolewania, choć dla większości z nich Strada za życia był niewygodny. Oskarżali go, że ratuje terrorystów.

Uczynił świat lepszym

Śmierć włoskiego chirurga, który spędził życie na frontach różnych krajów świata, aby ratować ludzi, zaskoczyła wszystkich. 73-letni założyciel słynnej organizacji pozarządowej Emergency przebywał na krótkich wakacjach w Normandii. „Umarł szczęśliwy”, powiedziała prezes Emergency Rossella Miglio, podkreślając, że miał małe problemy z sercem, ale nic, co mogłoby sugerować tak nagłe odejście. „Nikt się tego nie spodziewał. To ogromna strata, zrobił wszystko, aby ten świat był lepszy”.

Gino Strada pomagał ofiarom konfliktów i otwierał szpitale w miejscach, do których nikt nie miał odwagi się udać. W 1994 r. wraz z żoną

Teresą Sarti założył Emergency, która otworzyła placówki w 18 krajach, stając się w niektórych miejscach zapomnianych przez ludzi i Boga jedyną nadzieją. W ciągu 25 lat organizacja zapewniła bezpłatną opiekę medyczną i chirurgiczną 11 mln ofiar wojen i biedy.

Strada był bezkompromisowy. Zawsze stał po jednej stronie – po stronie słabszych. Jego opinie dzieliły, ale on się tym nie przejmował, mówiąc, co myśli. Dzień przed śmiercią napisał z Normandii we wstępie do dziennika „La Stampa”: „Nie jestem zaskoczony tą sytuacją. Wojna w Afganistanie była (...) agresją militarną, która rozpoczęła się tuż po 11 września, dokonaną przez Stany Zjednoczone, do których przyłączyły

Strada był bezkompromisowy. Zawsze stał po jednej stronie – po stronie słabszych.

się prawie wszystkie kraje Zachodu. (...) 20 lat temu powiedzieliśmy, że ta wojna będzie katastrofą dla wszystkich. Dzisiaj wynik wszyscy widzą: porażka”.

Założyciel Emergency nigdy nie zrobił niczego, aby utorować sobie drogę do polityki, choć tam zawsze widziano jego miejsce. Wolał drogi pełne wybojów, na peryferiach, gdzie największym szczęściem dla niego było założenie protezy małemu

chłopcu lub dziewczynce, którzy stracili nogę na minie wyprodukowanej na Zachodzie i sprzedanej dla zysku krajom Trzeciego Świata. Strada nie przebierał w słowach, krytykując wszystkie włoskie rządy – prawicowe i lewicowe – za korupcję w opiece zdrowotnej i politykę imigracyjną oraz za udział w konfliktach zbrojnych wbrew temu, co głosi włoska konstytucja: „Italia odrzuca wojnę”, a także za nieustający wzrost wydatków wojskowych. Nie szczędził gorzkich słów pod adresem Unii Europejskiej za handel bronią i za jej interesy gospodarcze stojące za wojnami, głównie za interwencją NATO w Afganistanie. W 1999 r. opublikował książkę „Zielone papugi”. Jej tytuł pochodzi od potocznej nazwy

min przeciwpiechotnych produkcyj radzieckich zrzuconych z helikopterów wojskowych. Te dramatyczne historie to kronikarskie wspomnienia, refleksje i zapiski chirurga wojennego, zbiór wspomnień z wielu frontów, na których Strada działał wraz ze swoimi kolegami z Emergency – pisał o okaleczonych dzieciach i dorosłych w Iraku, Pakistanie, Rwandzie, Afganistanie, Peru, Kurdystanie, Etiopii, Angoli, Kambodży, byłej Jugosławii

i Dżibuti. „Wojny, wszystkie wojny, są horrorem. Nie można odwracać się w drugą stronę”, głosi motto książki.

Druga jego książka, „Buskashi. Podróż w środek wojny”, wydana w 2002 r., opowiada o podróży delegacji Emergency do Afganistanu po

i kolegami organizacji humanitarnej zajmującej się rehabilitacją ofiar wojennych. Tak w 1994 r. powstało stowarzyszenie Emergency, którego prezesem została żona Teresa Sarti. Po jej śmierci w 2009 r. funkcję tę przejęła córka Cecilia.

Człowiek ubogi, bez środków do życia, jest dziś postrzegany niemal jako przyczyna problemów innych ludzi.

wybuchu wojny. „Przykro mi, że nie potrafię mówić o niczym innym, jak tylko o tym, co uważam za największą nieprzyzwoitość, jaką wymyśliła ludzkość, a mianowicie o wojnie, która jest teraz we mnie, mieszka tu od 15 lat”, napisał Strada.

Długa, niewygodna droga

Luigi Strada, nazywany przez przyjaciół Gino, urodził się 21 kwietnia 1948 r. na peryferiach Mediolanu, w robotniczej dzielnicy Sesto San Giovanni. Wychował się w środowisku robotniczo-katolickim, czułym na idee i otwarcie, jakie przyniósł sobór watykański II. Później przystąpił do młodzieżówki komunistycznej i był aktywistą ruchu studenckiego. Nic w tym dziwnego, gdyż w latach 70. we Włoszech komunizm i postępowy katolicyzm pod wieloma względami były sobie bliskie. W tamtym okresie Strada, od lat zdeklarowany ateista, zaprzyjaźnił się również ze słynnym duchownym mediolańskim Andrea Gallem, zwanym księdzem ulicy.

Strada ukończył medycynę i chirurgię na Uniwersytecie Państwowym w Mediolanie, a w wieku 30 lat zrobił specjalizację z chirurgii powypadkowej. Rozpoczął pracę w jednym ze szpitali lombardzkich, a następnie odbył praktykę w dziedzinie chirurgii kardio-pulmonologicznej i przeszczepu serca, pracując w Stanach Zjednoczonych, na Uniwersytecie Stanforda w Pittsburghu, w Harefield Hospital w Wielkiej Brytanii, w Groote Schuur Hospital w Afryce Południowej (w szpitalu, gdzie przeprowadzono pierwszy przeszczep serca na świecie – przyp. red.). W latach 1989-1994 współpracował z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem w różnych gorących rejonach świata. Z tego doświadczenia zrodziło się założenie wraz z żoną

Już w 2006 r. Gino Strada otrzymał kilka głosów w tajnym głosowaniu parlamentarnym, mającym wskazać kandydatów na prezydenta Republiki Włoskiej. W 2013 r. natomiast zajął drugie miejsce w prawyborach na tenże urząd, przeprowadzonych wewnątrz Ruchu Pięciu Gwiazd, ustępując jednak miejsca rzecznikowi praw obywatelskich Stefanowi Rodotà. Założyciel Emergency na początku popierał ruch polityczny Beppe Grilla, szybko jednak stał się jego zaciekle krytykiem. Krytyka ta osiągnęła apogeum, kiedy Ruch Pięciu Gwiazd wszedł w koalicję z Ligą Mattea Salvini, tworząc wspólny rząd, w którym Salvini objął funkcję ministra spraw wewnętrznych, a następnie latem 2019 r. zablokował dwa statki z migrantami – włoską jednostkę wojskową „Gregoretti” oraz kuter

Skąd mam wiedzieć, czy to talib, czy nie, gdy na stole operacyjnym widzę człowieka z oderwaną nogą.

„Open Arms” hiszpańskiej organizacji pozarządowej, ratującej migrantów na morzu.

Od lat wielu włoskich polityków i prawników publicznych zarzucało chirurgowi, że zamiast operować, miesza się do polityki. Wypominano mu, że w Afganistanie w strukturach Emergency leczono również talibów. Ataki na założyciela Emergency nie ustawały. Wielu polityków i ich wyborców wręcz go nie cierpiało. „Nie jestem pacyfistą, jestem przeciwko wojnie”, tłumaczył się Strada. „Skąd mam wiedzieć, czy to talib, czy nie, gdy na stole operacyjnym widzę człowieka z oderwaną nogą, któremu grozi wykrwawienie. Dla mnie to człowiek, którego muszę ratować. Złożyłem przysięgę Hipokratesa”, dodawał.

W 2015 r. Gino Strada otrzymał Right Livelihood Award, alternatywną Nagrodę Nobla. Skomentował to

słowa: „Wojny nie da się uczyć, wieczyć, można ją tylko obalić”, cytując Einsteina. „Widziałem rannych i zabitych, operowałem tysiące ludzi, poranionych odłamkami bomb lub pocisków. W Kabulu zbadałem dokumentację medyczną 1,2 tys. pacjentów, aby stwierdzić, że mniej niż 10% to przypuszczalnie byli żołnierze, a 90% ofiar to cywile, jedna trzecia z nich to dzieci. Więc czy to jest wróg?”, mówił po odebraniu nagrody

W listopadzie 2020 r. Strada został kandydatem na specjalnego komisarza ds. zdrowia, odpowiedzialnego za kryzys COVID-19 w Kalabrii. Nominacji towarzyszyła ostra polemika. „Kalabria jest regionem Włoch, a nie krajem Trzeciego Świata. Nie potrzebujemy tutaj lekarzy misjonarzy”, grzmiał prezydent regionu Nino Spirlì. Do objęcia tej funkcji jednak nie doszło.

Emergency

Stowarzyszenie założono 18 lipca 1994 r., a jego budżet wynosił 12 mln lirów (ok. 7 tys. euro w dzisiejszej walucie). W tym czasie Rwanda została zdewastowana przez wojnę domową. Trzeba było operować natychmiast ofiary z plemienia Tutsi z ciętymi ranami na wszystkich częściach ciała,

które przeżyły ludobójstwo ekstremistów Hutu. Gino Strada i jego koledzy pojechali. Potem były Afganistan i Sudan, Irak i Sierra Leone. Bezpłatne leczenie medyczne i chirurgiczne dla każdego, kto potrzebował. Dobry, domniemany dobry, zły i domniemany zły, czyli wróg. Bez różnicy. Człowiek to człowiek. Wszystko jedno gdzie: w Iraku, Afganistanie, Kambodży, Serbii, Erytrei, Sudanie, Angoli, Nikaragui i Sri Lance. „Leczenie rannych nie jest gestem ani hojności, ani miłosierdzia, jest po prostu słuszne. Trzeba to robić”, mówił Strada.

Emergency stała się organizacją *non profit* w 1998 r., a rok później uzyskała status organizacji pozarządowej. W 2006 r. została uznana za partnera Organizacji Narodów Zjednoczonych – Departamentu Informacji Publicznej. Od 2015 r. jest członkiem Rady Gospodarczej

► i Społecznej Organizacji Narodów Zjednoczonych (Ecosoc), jako stowarzyszenie o specjalnym statusie konsultacyjnym, natomiast od 2018 r. jest oficjalnym partnerem UE w Operacjach Ochrony Ludności i Pomocy Humanitarnej (ECHO). Od sierpnia 2019 r. Emergency rozpoczęła również operacje ratunkowe na Morzu Śródziemnym, współpracując z Open Arms, organizacją zajmującą się ratowaniem migrantów.

Śmierć chirurga nie obyła się bez hejtu. Dwa lata temu, podczas kręcenia filmu dokumentalnego o organizacjach pozarządowych, Gino Strada zidentyfikował jeden z wielkich problemów naszych czasów: nienawiść w mediach społecznościowych. Hejt, który wylewa się na wszystkich, a w szczególności na „innych”, słabszych, biedniejszych, obcych. „Nie pamiętam, żebym w ciągu 70 lat życia przeżył inny moment takiego nasilenia nienawiści społecznej i pogardy dla innych, zwłaszcza słabszych i biedniejszych. Człowiek ubogi, bez środków do życia, jest dziś

postrzegany niemal jako przyczyna problemów innych ludzi”, mówił.

Nauczyciel człowieczeństwa

Podczas trzech dni, w których można było pożegnać Gina Stradę, siedzibę Emergency w Mediolanie, gdzie została wystawiona trumna, odwiedziło ok. 11 tys. osób. W imieniu rządu hołd włoskiemu chirurgowi oddał premier Mario Draghi: „Zawsze stał po stronie słabszych, pracując z wielkim profesjonalizmem, odwagą i człowieczeństwem w najtrudniejszych rejonach świata”. Prezydent Sergio Mattarella przekazał publicznie swoje słowa: „Niósł życie tam, gdzie wojna chciała narzucić przemoc i śmierć. (...) Zgodnie z naszą konstytucją, która wyrzeka się wojny, Gino Strada uczynił to wskazanie inspiracją do działań humanitarnych prowadzonych we Włoszech i za granicą, odważnie wyrażając alternatywną linię dla konfliktów między narodami i wewnątrz nich”. Przewodniczący Parlamentu Europejskiego

David Sassoli przysłał kondolencje: „Jeśli teraz ktoś cierpi, jest chory lub głodny, musi to dotyczyć nas wszystkich, ponieważ ignorowanie cierpienia człowieka jest zawsze aktem przemocy i jednym z największych tchórzostw. Żegnaj, Gino Strada, nauczycielu człowieczeństwa”. Nawet Matteo Salvini, z którym Strada się ścierał, odsunął po jego śmierci na bok dzielące ich różnice polityczne i mówi o „człowieku wartości”.

Dla wolontariuszy Emergency Gino był zawsze jak kochający i kochany ojciec: „Trudno nam myśleć o istnieniu bez niego, sama jego obecność wystarczyła, abyśmy wszyscy czuli się silniejsi i mniej samotni, nawet jeśli był daleko”. Ktoś dodał na Instagramie: „Teraz napiszą wiele pięknych słów nawet ci, którzy zawsze cię nienawidzili. Według nich nie można było leczyć wszystkich rannych, a zwłaszcza tych, których uważali za terrorystów. Jakby na wojnie ranni należeli do kategorii A i B”.

Agnieszka Zakrzewicz





Polska Akcja Humanitarna

**Pomóżmy osobom
cierpiącym z powodu
zmian klimatu**

**Przeznacz darowiznę
www.pah.org.pl**

Zachód słońca nad imperium

Kościół katolicki w Ameryce Łacińskiej stracił już rząd dusz, a zaraz może stracić wszystko

Mateusz Mazzini

Korespondencja z Hondurasu

– Dziękuję wam, że tu jesteście. Ale przede wszystkim dziękuję Bogu, bo to on sprawił, że dzisiaj się spotykamy. On otwiera ludzkie serca, on jest źródłem wszelkiego dobra. Dzięki niemu mój syn wyszedł na prostą. Modliłam się za jego nawrócenie, za odkupienie grzechów. Kiedy został *pandillero*, członkiem gangu, wielu go skreśliło. Ale ja nie, bo wiedziałam, że Bóg ma dla niego inny plan. Zawsze w to wierzyłam, a teraz jestem mu za to wdzięczna.

Erika* jest drobną, niską staruszką. Kosmyki siwych włosów delikatnie spływają jej po policzkach, błękitne oczy onieśmialają przenikliwym spojrzeniem. W rękach mocno ściska czarną, skórzaną torebkę. Kiedy mówi, całe jej ciało lekko się trzęsie, ale uśmiech z jej twarzy nie schodzi ani na moment. Nawet wtedy, kiedy mówi o momentach trudnych, takich jak pobyt syna w więzieniu. – To prawdziwy wymodlony cud. Oddałam go w ręce Boga, a Bóg po prostu wykonał swoją pracę.

Na pierwszy rzut oka takie deklaracje w Ameryce Łacińskiej nikogo nie powinny dziwić. Zawsze uznawano ten region za bastion katolicyzmu, nawet jeśli stereotyp ten zaczął odbiegać od prawdy już dobre pół wieku temu. W dodatku przez ostatnie lata, naznaczone coraz trudniejszymi do zatrzymania falami odejść z Kościoła w Europie Zachodniej, oczy Watykanu skierowały się zdecydowanie na kraje globalnego Południa. Jak często można usłyszeć wśród krytyków Kościoła katolickiego, dziś „inwestuje on” głównie poza Starym Kontynentem, bo nie w Europie „jest dla niego największy rynek”.

W kontekście Ameryki Łacińskiej sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Obraz religijności tamtejszych społeczeństw dawno przestał być monochromatyczny. Dzisiaj



Nowe Kościoły zyskują członków zwłaszcza wśród najuboższych warstw społeczeństwa.

bardziej przypomina mozaikę różnych Kościołów, kongregacji i społeczności wiernych, nad którymi trudno rozpiąć wspólny parasol, nawet tak duży jak luźno rozumiane chrześcijaństwo.

Erika jest tego najlepszym dowodem. Choć Boga i Ewangelię przywołuje niemal w każdym zdaniu, a interwencjom z niebios przypisuje odpowiedzialność za dosłownie wszystko, co wydarzyło się w życiu jej i jej pięciorga dzieci, katoliczką nie jest. Od urodzenia należy do wspólnoty Pasja dla Duszy, niewielkiej protestanckiej kongregacji, aktywnej przede wszystkim w Hondurasie

i Salwadorze. Założona przez amerykańskich misjonarzy w latach 70., nauczanie opiera na książce pod takim samym tytułem, opublikowanej po raz pierwszy w 1950 r. przez amerykańskiego duchownego Oswalda J. Smitha. Oparta na chrześcijańskich prawdach wiary, praktykom religijnym nadaje jednak sporo praktycznego wymiaru w życiu codziennym. Dokładniej rzecz ujmując, uczy, że bogactwo duchowe jest ważne tak samo (co najmniej) jak materialne.

To podstawowa różnica pomiędzy nowymi Kościołami protestanckimi a ich tradycyjnymi odmianami

► i przede wszystkim Kościołem katolickim. Temu ostatniemu, z historycznego punktu widzenia, zamiłowania do blichtru odmówić nie można, jednak szaremu człowiekowi zawsze zalecał ascezę i wyzbywanie się pragnień doczesnych. Nowi protestanci wręcz przeciwnie – drogę do zbawienia skwapliwie przeliczają na pieniądze. Zwłaszcza te oddawane na potrzeby wspólnoty, czyli najczęściej prowadzących ją przywódców duchowych.

Nowe kongregacje protestanckie nie są w Ameryce Łacińskiej folklorem ani marginesem. W ciągu ostatnich kilkunastu lat ich ofensywa w całym regionie doprowadziła do znacznego osłabienia pozycji Kościoła katolickiego – zarówno społecznej i politycznej, jak i opartej na liczbach. W Północnym Trójkącie Ameryki Środkowej, czyli w Hondurasie, Gwatemali i Salwadorze, widać to wyraźnie. Kiedyś jakiegokolwiek naruszenie monopolistycznej pozycji katolicyzmu było tu poza horyzontem rzeczy wyobraźalnych. Dzisiaj tamte czasy są najwyżej mglistym wspomnieniem. Parafrazując słynne XVI-wieczne powiedzenie o monarchii Habsburgów, imperium Kościoła katolickiego w Ameryce Łacińskiej to już imperium, nad którym zaszło słońce.

Dane na ten temat są jednoznaczne. Jak wynika z badań Pew Research Center, na początku ubiegłego stulecia, w 1901 r., katolikiem

w Północnym Trójkącie był każdy. Oczywiście reprezentatywność takich statystyk jest daleka od idealnej, ale daje dobre wyobrażenie o niezachwianej pozycji katolicyzmu: odsetki wiernych w Gwatemali, Salwadorze i Hondurasie wynosiły odpowiednio 99%, 98% i 97% populacji. Nieco bardziej wiarygodne są na pewno badania z 1970 r., penetrujące znacznie większy odsetek społeczeństw w tych krajach. Daje wynik – siedem dekad później – prawie identyczny: kolejno 91%, 93% i 94%. To był jednak łabędzi śpiew potęgi, bo od tego właśnie momentu liczby zaczęły maleć, i to drastycznie. Do tego stopnia, że w 2014 r. przełamana została bariera psychologiczna. Do katolicyzmu w tych krajach przynależało już tylko co drugi mieszkaniec.

W Hondurasie, w którym Erika spędziła całe życie, katolikom wiodło się jeszcze gorzej, stanowili tylko 46%. W całym regionie Ameryki Łacińskiej, a więc od południowych stepów Patagonii do granicy Meksyku ze Stanami Zjednoczonymi, jest ich dzisiaj 65%. A prognozy na przyszłość są z punktu widzenia Watykanu katastrofalne. Już w 2030 r. katolicyzm może stać się w tej części świata religią mniejszościową.

Nowe Kościoły protestanckie znajdują się dzisiaj na przeciwnym biegunie. W niektórych krajach do członkostwa w tego typu kongregacjach przynależy się już nawet 40% społeczeństwa. Zyskują członków przede wszystkim bardzo agresywną działalnością misyjną, zwłaszcza wśród najuboższych warstw społeczeństwa i tych, którymi Kościół katolicki przestał się interesować, a więc również wśród przestępców. Tak było z synem Eriki, który jako dziecko odrzucił wiarę, ale nawrócił się właśnie w więzieniu.

– W tym kraju młodzi nie mają przed sobą przyszłości. Trójka moich dzieci wyemigrowała do Hiszpanii, mieszkają w Walencji. Pozakładały tam rodziny, ich dzieci znam tylko ze zdjęć. Mój syn trafił do gangu właśnie z tego powodu – nie mógł znaleźć pracy, a *pandilla* oferowała szybkie i łatwe pieniądze. To zawsze był dobry chłopak, ale zagubiony. Na szczęście w więzieniu odnalazł Boga. Wyszedł, przeniósł się do innego miasta i sam zaczął nauczać. Niesie Ewangelię w najbardziej

colonias (nazwa dzielnic biedy w Ameryce Centralnej – przyp. red.). Pomaga takim jak on sam. To dzięki niemu, jego Kościołowi i dzięki Bogu całe dobro dzieje się w moim życiu – mówi Erika, a jej twarz wyraźnie przy tym się rozświecila.

Historia jej syna – imienia chłopaka nie chce wyjawiać, boi się, że dawni znajomi będą chcieli go odnaleźć i ukarać za opuszczenie gangu – jest jedną z bardziej popularnych dróg nawrócenia się na chrześcijaństwo w wydaniu neoprotestanckim, najczęściej zielonoświątkowym. Bieda, przestępczość, więzienie i nagle zmiana. Głęboka wiara, dołączenie do Kościoła, zaangażowanie we wspólnotę. Wreszcie własna działalność misyjna i ewangelizacja kolejnych zmarginalizowanych, wykluczonych, zapomnianych przez wszystkich. Również przez duchownych katolickich.

Szefem Pasji dla Duszy jest Carlos Cerrato, jeden z bardziej rozpoznawalnych zielonoświątkowych pastorów w tej części świata. Sam wywodzi się z kryminału, w poprzednim życiu był nie tyle *pandillero*, ile jednym z lokalnych watażków MS-13, największego i najbrutalniejszego gangu w tej części świata. Dzisiaj zarządza – bo Kościoły neoprotestanckie to przede wszystkim przedsiębiorstwa, którymi trzeba zarządzać – liczącą kilka tysięcy wiernych społecznością, która rośnie z dnia na dzień. Cerrato swój przekaz wysyła w świat głównie za pomocą mediów społecznościowych. I precyzyjnie określa docelowego odbiorcę. W coraz gęstszym ekosystemie nowych Kościołów pozyskiwanie wiernych nie jest już tak łatwe jak chociażby dekadę czy dwie temu. Dlatego Cerrato znalazł niszę: byłych gangsterów, ale też wojskowych, policjantów czy weteranów wojen domowych, których w Północnym Trójkącie nie brakuje.

Logotyp, choć utrzymany raczej w estetyce lat 90., nie pozostawia wielkiego pola do interpretacji. Dwie zaciśnięte pięści uwalniają się z kajdan, a pomiędzy nimi, w łunie światła, napis „Jezus mnie wyzwolił”. Obok logotypu grafika: na tle maszerującego oddziału żołnierzy w mundurach polowych widnieje krótki opis działalności kongregacji i cel jej funkcjonowania: „Budowanie w każdym żołnierzu i każdej żołnierce

Rozenek: Przecież Czarzasty wszystkich nas nie wyrzuci.

Cała rozmowa w najnowszym numerze tygodnika „NIE”.





Neoprotestanci aktywni są zwłaszcza tam, skąd Kościół katolicki się wycofał. Np. demonstracja wiernych Kościoła luterńskiego w Hondurasie przeciw niesprawiedliwości i korupcji.

fundamentów Ciała Chrystusowego". Na wspomnianym zdjęciu jest również parę subtelności. Pierwszy maszerujący żołnierz czyta Biblię, zza jego pleców wystaje natomiast lufa karabinu niesionego przez drugiego. Słowo Boże jest zatem bronią, a życie walką. Każdy, kto głosi Ewangelię, jest żołnierzem, znajduje się na wojnie. Wygra ją ten, kto zgromadzi większe zasoby finansowe i ludzkie. Dlatego nawracać trzeba nieustannie, tak samo jak bogacić się.

Przekaz, który Cerrato głosi w kazaniach, dostępnych niemal w komplecie na Facebooku i YouTube, jest oparty na tych słowach: walka, wiara, misyjność, ewangelizacja, rozwój. Łatwo więc wyobrazić sobie, że jeśli kierowany jest szczególnie do młodych mężczyzn, którzy nie znają świata innego niż rządzony przemocą, trafia na podatny grunt. Trzeba bowiem przyznać, że neoprotestanci nie wstydzą się ani nie boją głosić swojej wiary. Pew Research Center znów ilustruje to danymi. W Hondurasie publicznie o swoim religijnym zaangażowaniu i wierze regularnie mówi aż 37% protestantów i tylko 21% katolików. W Salwadorze 45% i 24%. W Nikaragui 36% i 20%. W statystykach widać już także rezultaty misyjnej ofensywy. Co czwarty mieszkaniec Nikaragui deklaruje się jako były katolik. Podobnie sytuacja wygląda w Brazylii (co piąty) czy Wenezueli (co siódmy). Ludzie ci nie odchodzą w ateizm, bo jako „nieprzynależący do żadnej zbiorowości religijnej” wciąż określa się tylko 8%

mieszkańców regionu. Przejmują ich neoprotestanci.

Aktywni są zwłaszcza tam, skąd Kościół katolicki się wycofał. W więzieniach, dla Północnego Trójkąta miejscach szczególnie ważnych z racji ich gigantycznego przepełnienia, mają już właściwie monopol. Coraz mocniej akcentują też swoją obecność w polityce, i to na najwyższych szczeblach. Sama lista protestanckich głów państwa robi wrażenie. Jest na niej chociażby ochrzczony w 2016 r. i gorliwie mówiący o wierze prezydent Brazylii Jair Bolsonaro. Od katolickiego wychowania w kierunku protestantyzmu lub, jak sam to nazywa, „chrześcijaństwa w szerokim znaczeniu” przez ostatnie lata dryfował również Andrés Manuel López Obrador, przywódca Meksyku. Dwa największe kraje regionu mają więc dziś protestanckich liderów politycznych. To chyba najlepszy dowód, że Kościoły te nie są już w Ameryce Łacińskiej anegdotyczną mniejszością.

Protestantami są także Jimmy Morales, były prezydent Gwatemali, i Humberto Lay, swego czasu walczący o najwyższy urząd w Peru. Oraz dziesiątki innych polityków, biznesmenów, działaczy. Przedstawiciele nowych elit, wyrosłych na kanwie walki ze starym porządkiem, ale też przez lata tuczonych wsparciem Stanów Zjednoczonych.

Dzisiejsze sukcesy neoprotestantów są bowiem bezpośrednim rezultatem amerykańskich działań propagandowych w końcówce zimnej wojny. Wcześniej aktywność

Kościół katolicki, zwłaszcza w Ameryce Centralnej, budziła sporo obaw w Białym Domu. Teologia wyzwolenia, którą ogniem wypalali Karol Wojtyła i Joseph Ratzinger, miała tu wyjątkowo silne fundamenty. Brała w obronę najuboższych, sprzeciwiała się zbrojnym interwencjom Wielkiego Brata z północy. Z punktu widzenia Waszyngtonu i Watykanu była zatem potencjalnym katalizatorem komunizmu, a to zjawisko trzeba było powstrzymać za wszelką cenę. I tak zrobiono, pompując gigantyczne pieniądze w eksportowane z południa USA Kościoły neoprotestancie. Aktywne, przedsiębiorcze, ale przede wszystkim moralnie bardzo konserwatywne. Ich nauczanie, przynajmniej pod względem światopoglądowym, było co najmniej przedśrobowe. Progresywni katolicy nie mieli szans przeciwstawić się im, również z powodu braku przywództwa. Najaktywniejszych księży w regionie po prostu zamordowano. Taki los spotkał salwadorskiego arcybiskupa Oscara Romera, niezwiązanego wprawdzie oficjalnie z teologią wyzwolenia, ale praktykującego tzw. preferencyjną opcję na rzecz ubogich, czyli po prostu miłośnierze dla najsłabszych, i gwatemalskiego biskupa Juana Gerardiego, obrońcę praw rdzennej ludności w swoim kraju.

Dzisiejszym protestanckim i populistycznym prezydentom szlak przecierał Efraín Ríos Montt, wykształcony w USA gwatemalski wojskowy, neofita zielonoświątkowców, brutalnie rządzący krajem w latach 1982-1983. Wielu dzisiejszych polityków idzie w jego ślady, przynajmniej w łamaniu norm demokratycznych. Być może na swojej drodze napotkają sprzeciw. Jednak nie ze strony Eriki, jej syna czy milionów innych wiernych. W kontekście przyszłości politycznej regionu slogany reklamowe Carlosa Cerrata nabierają znaczenia. W całej Ameryce Centralnej trwa walka o rząd dusz. Zwycięży ten, kto zbierze więcej bardziej zaangażowanych żołnierzy. Imperium katolicyzmu tej ofensywy może już nie przetrwać.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

*Imię bohaterki zostało zmienione ze względów bezpieczeństwa.

Wiesław Stebnicki

Lewicowa agonia

SLD niczego nie proponuje swojemu elektoratowi

SLD był moją pierwszą i ostatnią partią. Doszedłem w nim do funkcji przewodniczącego rady powiatowej, potem sekretarza rady wojewódzkiej na Podkarpaciu i na bazie tych doświadczeń chcę dodać kilka zdań do tekstu Piotra Ciszewskiego „Kretynizm parlamentarny” (PRZEGLĄD nr 34). Wstąpiłem do SLD, bo wydawało mi się, że jako działacz Solidarności właśnie w tej partii będę mógł realizować 21 solidarnościowych postulatów. Dość szybko zrozumiałem, że moje myślenie ma niewiele wspólnego z prawdą. SLD-owska wierchuszka nigdy nie słuchała partyjnych dołów, uważała, że tylko ona ma patent na to, co robić. Reszta ma słuchać. By to zmienić, postanowiłem wystartować w wyborach na przewodniczącego SLD na Podkarpaciu. Miałem pewną szansę na zwycięstwo. Tuż przed wyborami znalazłem się jednak w szpitalu. Odwiedził mnie tam były poseł lewicy. I zaczął drążyć: „Po co ci to? Jak sobie wyobrażasz szefowanie, przecież mieszkasz ponad 100 km od Rzeszowa?”. Koniec końców powiedział: „Wyraż zgodę, by szefem został ktoś inny, a ty masz pewny wybór na sekretarza rady wojewódzkiej”. Uległem, pomyślałem, że jako sekretarz będę bliżej struktur powiatowych, będę miał kontakt z już istniejącymi i wpływ na

kandydatkę na Dolnym Śląsku i na jej miejsce wsadził swojego partnera. Lewica niczym się nie różni od PiS, PO, PSL. Tak jak inne partie ma jedną ideologię – kasa, misiu, kasa. Od czasu rządu Belki stała się bardziej liberalna niż PO. I wtedy zaczął się rozkład SLD. Pierwszym sygnałem była tzw. weryfikacja członkostwa, po której szeregi zmniejszyły się o połowę. Działacze z partyjnych dołów mówili: „To my mamy się weryfikować? A może zweryfikujemy partyjną górę?”. Na dodatek lewica straciła władzę, a tym samym młodych koniunkturalistów, którzy zawsze pójdą tam, gdzie można coś zyskać.

Organizacje powiatowe wędły. W powiecie bieszczadzkim w szczytowym okresie SLD miał ponad 200 członków, dziś tych aktywnych zostało ok. 10, a średnia wieku wynosi ok. 75 lat. To jest obecne zaplecze partii, która kiedyś rządziła Polską.

Działacze z partyjnych dołów mówili: „To my mamy się weryfikować? A może zweryfikujemy partyjną górę?”.

tworzenie nowych. Niebawem zobaczyłem, jak byłem naiwny.

Nowy przewodniczący uwielbiał przemowy, mógł je ciągnąć godzinami. Mnie i innych członków rady gasił zaś po minucie czy dwóch. Kochał wazelinarzy, nie cierpiał ludzi mówiących prawdę. Organizacje powiatowe zaczęły zniknąć.

Potem przyszły wybory. Rozumiem, że przewodniczący umieścić się na pierwszym miejscu listy w swoim okręgu. Natomiast mniej już rozumiem koalicję z Wiosną. Razem przynajmniej trzyma się lewicowej ideologii, tymczasem Biedroń miał po wyborze do europarlamentu zrezygnować z mandatu, nie zrobić tego, a na dodatek wygrzył dobrą lewicową

Dlaczego tak się dzieje? Otóż partia niczego nie proponuje swojemu elektoratowi. Do perfekcji opanowała metodę doczepiania się do innych. Podpiniała się pod manifestacje kobiet, KOD czy w obronie niezawisłości sądów, pojawiała się na paradach równości, na protestach środowisk LGBT itd. Od kilkunastu lat sama nie zorganizowała niczego nowego.

Pamiętam jedną z rozmów z przewodniczącym Czarzastym. Powiedział, że jako SLD powinniśmy wystąpić z propozycją emerytury wdowiej. Chodziło o to, że w razie śmierci jednego z małżonków drugi powinien otrzymywać jakąś część jego emerytury. Bywa bowiem tak,



że gdy jeden z małżonków umiera, drugi popada w skrajną biedę. Niestety, SLD nie wypromował tego pomysłu, przejął go Donald Tusk. Lewica powinna wystąpić z postulatem likwidacji rad nadzorczych w firmach z udziałem skarbu państwa lub samorządów. Rozmawiałem z kilkoma szefami firm samorządowych, twierdząc

oni, że rady są dla nich zbędnym ciężarem. Są tylko łupem opcji politycznej, która w danej chwili rządzi.

Nie wiem, dlaczego lewica wstydzi się oficjalnego stanowiska w sprawie świeckości państwa. Przecież ponad połowę mieszkańców kraju drażnią krzyże w urzędach, szkołach, szpitalach. Wszystkie państwowe instytucje i urzędy powinny mieć świecki charakter. Religię trzeba wyprowadzić ze szkół i szkolnych świadectw. Lewica nie powinna akceptować kościelnych synekur w urzędach, szpitalach, szkołach, policji, wojsku czy zakładach energetycznych (!). Kościół ma tace, jest również odpis podatkowy. Kolejny postulat lewicy winien dotyczyć likwidacji NFZ; następna pasyżnicza instytucja to IPN. Bezwzględnie trzeba też rozdzielić funkcje ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego.

To tylko kilka postulatów, które powinien wypisać na swoich sztandarach SLD. No i – co najistotniejsze – trzeba pytać o zdanie partyjne doły. Bo na razie partyjna wierchuszka ma je w głębokim poważaniu. Ja zrezygnowałem ze wszystkich stanowisk i wystąpiłem z partii. Podobnie robi coraz więcej osób. Jeśli coś na lewicy się zmieni, to może jej szeregi ponownie zaczną rosnąć. Wśród postów lewicy prócz totalnych słabeuszy jest także kilka ciekawych postaci. Może więc czas na zmianę przywództwa? ■

Tak, ale



Agnieszka
Wolny-Hamkała

Czego nam zabraknie (kiedy zabraknie nam kampu)

Czy pulchne, słodkie, pękate, wylizane, kwadratowe – to pojęcia estetyczne? Czy mogą „przydać się” w rozmowie o wartościach? W jaki sposób „ustawiają się” wobec piękna? Mieszczą się w nim czy są wobec niego opozycyjne? I czy przeżywamy je równie intensywnie (co piękno)? Dzisiejsi badacze i badaczki poważnie zastanawiają się nad tymi kategoriami: co dokładnie opisują, w jaki sposób je przeżywamy? Jedną z takich badaczek jest profesorka Wioletta Kazimierska-Jerzyk, która uważa, że bez tych „nowych” kategorii po prostu nie da się mówić o współczesnym świecie. Prześlepiając je, możemy nie zrozumieć nie tylko nowej sztuki czy literatury, ale także zjawisk społecznych czy naszych własnych sprzecznych emocji, wzbudzanych przez niektóre gesty, zachowania, dzieła.

Badaczka wyróżnia trzy najciekawsze i najbardziej znaczące (pojemne?) pojęcia: kamp, vintage, glamour. Wszystkie one funkcjonują w naszym języku, ale niejasno, jako kategorie rozmyte, intuicyjne – a do tego w różnych obszarach: np. w kinie, teatrze, modzie, dizajnie, literaturze i architekturze. Ale posługujemy się nimi również wtedy, kiedy opisujemy style życia bądź style „zachowywania się”, odgrywania własnej płci, roli społecznej czy tej związanej z wykonywanym zawodem.

Najciekawszą – i jednocześnie najbardziej tajemniczą oraz kontrowersyjną z nich – jest kamp. Glamour potocznie kojarzy się z blaskiem, przepychem, luksusem. Vintage – z wybranymi elementami/wytworami kultury pochodzącymi z przeszłości. Współczesność je odzyskała i dowartościowała. Natomiast kamp, cóż, tu najczęściej dochodzi do pomyłek, oskarżeń, nieporozumień i nadużyć. Kojarzony jest zazwyczaj z kiczem, przesadą, imitacją, przerysowaniem, przegięciem, z czymś różowym, puchatym, queerowym. Oskarżany jest a to o polityczność, a to o niepolityczność. O zaangażowanie i brak zaangażowania. O naiwność i o utratę niewinności. O to, że jest „relacyjny”, czyli do własnej realizacji potrzebuje także kempowego odbiorcy (powstaje „w oku patrzącego”). A wreszcie o to, że jest kategorią widmową i jej zakresu w ogóle nie da się ustalić.

Susan Sontag, która jest autorką najgłośniejszego, formującego i jednocześnie ostro krytykowanego eseju o kampie – zamiast definiowania pojęcia wybrała egemplifikację. Zderzyła ze sobą przykłady realizujące czy wyrażające strategie kempowe: lampy Tiffany, „Jezioro łabędzie”, sztampową, płomienną kobiecość Jayne Mansfield,

epigram i rymowany kuplet, malarstwo manierystyczne, rokokowe kościoły w Monachium, secesję. Ale nawet Sontag, która przesunęła „tajemny”, mniejszościowy kamp do mainstreamu, warunkowała te przykłady, pisząc choćby, że w kampie istotną rolę odgrywa porażka, nieudolność, nieaktualność (czy banał nie jest wyłącznie kategorią współczesności?), nie-modność. Do kempowania potrzebny jest dystans. Od kiczu różni go też to, że jest skrajny i nieodpowiedzialny, „naprawdę dziwaczny”, a przez to bezprezjonalny. Można więc powiedzieć, że cechą kampu jest pewna ambicja, która jednak kończy się wybuchem śmiechu, który z kolei ma „pod spodem” łzy. Kamp jest „świadomy” tego, że może być odbierany w dwójnasób, i sprawia mu to przyjemność, jednocześnie drwi z tego i jest akceptujący (obdarza czułością ludzką słabość).

Do kempowania potrzebny jest dystans.

Kazimierska-Jerzyk w monografii „Kamp, glamour, vintage. Współczesne kategorie estetyczne” pisze o specyficznie wyostrzonej uwadze, skupieniu, które respektuje „dwuznaczność urody” kempowych produktów/produkcji. Nie wiem, czy można wykształcić kempową wrażliwość, czy jest ona reprodukowalna w procesie edukacji, czy jest raczej czymś w rodzaju poczucia humoru. Na pewno wejście w kamp oznacza otwarcie – zgodę na konfuzję poznawczą, brak poczucia bezpieczeństwa, utrzymywanie i wycofywanie znaczeń, zmyłkę, podwójną grę. Kazimierska-Jerzyk podkreśla, że „estetyka instytucjonalna” okazała się niewrażliwa na tę nową kategorię. Ja myślę, że w Polsce można obserwować lęk przed kempem – żyjemy w kraju homofobicznym, jednym ze źródeł kampu jest queer, a dokładnie praktyki homoseksualne „radzenia sobie z piętnem”, jak pisali historycy kategorii. W kempowaniu sztuki i literatury przeszkadzają nam także upiory romantyzmu, poezja narodowa, taka, która „jest sprawą poważną” (w Polsce – każda „prawdziwa” poezja?). Ale mimo pobażliwych uśmiechów, posądzania o błażość i bierność (w rzeczywistości kamp jest subwersywny) – warto pójść w kamp. Bo to on opisuje najlepiej nas – jednocześnie patetycznych i śmiesznych, godnych szacunku i pogardy, rozsądnych i irracjonalnych.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Czym jest polskość

Andrzej Romanowski

Obrzydzono nam Polskę! Kto obrzydził?
To oczywiście: my sami

W roku 1987 miesięcznik „Znak” (redagowany wówczas przez Stefana Wilkanowicza) ogłosił wyniki ankiety „Czym jest polskość?”. Był to czas narodowej opresji, ale lody zaczynały już pękać. W ankiecie uczestniczył m.in. Edward Raczyński, a redakcja poinformowała, że jest to były prezydent RP na uchodźstwie. Cenzura, surowa wobec całej ankiety, w tym jednak przypadku nie interweniowała.

Czas sprzyjał wtedy refleksji zasadniczej. Na przykład o granicach kompromisu. O stosunku do władzy, mimo wszystko polskiej, choć nieporozumianej z wyborów. O poszerzaniu przestrzeni wolności. O podległości – niechby nawet kruszejącej w dobie pierestrojki – wobec Wielkiego Brata. O ocalaniu kolejnych wątków narodowej tradycji. O wszystkim tym nie wolno było na ogół pisać otwarcie, ale wiele można było powiedzieć w sposób pośredni, zawołany, aluzyjny, za pomocą języka ezopowego, doprowadzonego w PRL do maestrii. Bo były to przecież nasze „przekłète problemy” – i pamiętam, jak wyłaziły z nas podczas „długich



traktatem polsko-litewskim z roku 1994) oraz uchwalenie konstytucji (w roku 1997), a wreszcie akces do NATO (1999) i Unii Europejskiej (2004). Ciekawa rzecz! Gdy wszystkie te narodowe cele zostały zrealizowane, pojawił się pomysł IV Rzeczypospolitej.

Dziś wszystko stało się jeszcze trudniejsze. Trudniejsze niż w początkach III RP i nawet trudniejsze niż w PRL. Idee przeminęły: wszystko, co zamierzyła III RP, zostało wypełnione. Z kolei pomysł już IV RP zakończył się kompromitacją; pozo-

Bez Rusi i Litwy

Bo przecież obrzydzono nam Polskę! Kto obrzydził? To oczywiście: my sami. Wszyscy jesteśmy winni, skoro albo bezpośrednio, albo pośrednio włączyliśmy się w obłęd, skoro na obłęd ten daliśmy przyzwolenie, skoro nie protestowaliśmy, a przynajmniej – protestowaliśmy w sposób niewystarczający. „Rywinland”, „Ubekistan”, „postkomunistyczne monstrum”... Kto takimi obelgami obrzucał nasze państwo? Kto publicznie głosił, że głowa tego państwa, Prezydent Rzeczypospolitej, został wybrany „przez nieporozumienie”?

Pomiatanie polskim państwem było (i czasem nadal jest) w modzie. A przecież państwo to wciąż pozostaje w Europie nowością. Sto lat temu można było powtarzać za Alfredem Jarrym: „w Polsce, czyli nigdzie”. 70 lat temu marszałek Montgomery dopytywał gen. Maczka, w jakim właściwie języku mówią Polacy między sobą: po rosyjsku czy po niemiecku? Jeżeli zaś na początku XX w. istniało wśród Polaków jakieś wyobrażenie ojczyzny, to był nim kształt państwa przedrozbiorowego – państwa, którego dawno już nie było. A jednak Kazimierz Okulicz wspomina, jak jeszcze wtedy informował go prosty białoruski woźnica, że „Polsza” zaczyna się na Smoleńszczyźnie. W związku z zakazem nabywania przez Polaków majątków na Ziemiach Zabrzanych, naród szlachecki dokonywał „ekspansji” na tereny położone dalej na wschód. Na przykład właśnie pod Smoleńsk, gdzie rodzina Wacława Lednickiego nabyła posiadłość „na brzegach malowniczej Katynki”. Jeżeli jednak powiemy, że przed I wojną polskie osadnictwo istniało na terytorium jeszcze szerszym niż dawna Rzeczypospolita, to musimy pamiętać i o tym, że ojczyzną Polaków były wtedy wszystkie trzy państwa

Nie wolno opowiadać się za jedną tylko postawą, za miernik patriotyzmu uznawać jednej tylko drogi.

narodowych nocy”, spędzanych wśród rówieśników na emigracji. Przy wódce i przy puszcanych na okrągło piosenkach Jacka Kaczmarskiego rozmawiano – czy można to sobie wyobrazić? – o Polsce.

Dwa lata później istniała już III Rzeczypospolita. Państwo, odzyskiwane krok po kroku, zdawało się emanacją polskości. Od początku też żyło wielkimi ideami. Najpierw wolnym rynkiem (restytuowanym przez Leszka Balcerowicza), demokracją (zamanifestowaną wolnymi wyborami) i niepodległością (ukoronowaną wyjściem z Polski armii radzieckiej). Równocześnie były takimi ideami uregulowanie stosunków z sąsiadami (zamknięte

stały po nim instytucje i programy – w rodzaju Instytutu Pamięci Narodowej i polityki historycznej. Czy jednak jest jasne, co dziś znaczy polskość? I co powinna znaczyć?

Gdy patrzę na mój kraj, rozdarty na dwa plemiona szczone z sobą w śmiertelnych zapasach, myślę, że w momencie dopłynięcia do brzegu coś jednak w nas się wypaliło. Byłoby to tylko zmęczenie latami transformacji? Lub dziedzictwo politycznej niewoli, trwającej przez stulecia? A może okazaliśmy się niegodni wolności?! Ale kto: my? Wszyscy „my”? Cały naród? Przypomina się rysunek Andrzeja Mleczki: krasnoludek czyta słowa „Tu jest Polska” i rzuca się do panicznej ucieczki.

zaborcze: to tam poszukiwali oni karier, to tam, w metropoliach Petersburga, Berlina czy Wiednia, uczestniczyli w wielkim świecie europejskiej kultury. Czy więc nie można powiedzieć, że Polacy byli tam, gdzie były ich państwa rozbiornicze? A czy trzeba dodawać emigrację „na złamanie karku” (określenie Adolfa Dygasińskiego) do obu Ameryk? Polska naprawdę była wtedy nigdzie – choć zarazem była też wszędzie.

To się zmieniło po I wojnie – nie tyle jednak po roku 1918, ile po roku 1921, który ostatecznie ustalił kształt nowego państwa. A państwo to powstało jako twór całkowicie nowy: po raz pierwszy od Kazimierza Wielkiego

Ukrainy: był wśród nich Jarosław Iwaszkiewicz. A przecież do grona egzulantów należy zaliczyć także Jerzego Giedroycia, Czesława Miłosza i Stanisława Stommę. Ostatnie relikty I Rzeczypospolitej odeszły bowiem na naszych oczach, a „Znak”, którego Stomma był pierwszym redaktorem, do dziś dotyka szczególnego nerwu polskości.

Katastrofę traktatu ryskiego, który pozostawił za granicą tysięczne rzesze Polaków, przypominał niegdyś sam Miłosz w „Wyprawie w dwudziestolecie”. Jednak do jego refleksji wypada dodać Polonię sowiecką, skupioną w latach 20. i 30. w dwóch Polskich Rejonach Narodowości-

dziedzictwa przedrozbiorowego... Niechby w jego karykaturalnej, a czasem i antypolskiej postaci.

Czy więc dziś, definiując polskość, potrafimy odejść od uwarunkowań ideologicznych? Czy pamiętamy o wielkości terytorium, na którym się ona rozwijała? Czy zdajemy sobie sprawę z zasadniczej różnicy, jaka Polaka dzisiejszego dzieli od jego przodków? Czy przyjmujemy do wiadomości, że polskość jest zawsze (niemal zawsze?) pojęciem szerszym niż aktualne polskie twory państwowe? Czy nasze dziedzictwo obejmuje także polski komunizm, Polonię sowiecką i państwo, które nazywało się PRL? Czym jest polskość?



obyło się bez Rusi, po raz pierwszy od Jagiełły – bez Litwy. To znaczy: w obrębie II RP pozostały wprawdzie takie ruskie i litewskie miasta, jak Lwów i Wilno, jednak nie były one nośnikami własnych idei państwowych: służyły Polsce. Co jednak pozostało z dawnej polskości? Oprócz pamięci zbiorowej, oprócz utworów z literatury pięknej i pomników historiografii byli to przede wszystkim egzulanci. Zjawisko to pojawiło się jeszcze w XVII w., gdy Rzeczpospolita utraciła ziemie naddnieprzańskie, a ich mieszkańcy przenieśli się w jej granice. W dwudziestolecu w granice II RP przenieśli się ludzie z Litwy oraz z sowieckiej Białorusi i sowieckiej

wych: Dzierżyńszczyźnie na Białorusi i Marchlewszczyźnie na Ukrainie. Katastrofa tych okęgów (opisana m.in. przez Mikołaja Iwanowa w książce „Pierwszy naród ukarany”) nie stała się nigdy przedmiotem społecznej refleksji. Bo choć lubimy się wzruszać losem „rodaków z Kazachstanu”, nie jesteśmy gotowi łączyć go z rozprawą Stalina z polskimi komunistami (nie tylko tymi z KPP, także z tymi, którzy działali na miejscu). Tymczasem – jakkolwiek to zabrzmie – to tej właśnie, skomunizowanej i skotłozowanej, ale też zapomnianej, rozstrzelanej i zamęczonej Polonii sowieckiej przyjdzie przyznać miano ostatniego depozytariusza

Bez Innego

To państwo – choć jeszcze pod tradycyjną nazwą Rzeczypospolitej Polskiej – pojawiło się w roku 1945. Pojawiło się na trupie Rzeczypospolitej Niepodległej. A powstanie tego państwa to było już coś znacznie więcej niż obycie się Polski bez Rusi i Litwy. Teraz – pierwszy raz od średniowiecza – Polacy znaleźli się sami. Żydzi zostali wymordowani, Niemcy wygnani, Ukraińcy przesiedleni. Życie bez Innego – to była nasza nowa sytuacja egzystencjalna. Tymczasem – zauważał we wspomnianej ankiecie Józef Czapski – to „Polska wielonarodowa jest Polską, a nie Polska czystej krwi”. ▶

► Gdy zaś dodamy do tego przesunięcie państwa polskiego na Zachód, wielomilionowe migracje, forsowną industrializację, wznoszenie nowego, absurdałnego i nieludzkiego, ustroju (połączonego jednak z rewolucyjnym awansem społecznym) – zrozumimy poczucie wykorzenienia, jakie stało się udziałem ojców i dziadków. Dołączyło się niszczenie kultur lokalnych: śląskiej, mazurskiej,

zglajchszaltowanie było tworzenie zbiorowości, w której będzie miejsce dla każdego.

Nie zmieniło się jednak terytorium powojennego państwa. I nie zmienił się fakt jednorodności etnicznej. Ale dziedzictwo PRL, choć pozostające w niezgodzie z wielowiekowym doświadczeniem polskości, okazało się dla narodu korzystne. Oszczędziło nam konfliktów z sąsiadami,

narodu, a które również wzbogacają wielobarwną paletę polskości?

Jakkolwiek patrzeć, polskość nie wyczerpuje się w katolicyzmie. Piszący te słowa ma tu kłopot, bo sam będąc katolikiem, czuje się zobowiązany do szerzenia Prawdy swego wyznania. Ale... Prawdy wyznania czy prawdy bezprzymiotnikowej, pisanej małą literą? Bo czy katolikowi wolno kłamać? Udać, że nurtów innych niż katolicki w kulturze polskiej nie było? No i jak ma wyglądać szerzenie tej jednej, katolickiej Prawdy? Czy katolik ma sięgać po *brachium saeculare* – ramię władzy świeckiej? Czy ma dokonywać – katolickiego tym razem – zglajchszaltowania pluralistycznego społeczeństwa?

Wszystkim tym katolickim uroszczeniom muszę się przeciwstawić jako Polak. Natomiast gdy widzę, jak kult papieża Polaka przystania u nas *sacrum*, jak papieskie wizerunki i papieskie pomniki stają się *de facto* równe Chrystusowi (a może i ważniejsze od Chrystusa), muszę się temu przeciwstawić jako katolik. Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że katolicyzm przygniata dziś polskość, zagraża polskości. Ale pogańsko-papieski pseudokatolicyzm zdaje się też zagrażać katolicyzmowi.

Zapytajmy ponownie: czym jest dzisiejsza polskość? Zaczynają się tu od razu kłopoty – nie tyle może z polskością, ile z lansowaną obecnie wizją przeszłości i pamięci. W rozpowszechnionym dziś syndromie

Żydzi zostali wymordowani, Niemcy wygnani, Ukraińcy przesiedleni. Życie bez Innego – to była nasza nowa sytuacja egzystencjalna.

warمیńskiej... Dołączyła się groźba uczynienia z Polaków ludzi sowieckich, całkiem realna do roku 1956.

Groźba przestała być aktualna, lecz i tak nie opuszczała Polaków przekonanie, że ich państwo jest czymś węższym od Polski, czymś ciśniejszym od polskości. To przekonanie było oczywistością: ani władze RP, ani wojsko gen. Andersa nigdy nie wróciły do kraju. Nie przestały też być częścią polskości Wilno i Lwów. Ludźmi władzy pozostawały niemal bez wyjątku osoby spoza Kościoła; konstrukcja państwa pozostawała laicka, by nie rzec: ateistyczna. Tak, Polska to było coś znacznie więcej niż PRL!

O tę prawdziwą Polskę upomniał się w roku 1980 ruch Solidarności. „Żeby Polska była Polską!”, śpiewał Jan Pietrzak, nie zdając sobie sprawy, że podobne zawołanie towarzyszyło polskim bojom o niepodległość już w XIX w. Bo jeżeli Polska była czymś szerszym niż PRL, to podobnie rzecz się miała z ubezwłasnowolnioną Rzeczpospolitą czasów saskich i stanisławowskich, z Księstwem Warszawskim, z Królestwem Kongresowym... Solidarność nieprzypadkowo przyjęła formułę polskości najszerzą z możliwych. Mieściło się w niej i „Postanie do ludzi pracy Europy Wschodniej” z roku 1981, i dopuszczenie na listy Komitetu Obywatelskiego „nadreprezentatywnej” grupy obywateli innej narodowości w roku 1989. Z drugiej jednak strony, z grona rodaków nie wyłączało się ludzi władzy („dogadaliśmy się jak Polak z Polakiem”, deklarowali zgodnie i wicepremier Mieczysław Jagielski, i przewodniczący strajku Lech Wałęsa). Reakcją na komunistyczne

a w dobie czystek etnicznych także (kto wie?) porachunków obywateli między sobą. Bilans PRL nie jest wyłącznie negatywny.

Polak katolik?

Czym więc jest polskość dziś? Jakie treści nadają temu pojęciu szkoła, Kościół, media? A cokolwiek powiemy o różnicy między Polakiem historycznym a Polakiem dzisiejszym – w jakim stopniu potrafimy żyć tradycją dawnego, wielonarodowego i wielokulturowego państwa?

Stopień uroczystości państwowych z kościelnymi, w połączeniu z etniczną homogenicznością społeczeństwa, zdaje się świadczyć, że prawdziwy Polak to Polak katolik. Równanie takie niósł jednak zawsze treść dla polskości zawężającą. Czy dziś, w tej naszej nowej sytuacji egzystencjalnej, trafi ono na grunt

Sprowadzenie polskości do idei walki najbardziej krwawej, do ostatniego Polaka, było apologią narodowego samobójstwa.

podatny? Byłoby to po raz kolejny wbrew tradycji. Wszak był i taki czas, że w Sejmie Rzeczypospolitej katolicy stanowili mniejszość. A cóż mówić o wkładzie w polską kulturę protestantyzmu, poczynając od Mikołaja Reja? Cóż mówić o takich nurtach polskości, jak postawy antyklerykalne (nieraz widoczne u przedrozbiorowej szlachty), jak tendencje laickie, wolnomysliczkie, kosmopolityczne? A Rusini piszący w XVII wieku po polsku? A polsko-czesko-niemieccy Ślązacy? A wszelkie inne zjawiska pogranicza etnicznego i kulturowego, które tak nieraz trudno zakwalifikować do piśmiennictwa jednego

katolicko-solidarnościowym daremnie bowiem szukać miejsca dla obu ojców Solidarności: Karola Modzelewskiego i Jacka Kuronia. Sącząca się z IPN czarno-biała wizja historii najnowszej zamuliła wszystkie sensory półwolności i ćwierćwolności, których widownią był PRL i tyle innych polskich tworów państwowych w XIX i jeszcze XX w. Lansowane przez PiS pojęcie „patriotyzmu genetycznego” niszczy tak charakterystyczny dla Polski motyw ekspiacji synów za winy ojców (niszczy też pojęcie chrześcijańskiego odkupienia win). Podobnej dewastacji pojęć dokonuje IPN-owska lustracja.

Sprowadzenie zaś polskości do kanonu heroiczno-bitewnego, do idei walki możliwie najbardziej krwawej, bitwy straceńczej, choćby do ostatniego Polaka (czynił to przede wszystkim prezydent Lech Kaczyński), było w istocie apologią narodowego samobójstwa.

„Znak” (i całe tworzące go środowisko) stanowił zawsze zaprzeczenie postaw straceńczych. Stanisław Stomma, choć nie był *a priori* wrogiem powstań, uważał jednak, że każdy czyn zbrojny musi być poprzedzony rzetelną polityczną kalkulacją. Paweł Jasienica twierdził w „Tygodniku Powszechnym”, że powstanie warszawskie było „faktycznie skierowane przeciw Polsce”. Czy dziś w sprawie przeszłości potrafimy się zdobyć na uczciwy rachunek, na rzetelne wymierzenie zysków i strat?

Bo przecież, jeśli odmieniane przez wszystkie przypadki słowo „patriotyzm” nie ma być pustym dźwiękiem, nie wolno gloryfikować czynów narażających Polskę na utratę życia. Nie wolno opowiadać się za jedną tylko postawą, za miernik patriotyzmu uznawać jednej tylko drogi. Zauważmy: wszystkie nasze niepodległości zdobywane na krócej lub dłużej od XVIII do XX w. (Konstytucja 3 maja, listopad 1918, wrzesień 1989) dokonywały się w większości drogą narodowego porozumienia. Jeżeli ktoś krytykuje Okrągły Stół, gloryfikuje zaś wieszanie zdrajców – odwraca się plecami do narodowej tradycji.

Dewastacja

Wielokrotnie pisałem o demolowaniu pamięci zbiorowej przez IPN. Równie przynębiająca jest postępująca dewastacja polskiej przestrzeni publicznej. Najświętsze miejsca Krakowa – Wawel i Skalkę – zeszpecono (i to wbrew opiniom konserwatorskim!) papieskimi monumentami. W podziemia wawelskie wprowadzono ciało prezydenta RP. Na placu św. Marii Magdaleny ustawiono pomnik Piotra Skargi, z którego nie przestają sztydzić historycy sztuki. W fasadę gmachu Wydziału Polonistyki UJ wmurowano tablicę papieską, co automatycznie uniemożliwia upamiętnienie narodzin literatury polskiej. Bo symbolicznie narodziła się ona w XVI w. w tym właśnie miejscu: na rogu dzisiejszej Jagiellońskiej i Gołębiej, w oficynie

drukarskiej Wietora, Łazarza i Januszowskiego. Jeżeli taka dewastacja następuje w Krakowie, cóż mówić o mniejszych miastach?

Zjawisku temu towarzyszą próby amputowania całych połaci narodowej kultury. O czym świadczy ciągnąca się miesiącami kampania na rzecz usunięcia z przetęczy Snozka „Organów” Władysława Hasióra? Skąd wzięły się próby wymazywania z pamięci zbiorowej Brunona Jasieńskiego (ani słowem nie wspominają o nim ulice rodzinnego Klimontowa)? Czym spowodowane były bezprzykładne ataki na Miłosza? Wszak przykłady można mnożyć, i nie sposób sprowadzać ich do izolowanych

Polskość trzeba odbudować, bo się nam wykoślawiła, przeszła na służbę Kościoła i Solidarności, a ona jest wartością autonomiczną i nadrzędną.

akcji osób nawiedzonych, bo w zwalczanie Hasióra angażowały się władze lokalne, w sprawę Jasieńskiego – IPN, w dezawuowanie Miłosza – poszczególni posłowie. Tymczasem jeżeli my nie zadamy o dziedzictwo kultury polskiej, to kto o nie zadba? Jeżeli z racji takich czy innych ograniczeń ideologicznych nie będziemy w stanie przyjąć całości polskiej tradycji, to kto się o nią upomni?

Polska kultura to nie czytanka dla dzieci. „Sofijowka” Stanisława Trembeckiego, jedno z arcydzieł polskiej poezji, zawiera wspaniały (*sic*) panegiryk ku czci carycy Katarzyny II. Utwór ten powstał już po III rozbiore, jest więc – obok wszelkich

innych sensów – także pochwałą unicestwienia polskiej państwowości. Czy jest to powód, by nie mówić o Trembeckim?

Polskość nie może sobie pozwolić na dalsze ograniczenia. Nie wolno marnować, zapominać, marginalizować żadnego segmentu, żadnej części narodowego dziedzictwa. Nie wolno tego robić dlatego, że taka polskość byłaby nieautentyczna i nieprawdziwa, a tym samym skazana na więdnienie i marnienie – całkiem podobnie jak stało się to z polskością lansowaną przez PRL. Taka polskość byłaby też dla świata nieatrakcyjna. A doświadczenia IV RP przekonują, że byłaby również groteskowa.

Wyzwaniem czasu staje się bowiem polskość integralna, w której zmieści się i walka zbrojna, i praca organiczna, i polityka ugody; i katolicyzm (rzymski, grecki, ormiański...), i judaizm, i prawosławie. Polskość trzeba odbudować, bo się nam wykoślawiła, przeszła na służbę Kościoła i Solidarności, czasem nawet poszczególnych partii, podczas gdy ona nie może nikomu służyć, bo jest wartością autonomiczną i nadrzędną. Słowa „tu jest Polska” nie mogą wywoływać odruchu ucieczki.

Pierwotnie tekst pt. *Polskość integralna* ukazał się w miesięczniku „Znak” 2011, nr 11, s. 36–41.



Książka ukazuje różne momenty historii Polski od XI do XXI w., ale wszystko jest tu na opak. Narodowe katastrofy jako następstwo „wstawania z kolan”. Pierwsze powstanie jako dzieło psychopaty. Niemcy, Żydzi, Rusini jako ofiary Polaków. Autor w najbardziej osobistej ze swoich książek prowokuje, bo szuka sensu polskich dziejów, patrzy z różnych punktów widzenia i wszędzie dostrzega drugie dno. Dziś – zdaje się mówić – jesteśmy wykorzenieni z polskiej tradycji, nie rozumiemy jej. Nasza pamięć gromadzi tylko prochy.

Tekst pochodzi z książki Andrzeja Romanowskiego *Pamięć gromadzi prochy. Szkice historyczne i osobiste*, Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych Universitas, Kraków 2021.

Piotr Ciszewski

Bitwa pod Ewiną

IPN bagatelizuje wydarzenia
z 12 września 1944 r., a nawet tworzy mit,
że partyzanci AL uciekli przed przeciwnikiem

12 września 1944 r., ok. godz. 9 rano, w rejonie wsi Ciężkowice nieopodal Radomska, oddziały niemieckiej żandarmerii uderzyły na żołnierzy 3. Brygady Armii Ludowej im. Józefa Bema. W ten sposób rozpoczęła się jedna z największych bitew partyzanckich na ziemiach polskich.

Rosnąca w 1944 r. w siłę w powiecie radomszczańskim partyzancka Armia Ludowa była solą w oku niemieckich okupantów. Do ukrywających się w lasach oddziałów dołączyli skoczki z Polskiego Sztabu Partyzanckiego, utworzonego przy Wojsku Polskim na froncie wschodnim. Operujący w okolicach Radomska batalion AL im. Józefa Bema został w sierpniu 1944 r. wzmocniony przez zrzucone sprzętu i zaopatrzenia. Do oddziału napływali nowi ochotnicy i we wrześniu liczył on już ponad 500 ludzi. Batalion został wówczas przekształcony w 3. Brygadę AL.

Rosnąca w 1944 r. w siłę partyzancka Armia Ludowa była solą w oku niemieckich okupantów.

Dowodzenie objął przedwojenny działacz Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego oraz Komunistycznego Związku Młodzieży Polski z Radomska – Bolesław Boruta „Hanicz”. Do 1942 r. był on członkiem Związku Walki Zbrojnej, aby później przejść do tworzącej się Gwardii Ludowej. W roku 1944 lokalna Armia Ludowa zawarła porozumienia z oddziałami

Socjalistycznej Organizacji Bojowej oraz Batalionów Chłopskich.

Przeprowadzane przez Niemców operacje przeciwpartyzanckie okazywały się nieskuteczne – nie mieli odpowiednich sił, a partyzanci dobrze znali teren. Ustabilizowanie frontu we wrześniu 1944 r. pozwoliło Niemcom na koncentrację sporych sił i rozpoczęcie dużych operacji przeciwko leśnym oddziałom. Do Częstochowy przybyły m.in. jednostki Rosyjskiej Armii Wyzwoleńczej, tzw. własowców. Żandarmeria rozpoczęła

na oddział „Szarego”, niszcząc partyzanckie tabory. Widząc skalę zniszczeń, dowódca jednej z kompanii, por. Józef Ryteł „Brzęk”, załamał się i popełnił samobójstwo. Atak został odparty, jednak partyzanci ponieśli znaczne straty i musieli się rozprószyć po okolicy.

Kolejnym celem niemieckiej operacji stała się 3. Brygada AL. W nocy z 11 na 12 września 1944 r. rejon Ciężkowic i Ewiny został otoczony przez ok. 6 tys. żandarmów, własowców oraz Korpus Kawalerii Kałmuckiej. Natarcie rozpoczęło się ze wszystkich stron. W bezpośrednim ataku brało udział kilka tysięcy niemieckich żołnierzy i żandarmów, a także członków formacji kolaboracyjnych, wspieranych przez moździerze i artylerię. Partyzanci początkowo dali się zaskoczyć lub, jak twierdzą niektórzy historycy, popełnili błąd, przyjmując walkę, ufnie, że są w stanie zwyciężyć dzięki otrzymanej wcześniej radzieckiej broni. W okrzęzieniu znalazło się ok. 500 żołnierzy Armii Ludowej oraz kilkudziesięciu partyzantów z Batalionów Chłopskich i członków Socjalistycznej Organizacji Bojowej dowodzonych przez przedwojennego działacza PPS Czesława Grajka „Wiktora”. Wśród walczących byli też radzieccy jeńcy, którzy wcześniej zbiegli z niemieckiej niewoli.

Siły niemieckie wykorzystały znaczną przewagę w sile ognia, aby wyprzeć partyzantów z pozycji obronnych i uderzyć w kierunku wsi Ewina, gdzie w leśniczówce mieścił się sztab brygady AL. Hitlerowcy dążyli do szybkiego wyeliminowania z walki dowódców partyzanckich. Na początku ataku byli tego bliscy, ponieważ w okolicy Ewiny pozostały tylko niewielkie siły chroniące sztab. Jedynie zdecydowany opór grupy partyzantów, którzy celnym ogniem

falę pacyfikacji wiosek podejrzanych o wspieranie partyzantów.

Spodziewając się ataku, lokalni dowódcy AL i AK, Czesław Kubik „Paweł” i Hipolit Świdorski „Szary”, 5 września 1944 r. zawarli porozumienie o przyjsciu z pomocą w wypadku walki z Niemcami. Trzy dni później znaczne siły niemieckie wspierane przez samochody pancerne uderzyły

Kup książkę PRZEGŁĄDU

**2 tomy
II WOJNY ŚWIATOWEJ
za 75 zł**

Wpłaty prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oretio Recta, 03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony
jest koszt wysyłki nieregulowanej
Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki
poleconej priorytetowej +10,00 zł,
Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat
InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem
InPost +14,90 zł.

www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

**JAKA POLSKA
PO WOJNIE?**
ANI SANACKINA, ANI SOWIECKA

44 zł

**KTO ODPOWIADA
ZA KLĘSKĘ
WRZEŚNIA**

45 zł

Żołnierze 3. Batalionu Armii Ludowej im. Józefa Bema.



zatrzymali nacierających, uratował oficerów.

Kpt. „Pawłowi” udało się opanować zamieszanie i zawrócić żołnierzy uciekających przed wrogiem. Po początkowym zaskoczeniu oddziały leśne stawiały zacięty opór. Nacierający ponieśli spore straty, wchodząc na postawione przez partyzantów pola minowe. Oddziały żandarmerii oraz własowcy nie przejawiali chęci do walki na bliski dystans, obawiali się wejścia głębiej w las. Morale tych sił było już wówczas słabe. Ostrzał z moździerzy okazał się nieskuteczny, ponieważ partyzanci szybko zmienili pozycje. Walki trwały z różnym natężeniem przez cały dzień. Decydujące okazały się kontrataki przeprowadzane przez partyzantów. „Podczołgaliśmy się na odległość kilkudziesięciu metrów do linii przeciwnika w momencie, gdy formował się do nowego natarcia. Zaskoczony gwałtownym ogniem wróg nie wytrzymał uderzenia i rzucił się do panicznej

Po bitwie Niemcy dokonali zemsty na mieszkańcach Ewiny. Spalili jedno z gospodarstw oraz gajówkę i zamordowali trzech mieszkańców wsi.

ucieczki, pozostawiając na placu boju wielu zabitych i rannych. Wykorzystaliśmy ten moment na oderwanie się od nieprzyjaciela”, wspominał ówczesny dowódca brygady mjr Bolesław Boruta „Hanicz”.

Nocą z 12 na 13 września partyzanci, porzucając część sprzętu, przebili się przez pierścień okrążenia. Brygada przeszła forsownym marszem kilkanaście kilometrów, odrywając się od wroga. Jej straty w boju to 18 zabitych, 11 rannych oraz ok. 10 zaginionych, z których część dołączyła później do oddziału. Ranni zostali m.in. mjr Boruta oraz łączniczka Sztabu Głównego AL Janina Kalinowska „Jasia”. Straty Niemców oraz ich kolaborantów były jednak znacznie wyższe. Mogły sięgnąć nawet 150 zabitych i rannych.

Po bitwie Niemcy dokonali zemsty na mieszkańcach Ewiny. Spalili jedno z gospodarstw oraz gajówkę i zamordowali trzech mieszkańców wsi.

Brygada AL im. Józefa Bema walczyła z okupantem do grudnia 1944 r., kiedy to została rozformowana. Jej dowódca wstąpił do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Brał później udział w walkach z Ukraińską Powstańczą Armią, a w okresie stalinowskim był więziony. Zrehabilitowano go w roku 1956.

W 1948 r. w Ewinie został wzniesiony nagrobek partyzantów poległych w walce. Jest to skromny obelisk zwieńczony metalowym krzyżem. Nieopodal, obok powojennej leśniczówki, w 1964 r. postawiono okazały pomnik upamiętniający bitwę. Obecnie nie odbywają się już przy nim coroczne państwowe obchody. IPN-owska polityka historyczna próbuje bagatelizować wydarzenia z 12 września 1944 r., a nawet tworzy mit, że partyzanci AL uciekli przed przeciwnikiem. Próbowano również dokonać dekomunizacji pomnika w Ewinie. W 2019 r. nie zgodzili się jednak na to lokalni samorządowcy wspierani przez okolicznych mieszkańców i ostatecznie monument pozostał na miejscu.

Społeczność Ewiny i okolic gromadzi się w rocznicę partyzanckiego starcia na własnych obchodach i składa kwiaty pod pomnikiem. Towarzyszą temu koncerty pieśni partyzanckich oraz inne wydarzenia kulturalne. Pamięć walki z faszyzmem pozostaje żywa w Ewinie i pobliskich miejscowościach. Jest to solą w oku środowisk skrajnie prawicowych. Kilkakrotnie przyjezdni nacjonaliści usiłowali zakłócić społeczne obchody rocznicy bitwy, ale za każdym razem napotykali zdecydowany opór mieszkańców. W grudniu zeszłego roku nieznani sprawcy próbowali zniszczyć monument w Ewinie, nieudolnie zamalowując napisy upamiętniające 3. Brygadę AL.

p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl

W stadzie pędzących bizonów

Rozmawia Bartek Solik

Zacząłeś wspinać się w latach 60. Jak było wtedy, a jak jest dziś?

– Widzę wyraźne zmiany. Przede wszystkim to umasowienie alpinizmu. Dla przykładu – w 1972 r. studiowałem na Uniwersytecie w Berkeley w Kalifornii razem ze znanym alpinistą amerykańskim i fotografem Galenem Rowellem. Dwukrotnie robiliśmy wspólnie nowe drogi w Kings Canyon w Sierra Nevada. Mieliliśmy czas, żeby porozmawiać o tym, dlaczego i po co to w ogóle robimy. Ja – Polak, on – Amerykanin, ale zdanie mieliśmy takie samo – wypchnęła nas do tego cywilizacja. W cywilizacji nie ma nic ciekawego do roboty. Galen napisał wtedy artykuł do „National Geographic” o tym, że jego przodkowie – myśliwi i traperzy – polowali. Że dawniej była to bardzo niebezpieczna przygoda. Amerykańscy Indianie polujący na bizona musieli być na tyle odważni, by wbijać się w ich stado, umieć zeskoczyć z konia w galopie itd. Nie przejmowali się tym, że w każdej chwili mogli łatwo zginąć. Galen napisał, że tak jest wśród współczesnych alpinistów, którzy ryzyko przyjmują za normę. Dziś, jako stary człowiek, patrzę na zdjęcia korkujących się himalaistów w drodze na szczyt Everestu. Gdyby ktoś się źle poczuł, to Szerpowie mają w razie czego tlen i namiot. Wszystko za tobą noszą. W zasadzie to trzeba się przemęczyć na poręczówkach i jakoś tam wczłapać na wierzchołek. Jaka to przygoda?! Wszystko się skończyło.

W górach straciłeś wielu kompanów.

– Mój przyjaciel Andrzej Mróz, który zginął w Alpach w 1972 r., twierdził, że normalne życie, chodzenie do pracy to nuda. Przygoda zaczyna się tam, gdzie kończy się asfalt, tam, gdzie nie dojeżdża technika. Andrzej miał 30 lat, kiedy zginął. Samek Skierski, z którym robiłem zimą nowe drogi na Kapałkowych Turniach, zginął na wschodniej ścianie Mont Blanc, mając 26 lat. To bardzo wcześnie, ale temat śmierci wtedy nas nie interesował. Myśmy

Wspinaczkę traktowaliśmy tak, jak się idzie na bitwę – część może zginąć, trzeba uważać tylko, żeby nie podpaść pod kule



MAREK GŁOGOCZOWSKI

– filozof, fizyk, pisarz, taternik, alpinista i himalaista

to traktowali tak, jak się idzie na bitwę – część może zginąć, trzeba tylko uważać, żeby nie wpaść pod kule. Oczywiście, jak giną bliscy ludzie, odczuwa się to strasznie. Śmierć Andrzeja bardzo mnie uderzyła, chciałem wszystko odpuścić, zrezygnować z wyprawy. Akurat byłem z Francuzami na Huascarán Norte w Cordillera Blanca w Peru.

Przed wyprawą na Makalu w 1978 r. wspinałem się z dwoma Amerykanami, którzy pracowali w genewskim CERN (Europejska Organizacja Badań Jądrowych). To był sam początek sierpnia, kilka dni później leciałem już z Paryża do Katmandu. W Bombaju od znajomych dowiedziałem się, że w Alpach było potworne załamanie pogody i obaj moi amerykańscy koledzy zginęli na „Całunie” w Grandes Jorasses. Później okazało się, że tego samego dnia na Matterhornie stracił życie inny

mój znajomy – Jean Juge, ówczesny prezydent Międzynarodowej Federacji Związków Alpinistycznych. Po zrobieniu północnej ściany Matterhornu jego partnerzy ściągnęli go do schronu Solvay, ratunkowej chatki na ponad 4000 m na grani, i sami poszli po pomoc. Kiedy wrócili, Juge już nie żył. Miał siedemdziesiątkę. Rok 1978 był tragiczny. Pamiętam, że straciłem też znajomego z Genewy – tłumacza. Zginął, próbując ratować kogoś z lawiny. Wtedy się zorientowałem, że nagle wokół mnie śmierć zbiera jakieś straszne żniwo. Nie miałem jeszcze czterdziestki, a połowa znajomych zginęła w górach. Czułem, że coś rzeczywiście było nie tak.

Ostatni raz na dużej wysokości byłeś w wieku 69 lat, w 2011 r.

– Razem z nieudaną wyprawą na Elbrus. Uczestnikami byli prof. Roman Kuźniar, politolog i doradca prezydenta Bronisława Komorowskiego,

oraz Jacek Kranc, leśnik z Wołosatego w Bieszczadach. Obaj bardzo wysportowani. Romek biegał w maratonach. Kilkanaście lat wcześniej, w 1999 r., zrobiliśmy z Romkiem wymagającą północno-zachodnią grań Zmutt Matterhornu. Dobrze znałem jego możliwości, wiedziałem, że jest silny. Po prostu doskonały kolega. Kranca znałem słabiej, z widzenia na zawodach skiturowych w Bieszczadach. Co się stało wtedy na Elbrusie? Śmierć była blisko.

Przyjechaliśmy, potrenowaliśmy. Wyszliśmy gdzieś na 4600 m. Na skąty Lenza doszedłem 20 minut po nich, więc stwierdzili, że choć dobijam siedemdziesiątki, to cały czas jestem dobry. Na szczyt mieliśmy startować następnego dnia od północnej strony. Komercyjne wyprawy szły jedna za drugą. Ja pierwszy raz w czymś takim uczestniczyłem, ale oni mieli pieniądze, zwłaszcza Romek. Dowieźli nas samochodami po wertepach do znakomicie wyposażonej bazy.

Mamy o północy wyruszyć w górę, a tu leje. Czekamy godzinę, dwie – leje dalej. Ja mówię: czekajmy do następnego dnia, może pogoda się poprawi. Oni na to, że nie, bo muszą wracać do pracy. Zresztą jeden dzień już straciliśmy przez opóźnienia samolotów. Koło godz. 2, jak zobaczyli, że startują grupy komercyjne z przewodnikami, to pobiegli za nimi. Przed wyjściem nakazałem, żeby absolutnie się nie oddalali od tych grup. Obiecali, że będą się ich trzymać, i poszli. Deszcz

5500 m. Powiadomiłem telefonicznie służby ratunkowe. Kurczę blade – mówię sobie – ja wcześniej myślałem, że już jestem stary i takie historie należą do przeszłości, bo przecież wiele razy gdzieś wokół mnie ginęli w górach przyjaciele, koledzy... A tu nagle, Boże Świąty, znów wypadek! Ta noc była ciężka. Rano przyleciał helikopter, a młodzi chłopcy z Kisłowodzka już o świcie pobiegli w górę ich szukać.

Przygoda zaczyna się tam, gdzie kończy się asfalt, tam, gdzie nie dojeżdża technika.

Godzinę później widzę z bazy, że gdzieś tam wysoko wylaniają się Romek i Kranc, schodzący z ratownikami, którzy wsparli ich gorącą herbatą. Uff. Usiadłem, wreszcie odpoczynek. Opisując tę historię, przypomniałem sobie to uczucie, że tu ktoś śpi obok ciebie, je, pije, rozmawia, a nagle go nie ma. Wychodzi w górę i nie wraca. Wtedy wszystko dobrze się skończyło. Romek tylko odmroził sobie palce, a Jacek przymroził tyłek, jak siedzieli przez noc przy minus 20 st. C w jamce, którą sobie na szczycie wykopali.

A ty sprawdziłeś w górach granice swoich możliwości?

– Tak. W 1973 r. wróciłem z Ameryki. Pracowałem trochę na politechnice w Lozannie, ale miałem sporo wolnego czasu. Pamiętałem, jak Janusz Kurczab rzucił kiedyś, że chętnie poszedłby solo na grań Brenvy. Dobry

pojęcie. Odtąd myślałem sobie: Człowieku, bądź ty ostrożny. Ale jeśli spojrzeć na to z drugiej strony, pokazałem sam sobie, że potrafię. Że jestem ostrym alpinistą (śmiech).

Kiedy w górach czujesz się najlepiej?

– Gdy miałem 75 lat, przeszedłem grań Widel. To było ostatnie marzenie, które chciałem zrealizować w Tatrach. Dziś wchodzę najwyżej na Gęsią Szyję. Czasem sobie jeszcze na nartach pokręcę, bo przy dobrym słońcu ciągle nieźle

widzę jednym okiem. Kupiłem nowe biegówki z łuską, chodzę po Gubałówce, Antałówce, Bachledzkim Wierchu. Jak mówi Marian Czaicki, stary przewodnik tatrzański, trzeba pokornieć. I ja spokojnie pokornieję, ale mam satysfakcję z tego, co robiłem, jak byłem młody. (...)

A dziś boisz się śmierci?

– Bać się śmierci? A po co?! Ja mam chłoniaka. Odkryto go u mnie w 2012 r. po powrocie z wyprawy na Mount Cook w Nowej Zelandii. Zaczęłem słabiej widzieć na jedno oko. Jesienią po badaniach okazało się, że w oczodole mam nowotwór. Po całym roku zabawy chemią, minioperacji i miejscowym napromieniowaniu wyszedłem z tego. Czułem się dobrze, jeszcze się wspinałem, jeździłem na nartach. Ale po sześciu latach chłoniak się odrodził. Wylądowałem znów u prof. Wojciecha Jurczaka, który zapytał, jak długo chciałbym żyć. A ja na to, że 80 lat, bo tyle lat żyli i Platon, i Budda.

Po co więcej? Doktor Jurczak, który sam też chodzi po górach, zaśmiał się. Jeszcze nie miał takiego pacjenta. W czerwcu skończyłem 79 lat, więc do osiemdziesiątki mam mniej więcej 10 miesięcy i muszę kombinować, żeby jakoś to wyrobić. I to mnie teraz interesuje. A co będzie później? Eee tam.

Nie miałem jeszcze czterdziestki, a połowa znajomych zginęła w górach.

nad ranem przeszedł i gdy koło godz. 7 rano podszedłem gdzieś na 4300 m, szczyt całkowicie tonął w chmurze, ale myślałem, że jak tam wyżej jest z pięć komercyjnych grup, to Romko wi i Krancowi nic się nie może stać. Około godz. 19 widzę z daleka, że wraca dwójka. Jeden zmęczony, stania się na nogach, wywraca. Jak podeszli bliżej, okazało się, że to 70-letni Japończyk z przewodnikiem. Zapytałem, czy widzieli dwóch Polaków. Odpowiedzieli, że tak, ale ta dwójka została. Inni, którzy wracali do bazy, twierdzili, że mimo braku widoczności Kuźniar i Kranc postanowili wejść na szczyt, podczas gdy inni rezygnowali. Jak minęła godz. 20 i zapadł zmrok, to wiedziałem, że zostali powyżej

pomysł! – pomyślałem. Kupiłem sobie nowe raki, miałem śruby lodowe, tzw. korkociągi. Nie znaliśmy wtedy śrub tytanowych. Czy miałem młotek lodowy? Zdecydowałem, że nie potrzebuję, bo mam korkociągi, a tam jest sam lód, więc nie muszę nic wbijać. Poszedłem z normalnym czekaniem. W nocy wystartowałem, minąłem parę zespołów. Patrząc, w lodzie są dziurki, dziurki, dziurki. Myślę sobie: Jest dobrze. Potem, w górze, okazało się, że przede mną jest kilkanaście metrów szczerego, stromego lodu. A ja jestem ze zwykłym czekaniem i rakami... Ale przeszedłem, Boże Świąty! Później widziałem, jak prawidłowo robi się drogi solo, ale wtedy, na Brenvy, nie miałem o tym

Rozmowa ukazała się w kwartalniku „Tatry”, nr 76, Wiosna 2021, wyd. Tatrzański Park Narodowy



Zarobić na polskim wzornictwie

Największe perełki z lat PRL ciągle można znaleźć po prostu na śmietnikach



Na fali popularności wzornictwa z PRL powstawały liczne wystawy pokazujące oryginalne wyposażenie.

Wnętrze w 1957 r., w czasie której jedna z makiet prezentujących przegląd dostępnych w sklepach mebli skrytykowana została za promowanie burżuazyjnych trendów, w których każdy mebel i pomieszczenie pełni jedną określoną funkcję. A przecież kiedy salon, jadalnia i sypialnia stały się jednym pomieszczeniem, trudno było pozwolić sobie na osobne sofę i łóżko.

Osobą świadomą zmieniających się trendów była Wanda Telakowska, matka polskiego powojennego designu i dyrektor artystyczna założonego w 1950 r. Instytutu Wzornictwa Przemysłowego. Postulowała

Katarzyna Niedurny

Ceny polskiego wzornictwa przemysłowego z okresu PRL ciągle rosną. Wśród rekordów aukcji designu DESA Unicum można znaleźć fotel projektu Marii Chomentowskiej z 1957 r. wylicytowany za 42 tys. zł oraz fotel Romana Modzelewskiego z 1970 r. sprzedany za 80 tys. zł. Ten ostatni, czyli model RM58, szczególnie przypadł do gustu Amerykanom. Projekt z tamtych czasów zadebiutował w nowojorskim MoMA Design Store w 2019 r., stając się tam bestsellerem. – A jeszcze kilka lat temu niektórzy śmiali się, że zbieranie designu z PRL jest jak kolekcjonowanie butelek po mleku – mówi Katarzyna Jasiołek, autorka książki „Asteroid i półkotapczan. O polskim wzornictwie powojennym”.

– Od kilkunastu lat obserwujemy fale zainteresowania różnymi kategoriami polskiej powojennej sztuki użytkowej, m.in. porcelaną, meblami, tkaniną. Pierwsze prywatne kolekcje zaczęły powstawać w latach 90. Były to wówczas pojedyncze w skali kraju zbiory, tworzone dość intuicyjnie, bez

szerszego rozpoznania tematu. Dziś ich status jest zupełnie inny – mówi Cezary Lisowski, historyk designu i koordynator projektów aukcyjnych w DESA Unicum. PRL-owskie projekty zaczęły się pojawiać na wystawach, we wnętrzach modnych klubów, powstały specjalizujące się w ich renowacji dochodowe firmy. Zwiększyła się również świadomość tego, że fotel stojący całe życie w salonie babci ma swoją historię, ma projektanta. Jednak mimo trwającej od kilku lat popularności ciągle prawdziwe perełki z tamtych lat można znaleźć po prostu na śmietnikach.

Piękno dla wszystkich

W czasie wojny nietrudno stracić szkło i porcelanę. Meble często zostawały w opuszczonych domach. Jednak duże szafy, skrzynie i kredensy nie nadawały się do nowych metraży. Zmiana stylu życia i ustroju oznaczała zmianę sprzętów codziennego użytku. Atutem stała się lekkość i funkcjonalność oznaczająca wielozadaniowość mebli. Ta kwestia została podniesiona podczas II Ogólnopolskiej Wystawy Architektury



Komoda z zestawu Jajo, lata 70., projekt Izabelli Szerskiej-Sternińskiej, Spółdzielnia Artystów Plastyków ŁAD.

ona zniesienie podziału między sztuką czystą i użytkową, proponując pracę przy projektowaniu codziennych przedmiotów artystom plastykom i promując hasło „Piękno dla wszystkich na co dzień”. Podstawowym zadaniem instytutu było podniesienie poziomu estetyki obecnych na rynku produktów, opracowywanie wytycznych dla gospodarki, a także prowadzenie komisji zatwierdzających do produkcji przedmioty

z ceramiki i szkła (meblami zajmowało się Zjednoczenie Przemysłu Meblarskiego). Ideałem miał być plastik w każdym zakładzie pracy, doglądający procesu produkcji.

Między innymi dzięki pracy Telakowskiej, a także otwarciu się rynków po odwilży, lata 1956-1968 stały się czasem największego rozwoju i rozkwitu polskiego designu. To wtedy powstawały najśłynniejsze projekty charakteryzujące się abstrakcyjną kompozycją, żywą kolorystyką i oryginalnym kształtem.

Problemy z zaopatrzeniem

Pytanie, które samo ciśnie się na usta, brzmi: dlaczego, skoro było tak dobrze, w sklepach było tak źle? Lata PRL nie kojarzą się bowiem z nadmiarem eleganckich mebli dostępnych dla każdego. Pierwszym problemem był, jak zwykle w podobnych przypadkach, rozłam między koncepcją artystyczną a oczekiwaniami wobec gospodarki. Fabryki, które i tak nie nadążały z wygórowanymi normami produkcyjnymi, upraszczały dostarczane im przez projektantów wzory.

wtedy figurki produkowane przez Instytut Wzornictwa Przemysłowego, czyli jedna z najpiękniejszych rzeczy wykonanych i zaprojektowanych w PRL. Ludzie za granicą byli zachwyceni ich nowatorskimi formami do tego stopnia, że Amerykanie zaczęli

Polski design może być świetną inwestycją z wysoką stopą zwrotu w krótkim czasie.

je podrabiać – opowiada Katarzyna Jasiołek. Jednak, jak zaznacza, ich sukces nie był pełen: – Ubóstwo surowcowe i maszynowe sprawiało, że te wybitne projekty wykonywane były z masy porcelanowej złej jakości. Wszyscy pytali, dlaczego one są tak strasznie wykonane. Wtedy ludzie na stoiskach targowych odpowiadali, że to tylko prototypy. Nie mogli przecież powiedzieć, że u nas do tego stopnia oszczędza się na materiałach.

Produkty takie jak wspomniane figurki w polskich sklepach rzadko można było upolować. Popularniejszymi projektami, które często pojawiały się w domach, były fotele nr 366 Chierowskiego czy

polskich przedmiotów użytkowych XX w. To wydarzenie stworzyło i utrwaliło kanon polskiego designu. Dekadę później w Muzeum Narodowym w Warszawie odbyła się wystawa „Chcemy być nowocześni”, pokazująca fantastyczne porcelanowe figurki, ceramikę użytkową, barwne tkaniny i plakaty z lat 50. i 60. XX w. Jej sukces wpłynął na zwiększenie popularności polskiego wzornictwa, a prezentowane na niej obiekty stały się przedmiotem poszukiwań. Design stał się nową kategorią na rynku sztuki – mówi Cezary Lisowski.

Na zmianę myślenia o polskich projektach wpłynęła również zmiana pokoleniowa. Dla zainteresowanych



Fotel zaprojektowany przez Romana Modzelewskiego, ok. 1970 r.



Serwis do kawy Kaka-du, lata 60., projekt Ady Chmiel, Wytwórnia Wyrobów Ceramicznych „Steatyt” w Katowicach.

Na rynku nie było odpowiednich materiałów, brakowało fachowców i surowców. Przede wszystkim jednak najlepsze polskie projekty z założenia nie miały trafiać na rodzimy rynek.

Polski design był produktem dewizowym, eksportowanym za granicę. Szczególnie dobrze przyjętą się w Skandynawii (polskie produkty można było kupić nawet w popularnej sieci IKEA na długo przed wejściem szwedzkiego sklepu na nasz rynek). Pokazywany był również na zagranicznych wystawach, gdzie święcił triumfy. – Absolutnym hitem były

meblościanki Kowalskich, dopuszczone do produkcji jako wyróżnione w konkursie „Meble do małego mieszkania”. Ich nazwa nie tylko pochodzi od nazwiska projektantów Bogusławy i Czesława Kowalskich, ale miała również symbolizować, że na ten mebel znajdzie się miejsce w każdym polskim domu.

Powrót PRL

– Szerszą popularność polski design zaczął zyskiwać po 2000 r. Wiązało się to z ważnymi publikacjami

ówczesne meble są obiektem sentymentu, ale nie kojarzą się już tak silnie z pustymi sklepami i koniecznością kupowania tego, co akurat dowieźli. Wręcz przeciwnie – meble z historią stają się sposobem na odróżnienie od kolekcji sprzedawanych w sieciówkach. Największym komfortem współczesności jest możliwość wyboru. Miksowania tego, co stare i nowe. Z katalogu dawnej mody możemy wybierać, co nam się podoba i z czym chcemy to połączyć. Katarzyna Jasiołek zaznacza, że raczej obiektem kultu nie są obecnie

► meblościanki czy łóżka. Zmieniły się nasze przyzwyczajenia konsumencie – mamy więcej rzeczy, które trudno zmieścić w małych szafach, a jako że obecnie ludzie statystycznie są więksi niż jeszcze w latach 50., trudniej im się zmieścić na już wtedy niewygodnych wersalkach. Dlatego też zmienia się funkcja mebli z tamtych czasów. – Obecnie niektóre są czymś w rodzaju rzeźby kameralnej, szczególnie te niewygodne. Nie wszystkie fotele i krzesła, które mam, służą mi do siedzenia, tak samo jak rzadko używam ceramiki czy szkła z tamtych czasów. Miło mi się na nie patrzy, historia tych przedmiotów ma dla mnie wartość, można uznać, że niektóre zakończyły już służbę. Znam mieszkania kolekcjonerów, gdzie roi się od popielniczek, a papierosy i tak gasi się w słoiku, są dziesiątki wazonów, a gdy na horyzoncie pojawi się bukiet kwiatów, nie jest oczywiste, że trafi do któregoś z nich.

waste. Po co kupować coś nowego, skoro na rynku są już gotowe używane produkty. I dodaje do tego mniej oczywiste skojarzenia, jak choćby japońską zasadę *wabi sabi*, czyli docenianie piękna rzeczy zużytych,

Wybrane obiekty w ciągu ostatniej dekady zyskały na wartości nawet kilkaset procent.

noszących na sobie ślady użytkowania i swojej historii.

Dochodowa inwestycja

Skupowanie PRL-owskich produktów jest również inwestycją. Ceny cały czas idą w górę. – Pierwsi kolekcjonerzy z rozżaleniem wspominają czasy, kiedy na warszawskim Kole kupować mogli porcelanowe figurki projektowane w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego lub dekoracyjne patery z Ćmielowa czy Chodzieży za

10 tys. zł. Figurki z IWP w zależności od częstotliwości pojawiania się na rynku mogą kosztować od 300 do 30 tys. zł! Podobnie jest z innymi kategoriami przedmiotów, szkłem, tkaniną, meblami. Wybrane obiekty

w ciągu ostatniej dekady zyskały na wartości nawet kilkaset procent. Jeszcze kilka lat temu nikt by nie przypuszczał, że za fotel (mam na myśli mebel projektu Romana Modzelewskiego z 1958 r.) nabywca będzie w stanie zapłacić ok. 100 tys. zł, a taką cenę osiągnął on na aukcji w 2018 r. Myślę, że gdyby dzisiaj pojawił się na rynku drugi egzemplarz, wynik ten mógłby zostać przeбит. Obiekty polskiego designu mogą być świetną inwestycją z wysoką stopą zwrotu w krótkim czasie, należy jednak najpierw dobrze rozpoznać rynek, by wybrać odpowiednie przedmioty – zachęca.

Początkującym kolekcjonerom znawca poleca rozpoczęcie tworzenia prywatnych kolekcji nie z pytaniem, co mi się opłaca, lecz z prostszym, co mi się podoba. – Dobrze jest zacząć od czegoś, co pamiętamy z dzieciństwa, młodości, do czego mamy sentyment. Pierwszy obiekt w kolekcji nie musi być kupiony, może przywieźmy go z rodzinnego domu i wokół niego zaczniemy budować. Pamiętajmy, że kolekcja to historia, którą opowiadają składające się na nią obiekty. Gdy kupimy jeden przedmiot, dobieramy do niego kolejny, a klucz może być dowolny. Stawiając te przedmioty obok siebie, obserwujemy, jaka tworzy się między nimi relacja – tłumaczy.

Katarzyna Jasiołek ostrzega zaś, że najłatwiej wkręcić się w kolekcjonowanie szkła, które przyciągnęło dużo osób w czasie pandemii. Radzi jednak, żeby nie kupować od razu, tylko rozejrzeć się w grupach specjalistycznych w mediach społecznościowych, przejrzeć ostatnie licytacje, a także przyrzeć się temu, co leży w okolicznych śmietnikach. To stamtąd można wyciągnąć największe skarby. I to bez kosztów inwestycyjnych.

Skupowanie starych mebli i sprzętów łączy się z innymi trendami, takimi jak recykling i myślenie zero waste.

Po prostu kolekcja nie ma funkcji użytkowej – mówi.

Autorka pokazuje również, jak skupowanie starych mebli i sprzętów łączy się z innymi modnymi obecnie trendami. Jednym z nich jest popularność recyklingu i myślenia zero

kilkanaście, a te ciekawsze za kilkadziesiąt złotych. Takie ceny utrzymywały się długo – wspomina Cezary Lisowski. – Dziś średnia cena takiej patery z produkcji seryjnej oscyluje w granicach 1-1,5 tys. zł, patery autorskie, unikatowe osiągają nawet





WWW.BADZBEZPIECZNY.PCK.PL

RAZEM W WALCE Z KORONAWIRUSEM!

POMÓŻ NAM POMAGAĆ, WPŁAĆ NA KONTO PCK

16 1160 2202 0000 0002 7718 3060

Z DOPISKIEM KORONAWIRUS

Katarzyna Niedurny

KURTYNA W GORĘ

CWANIARY

Pełna energii ballada totrzykowska według powieści Sylwii Chutnik, inkrustowana arcywarszawskimi piosenkami w znakomitym wykonaniu, opracowana muzycznie przez Jana Emila Młynarskiego. Celina (Irena Melcer), Halina (Małgorzata Biela), Bronka (Weronika Nockowska) i Stefa (Anna Smołowik) wymierzają sprawiedliwość damskim bokserom i cynicznemu czyścicielowi kamienic. Wiele tu sytuacji i opowieści zakotwiczonych w celnych obserwacjach, chwytających życie na gorącym uczynku, jak choćby monolog Anny Smołowik o znerwicowanych kobietach palących ukradkiem papierosy na balkonach.



Chutnik sprzeciwia się nikczemności, dominacji pieniądza i przemocy w życiu jej ukochanego miasta, stąd to rozpisane na głosy nierealistyczne, ale jakże kuszące marzenie o kobiecym gangu mścicielek, które nie pozwalają na rządy bezprawia. Mocny feministyczny spektakl biorący w obronę krzywdzone kobiety, a przy tym perfekcyjnie przygotowany pod ręką Agnieszki Glińskiej. Nie brakuje w nim także poczucia humoru i estradowej lekkości,

m.in. za sprawą występującego w kilkunastu wcieleniach Michała Meyera. Szczególnego smaku spektaklowi dodaje Elżbieta Kępińska, która tworzy wzruszającą kreację Babci powstanki, idącej na pomoc wnuczce walczącej z pleniącym się złem. Spektakl łączy opowieść kryminalną i muzyczną ucztę dla miłośników apaszkowskich ballad z tematem ostrym jak brzytwa.

Sylvia Chutnik, „Cwaniary”, reżyseria Agnieszka Glińska, Teatr Polonia, premiera 4 czerwca 2021

MIĘDZY OKŁADKAMI

Łukasz Barys KOŚCI, KTÓRE NOSISZ W KIESZENI

Cyranka, Warszawa 2021

Wydawnictwo Cyranka ma nosa do ciekawych, nieoczywistych autorów i autorek z nurtu tzw. młodej polskiej prozy. Po „Koniec świata, umyj okna” Agnieszki Jelonek i „Cukrach” Doroty Kotas otrzymujemy debiutancką mikropowieść Łukasza Barysa. Podobnie jak u Kotas mamy tu życie przeciętnej rodziny z elementami patologii w prowincjonalnym mieście, opowiedziane z perspektywy nastoletniej bohaterki. Tutaj także twardy realizm nadgodzin w Biedronce i małych miłości na tapczanie miesza się z surrealizmem, śmiercią i mroczną baśniowością dojrzewania. Barys jednak nie odjeżdża, odpowiednio dawkuje absurd i groteskę, dzięki czemu cała opowieść płynie, bawi i zaskakuje. „Kości, które nosisz w kieszeni” mogą się kojarzyć ze świetnie przyjętą powieścią „Niepokój przychodzi o zmierzchu”, lecz tu z krówek zostały tylko kości, a wiejski krajobraz Niderlandów zastąpiony jest pabianickim nie-miejscem. Solidna, zgrabnie napisana książka, bez fajerwerków, ale też bez rozczarowań.

Rafał Piłkuła



Niklas Natt och Dag

1793

1794

tłum. Wojciech Łygaś

Sonia Draga, Katowice 2021

Scenarij dwóch tomów trylogii Bellman noir (pierwszy dostępny już, drugi łąda dzień) jest Sztokholm końca XVIII w. W wywiadzie dla „Publishers Weekly” autor mówi o zauroczeniu ówczesnym kompozytorem i poetą Carlem Michaellem Bellmanem, opisującym życie sztokholmskiej biedoty, często z ironią, ale i humorem, czasem z przebłytkami piękna. Te ostatnie przełamują też niekiedy makabrę opisu powieściowego miasta – kloaki w przenośni i dosłownie. Sadyzm jest cechą nie tylko morderców tropionych przez dość niezwykle duet śledczy – inwalidę wojennego, rozwiązującego problemy metodą bitki i wypitki, oraz suchotnika, zwolennika rozumowi i sprawiedliwości, zastąpionego w „1794” przez młodszego brata, także udręczonego psychicznie i fizycznie. Wydaje się, że tu każdy, kto ma odrobinę przewagi nad innymi, o władzy nie mówiąc, czerpie satysfakcję z okrucieństwa. Wyróżnia się na tym tle Anna Stina, dziewczyna skazana autentycznie za niewinność, i to jej losy chce się poznawać.

Aleksandra Pańko



Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Para u psychoterapeuty

Pod klótniami o błahostki kryje się cała masa
niezaspokojonych potrzeb

Rozmawia Marta Szarejko

Kto częściej inicjuje terapię par? Kobiety czy mężczyźni?

– Zanim zaczęłam pracować z parami, myślałam, że kobiety, bo zazwyczaj są bardziej świadome emocjonalnie i na bieżąco analizują, co się w związku dzieje. Ale, o dziwo, tak nie jest, idą też w łeb z mężczyznami. Na początku pary zwykle mówią, że to wspólna decyzja. Kiedy jednak zaczynam to badać, szybko okazuje się, że co prawda rozmawiali o tym od dawna, ale jedna strona oponowała. Dopiero postawienie sprawy na ostrzu noża...

Ultimatum.

– „Skladam pozew o rozwód albo idziemy coś ze sobą zrobić” – mówi jedno, a drugie jest pod ścianą, więc zgadza się na terapię. Kobiety częściej inicjują terapię w wypadku dysfunkcji seksualnej – to bywa odczuwane jako wspólny problem,

EWA BŁASZCZUK-MALIK

– psycholożka, psychoterapeutka, seksuolożka. Zajmuje się terapią par. Prowadzi Gabinet Psychoterapii i Seksuologii w Chrzanowie, w Krakowie pracuje w Centrum Terapii Synteza.

wsparcia, a druga je daje, ma głębszą podstawę – obie wypierają potrzeby, które nie były zaspokajane w dzieciństwie. (...) I nagle dzieje się coś, co sprawia, że jedna z tych osób kontaktuje się z wypartymi potrzebami. Równowaga, którą stworzyli, zaczyna się chwiać. (...)

Zdarza się, że dominującą stroną jest kobieta?

– Ostatnio przyszła do mnie taka para, po pięćdziesiątce. Ona silna, lepiej wykształcona. Problemem dla niej było to, że lepiej zarabiała. Doszła do takiego momentu, że nie potrafiła określić, w którą stronę chce iść – być z nim czy odejść? W ogóle nie pamiętała niczego dobrego, nawet z początku ich związku. On przyjął postawę bierno-agresywną.

To nawet optymistyczne, że bliscy namawiają na terapię, bo to znaczy, że wizyta u psychologa nie jest już tabu.

– Pracuję w dwóch miejscach: w Krakowie i Chrzanowie. W tym pierwszym spodziewałam się ludzi, którzy mają świadomość, bo to duże miasto. Ale w Chrzanowie również jest ogrom par, które się zgłaszają.

Naprawdę?

– Tak! Przyjeżdżają też z okolicznych miast.

I jakie mają problemy?

– Takie jak wszędzie, jakościowo to się właściwie nie różni. Dochodzą do ścian, nie wiedzą już, co ze sobą zrobić. Kłóć się potwornie. Na pierwszych konsultacjach pozwalałam im drzeć koty dość mocno, zażarcie, bo to mi daje obraz tego, co oni robią w domu. Ale szybko to muszę ucinać, bo zwykle te awantury podszy-

te są próbą deprecjonowania drugiej strony, upokorzenia jej.

O co się kłóć?

– Najczęściej o głupoty – patrząc z szerszej perspektywy, bo dla nich to są ważne sprawy. Kto ma opróżnić zmywarkę, kto ma jechać do mechanika z autem, gdzie wybudować dom i czy w ogóle to robić? – jedna osoba tego chce, a druga nie bardzo, bo widzi, że finansowo teraz nie stoją dobrze. Bieżące sprawy rodzinne, na pierwszy rzut oka banalne i błahe. Ale najbardziej fascynujące jest właśnie to, że pod klótniami o błahostki kryje się cała masa niezaspokojonych potrzeb. Ktoś mówi: „Dlaczego odstawiasz szklanki tam, gdzie powinny być kubki? Ile razy muszę o tym mówić?”. A robi to dlatego, że czuje się nieważny, niezauważony, niedoceniony

Po ślubie często wychodzą rzeczy, które wcześniej nie były dogadane.

ale zwykle jedna strona jest wytypowana przez drugą do roli pacjenta. Mężczyźni bardziej się wstydzą dysfunkcji, więc w czasie konsultacji dyskutujemy z takim podejściem, że jedną stronę trzeba leczyć, a druga tylko towarzyszy. Bo to jest sprawa obojga. Natomiast trudno powiedzieć, kto dominuje w inicjowaniu terapii w wypadku poważnych zaburzeń, koluzji w związku.

Czyli?

– Nieświadomej gry partnerów. Niektórzy dobierają się poprzez swoje deficyty. Upraszczając, wygląda to tak, że jedna osoba potrzebuje opieki i troski, a druga wprost przeciwnie – jest niezależna i daje wsparcie. Dzięki temu spotykają się w jakimś punkcie i mogą stworzyć związek. Ale on działa tylko do określonego momentu. Bo to, że jedna strona wymaga

Nie robił tego, o co ona go prosiła. Przez kilka lat nie mógł zrobić podjazdu przed domem, w sezonie nie zebrał pomidorów. I tak przez 20 lat. Pary w tej kwestii dzielą się na dwie grupy: jedna widzi konflikt i przychodzi szybko – wciąż jest między nimi żywo, chcą ratować związek. Druga przychodzi późno, po kilkunastu albo kilkudziesięciu latach. Pytam zawsze, dlaczego teraz.

I co mówią?

– Zwykle próbują odhaczyć ostatnią rzecz, którą muszą zrobić, żeby bez wyrzutów sumienia się rozstać. Albo uznają terapię za ostatnią deskę ratunku. Dobrze, jeśli to ich motywacja, gorzej, jeśli ciśnie ich cała rodzina, bo nie chce, żeby się rozstawali. Wtedy praca polega na tym, żeby najpierw sprawdzić, czy chcą być razem, czy nie.



i nieszanowany. Albo zupełnie nieatrakcyjny dla partnera.

Krzyczę na niego, że znowu po sobie nie pozmywał, a tak naprawdę czuję, że mnie nie pożąda?

– Niewykluczone. Bo nie chodzi przecież o to, że ktoś nie pozmywał, tylko, że nie bierze pod uwagę naszych próśb, potrzeb, oczekiwań. Mówienie o parach jest skomplikowane, bo tam się naprawdę dużo dzieje. I takie niezmywanie albo rozwieszanie tylko swojego prania może być wyrazem wielu rzeczy. Niewyrażonej wprost złości, rozczarowania, pretensji. Zamiast powiedzieć: „Chciałabym częściej uprawiać seks” albo: „Chcę dziś wieczorem wyjść, zajmij się dzieckiem” – następuje trzaskanie garami, narzekanie na te szklanki i inne cuda. Ktoś, kto nie jest w stanie tego powiedzieć wprost, stwarza sytuacje, w których pokrętnie może wyrazić złość. (...)

Naprawdę trzeba terapii takiej parze, w której jedno nie odstawia szklanki tam, gdzie trzeba?

– Terapii trzeba wtedy, kiedy te szklanki są wierzchołkiem góry lodowej i doprowadziły do poważnego kryzysu. Bo skoro w tak błahej sprawie nie umiemy się już dogadać, to może potrzebujemy trzeciej osoby, żeby spojrzęła przytomnie i rzuciła na nasz związek jakieś nowe światło? Zdarza się, że para naprawdę ma kłopot, tylko nie ten, który jest

deklarowany. Mówią o tej zmywarce, a są w prawdziwym kryzysie. Pojawiło się w ich życiu dziecko. Albo wzięli ślub.

Jak to?

– Tak to! Nagle przestaje im się układać.

Od razu po ślubie?

– Po ślubie często wychodzą rzeczy, które wcześniej nie były dogadane. Wokół zaręczyn działo się coś, co nie do końca było zgodne z ich

Podczas pierwszej konsultacji para się kłóci, a potem się okazuje, że chodzi o bardzo jasny przekaz od rodziców albo dziadków.

potrzebami – ślub był wynikiem nacisku rodziny, a nie ich marzeniem. Albo tylko jedna osoba tego potrzebowała, wymusiła go na drugiej, po czym ta druga czuje się zmanipulowana. I w niej to siedzi.

Więc nie odkłada naczyn do zmywarki.

– Robi to odwetowo i nawet o tym nie wie! A żal wciąż w niej jest.

Szczęśliwe wydarzenia mogą być powodem kryzysu. Podobno po urlopach ludzie często się rozstają.

– Bo widzą siebie w zupełnie innym świetle – na co dzień świetnie razem funkcjonują, jest wokół nich mnóstwo ludzi, a kiedy zostają sami, nie mają o czym rozmawiać. Są parą czysto towarzyską i ekspresyjną,

ale kiedy koncentrują się na sobie, wszystko się rozjeżdża. (...)

To po co ze sobą są, że tak prostacko zapytam?

– Z różnych powodów! Ona może mieć wszystko: pracę, mieszkanie, psa i do pełni brakuje jej tylko przystojnego partnera. Akurat on pasuje do tej idealnej wizji życia. Ale jakoś tak się składa, że jak z nim zostaje sama, to rozmowa się nie klei. Nie ma tam żadnej czułości, zainteresowania. Może być też tak, że para, która jest ze sobą od niedawna, nie zdążyła jeszcze tej bliskości stworzyć, albo jest ze sobą bardzo długo, ale od lat skupia się wyłącznie na wychowywaniu dzieci. Bo taki brak intymności jest charakterystyczny dla par z syndromem opuszczonego gniazda. Dzieci zaczynają studia, wyprowadzają się z domu, a oni przez ostatnie lata oddalili się od siebie. I nawet jeśli jest jeszcze seks, to nie ma już bliskości. (...)

Jakie są jeszcze momenty, w których pary decydują się na terapię?

– Niezbyt łatwy jest czas dorastania dzieci. Zaczynają się indywidualizować, odsuwać od rodziców. To może być trudne z różnych przyczyn i paradoksalnie może wpływać na seks. (...) Obserwowanie dojrzewających dzieci wpływa na poczucie własnej kobiecości albo męskości. Zdrowa kobieta cieszy się, kiedy jej córka dojrzewa, wie, że może ją nauczyć wielu rzeczy,

pokazać, że kobiecość jest wspaniałą. Ale jeśli nie czuje się dobrze sama ze sobą albo jest w silnym konflikcie z partnerem i on adoruje córkę, będzie to dla niej nie do zniesienia. (...)

Co jeszcze?

– Zdrady. Ostatnio częściej zdradza ją kobiety, przynajmniej wśród moich par. Zdarza się, że mężczyzna przychodzi na indywidualną konsultację, oczekuje wsparcia, wzmocnienia po rozstaniu, już nie chce do partnerki po zdradzie wracać. A czasem przychodzą we dwoje, próbują sobie z tym poradzić. Przegadali sprawę i stwierdzili, że chociaż jest trudno, chcą budować coś razem. Często pary rzucają się w wir zarabiania, spłacania kredytów i zapominają o zwykłej rozmowie. Jeśli to trwa krótko i partnerzy umawiają

► się, że w konkretnym czasie się zmo-
bilizują, a potem będzie normalnie, to
pół biedy. Gorzej, jeśli to trwa całymi
latami. Bo wtedy następuje oddale-
nie, któremu trudno później zaradzić.
A czasem problemy w związku to za-
skakujące sprawy wynikające z prze-
kazów międzypokoleniowych: zdarza
się, że analizuję genogram kobiety,
która nie może wejść w związek. (...) Sprawd-
zam to i okazuje się, że dziew-
czyna ma bardzo silną lojalność wo-
bec kobiet w swojej rodzinie. Zaczyna
się od prababci, która straciła męża na
wojnie i potem wychowywała dzieci
sama, z nikim się nie związała. Babka
szybko została wdową, a matka się
rozwiódła. I ta dziewczyna się z nimi
solidaryzuje.

Kobiety mają zakodowane, żeby dbać o partnera i dzieci bardziej niż o siebie.

Jak to się przejawia?

– Tak, że ona sabotuje wszystkie
swoje związki, oczywiście nieświadomie.
Ale jakoś tak nimi kieruje,
żeby nie wyszły. Prowokuje partne-
ra do zachowań, które ją odrzucą,
albo sama zachowuje się tak, żeby
on ją zostawił. Robi sceny zazdrości,
ewentualnie sama zdradza. Jest nie-
znośna w codziennym życiu. Albo
wybiera takich facetów, z którymi po-
 prostu nie może jej się udać. Patrząc
na wszystkich przez okulary założo-
ne przez poprzednie pokolenia, zro-
bi wszystko, żeby zrujnować swoje
związki. To głęboki, nieświadomy
proces, który trudno zmienić. (...)

**Jedna z seksuolożek opowiadała
mi, że kiedy robi genogramy par,
zauważa, że konflikty wynikają nie
tylko z radykalnych różnic w po-
chodzeniu, np. z innych krajów czy
kultur. Wystarczy, że rodzice osób,
które do niej przychodzą, byli wy-
chowywani w innych zaborach.**

– Zgadza się. Temat pochodze-
nia w terapii par pojawia się prawie
zawsze. Czasem podczas pierwszej
konsultacji nie bardzo rozumiem,
o co para się kłóci, a potem nagle się
okazuje, że o bardzo jasny przekaz od
rodziców albo dziadków. Oni zupełnie
nie zdają sobie z tego sprawy. Nagle
zaczynają się temu przyglądać i wi-
dzą, kto przez nich mówi w konkretnych
sytuacjach. Genogram świetnie
działa, kiedy partnerzy wkładają coś
sobie w usta. Kobieta mówi: „On

uważa, że jestem beznadziejna, głupia
i nic ze mną nie można zrobić”.
Sprawdzamy, czyje to słowa, i oka-
zuje się, że tak mówił jej ojciec do
matki. Ona chciałaby być jak ojciec
– inteligentna, czytana, elokwentna,
ale emocjonalnie identyfikuje się z tą
słabą mamą. (...) Mamy genogramy
klasyczne i seksualne, w których ba-
damey przekazy o płci, seksualności,
o tym, co wolno kobiecie, a czego
nie. Tak samo z mężczyznami.

I jakie przekazy pojawiają się naj- częściej?

– Kobiety mają zakodowane, żeby
dbać o partnera i dzieci bardziej niż
o siebie. Jedna powiedziała mi ostat-
nio, że nie chodzi do ginekologa, bo
to przecież nie dentysta, nie jest niko-
mu potrzebny. I ona nie ma
na to czasu. Myślę, że nie
mogą mieć konkretnego
wyobrażenia na temat sek-
su. Nie mogą niczego kre-
atywnego do sypialni wносить, bo to
raczej rola mężczyzny. Nie mogą też
czuć pożądania. I czerpać przyjem-
ności zmysłowej. Mówią, że stosu-
nek jest czymś brudnym. Nie wspo-
minając już o poznawaniu własnego
ciała, bo która mama albo babcia po-
wiedziałyby, że cieszy się swobodną,
nieskrępowaną masturbacją?

A mężczyźni?

– „Co ja się będę baby pytał, bę-
dę robił swoje”, powiedział mi jeden
mężczyzna, 35 lat, który pomyślał, że
czas na drugie dziecko i postanowił
nie konsultować tego z partnerką.

Zaskakująco wiele kobiet, także tych wykształconych, nie zna swoich granic.

Pojęcia nie miał, że przemawia przez
niego dziadek, ojciec i teść razem
wzięci. I że to, co robi, doprowadzi
co prawda do narodzin drugiego
dziecka, ale też do głębokiego kryzy-
su w jego związku. I bardzo długiej
separacji. Taki przekaz, że mężczyzna
ma być dominujący, a kobieta nadaje
się tylko do tego, żeby być przy gar-
niskach i nie zabierać głosu, wcale nie
jest domeną osób dojrzałych. Z takim
poglądem przychodzi do mnie pary
przed trzydziestką. (...)

Czego dziś dziewczyny szczególnie nie znoszą w swoich partnerach? Co jest dla nich nie do przejścia?

– Mam poczucie, że kobiety na
bardzo dużo swoim partnerom

pozwalają. Zaskakująco wiele z nich,
także tych wykształconych, nie zna
swoich granic. A nawet jeśli zna, to
nie potrafi chronić. Patrząc na kobiety
z mniejszych miasteczek albo ze wsi
i mam wrażenie, że u nich jest w tej
kwestii lepiej. Kiedyś myślałam, że
brak świadomości i wiedzy, na co
mogę komuś pozwolić, a na co nie,
będzie charakteryzował raczej kobie-
ty niewykształcone. Ale tak nie jest.
Bardzo często w rodzinach, w kolej-
nych pokoleniach, idzie linia alkoho-
lowa. Dziewczyna, która miała ojca
alkoholika, wybiera sobie uzależnio-
nego partnera.

Bo to zna.

– I to jest dla niej bezpieczne.
W związku, w którym partner by nie
pił i nie bił, mogłaby się nie odna-
leźć, bo nie ma żadnych wzorców,
jak taką relację się tworzy. (...)

Jakie potrzeby kobiet ostatnio cię zaskoczyły?

– Nie przestaje mnie zaskakiwać
oczekiwanie, że mężczyzna ma za-
 dbać o stronę finansową związku. Bo
jednak kobiety dziś są samodzielne,
niezależne, potrafią o siebie zadbać.
Ale dość staroświecki wzór męskości
tkwi w ich wyobraźni bardzo głębo-
ko. Ważne jest też dla nich poczucie
bezpieczeństwa, kobiety chcą się przy
swoich partnerach czuć swobodnie.
Wiedzieć, że mogą wnieść do zwią-
zku cały pakiet oczekiwań, potrzeb,
marzeń, ale też lęków i dziwactw, i że
nic im nie grozi, nie będą oceniane.
Mają również wyidealizowaną wizję
związku. Myślę, że nic
złego nigdy nie będzie
się dziać, że zawsze będą
się świetnie z partnerami
dogadywać i że ten part-
ner będzie doskonały. (...)

Kobiety
na początku zawsze myślą, że będzie
dobrze. Bez refleksji, że sami jeste-
śmy odpowiedzialni za kształtowanie
bliskości, intymności, czułości. Sami
sprawiamy, że nasza relacja jest żywa
i prawdziwa, nie opiera się tylko na
logistyce, wymianie informacji – kup
chleb, wymień żarówkę. I my decy-
dujemy o ważnych dla nas sprawach
– interesujemy się sobą nawzajem,
mamy dla siebie czas czy nie? (...)

Fragmenty rozmowy
z książką Marty Szarejko
Seksuolożki. Nowe rozmowy,
Znak Horyzont, Kraków 2020



Sic transit gloria mundi

Tak przemija chwała tego świata. To słowa jak ulał pasujące do byłego dyrektora generalnego Andrzeja Papierza. Został on kilkanaście dni temu rzucony na odcinek desk oficera ds. polityki regionalnej w Europie Południowo-Wschodniej, w randze ministra pełnomocnego. Jeszcze wiosną trząśł gmachem i mógł wszystko. Miał być ambasadorem to w Pradze, to w Ankarze. Teraz robi opracowania dla dyrektora departamentu.

Cóż tak zmieniło jego los? Oficjalna wykładnia brzmi: Papierz wyłożył się na nowej ustawie o służbie zagranicznej, którą określił jako „niemającą skutków dla budżetu”. Czyli poświadczył nieprawdę. Wprowadził ministra, rząd i posłów w błąd. Celowo? Raczej nie, po prostu tyle ogarniał jego umysł.

Dołożyły się do tego procesy o mobbing wytoczone przez koleżanki i kolegów. Nie bez znaczenia były jego wybryki na kolejnych placówkach i w delegacjach, którym poświęciliśmy niemało miejsca. Ale decydujący wpływ na jego upadek miało wycofanie poparcia dla niego przez służby cywilne, z których trafił do administracji państwowej i później do dyplomacji. Oceniając zaś szerzej, musiał odejść, ponieważ nastąpiła zmiana nadzoru kadr nad MSZ. Do gry powróciły służby wojskowe, a cywilne musiały – nie pierwszy raz – się wycofać. To zresztą nic nowego, bo w ostatnich kilkudziesięciu latach to raczej wojskowi trzęśli gmachem.

Andrzej Papierz buduje sobie jednak, przy pomocy mianowanych przez siebie dyrektorów i zastępców, trawę ewakuacyjną. Jego żona, pani Krystyna Papierz, ma zostać na dniach kierowniczką wydziału administracyjno-finansowego w Rzymie. Tyle że w Rzymie jest etat

głównej księgowej oraz oddzielny kierownika administracyjnego, czyli KAF. Kogo zastąpi? A może stanowiska zostaną połączone? A kiedy do Rzymu pojedzie Andrzej Papierz? Na jakie stanowisko? Na te pytania stara się odpowiedzieć cała rzesza skrzywdzonych przez niego pracowników. Na razie na resortowej giełdzie dominują dwa rozwiązania – zastępca ambasadora albo szef przedstawicielstwa RP przy FAO (Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa).

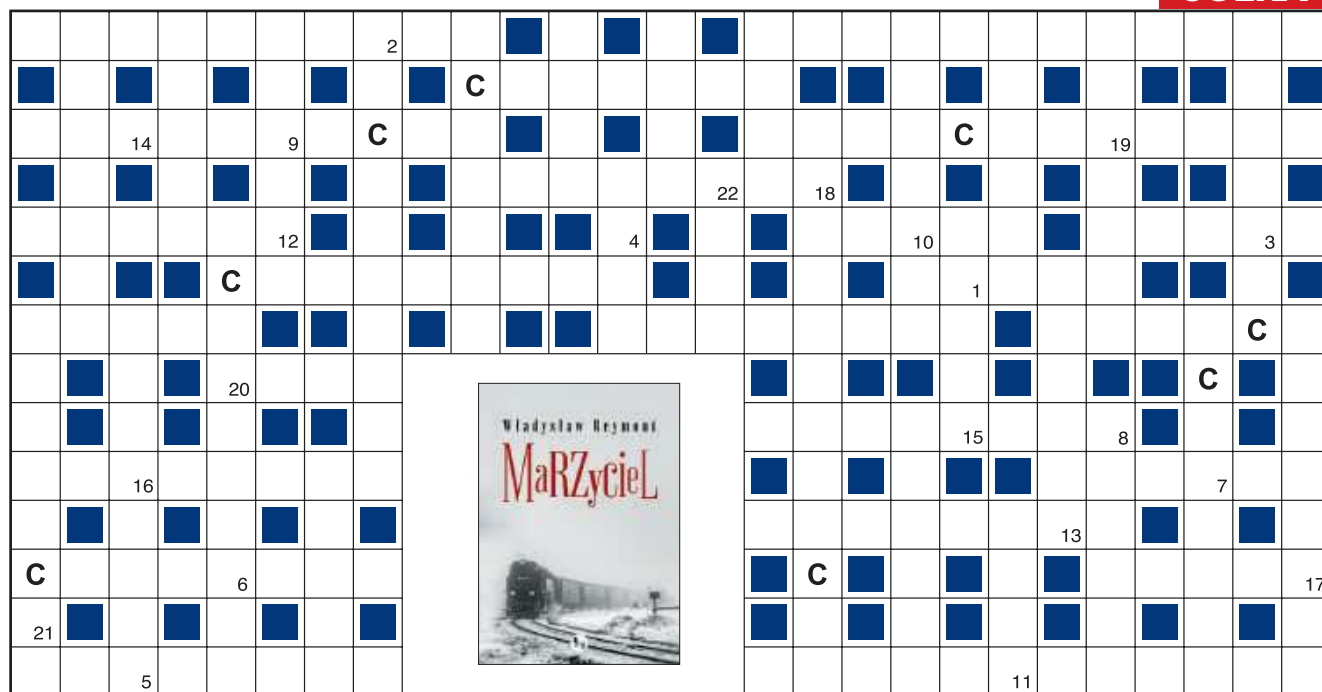
A o tym, jak nieprawomyślni są w dużej mierze pracownicy MSZ, świadczą wyniki czytelnictwa e-gazet w centrali i na placówkach. Otóż „Gazeta Wyborcza”, „Rzeczpospolita”, „Polityka” i „Newsweek” były znacznie popularniejsze od „Gazety Polskiej”, tygodnika braci Karnowskich czy innych pism wspierających rząd. W MSZ podjęto więc jedynie słuszną decyzję i zlikwidowano dostęp MSZ-owskiego ludu do gazet. Przywilej ten zarezerwowano jedynie dla kierownictwa. Będzie dostawało papierowe gazety na biurko, po uprzednim złożeniu zamówienia (ha, ha).

A zwykłym pracownikom MSZ pozostawiono tzw. wycinki prasowe, czyli wybór artykułów z mediów, dotyczących MSZ czy, szerzej, polityki zagranicznej. Do tej pory w popołudniowych wycinkach w poniedziałek można było przeczytać również naszą rubrykę. Od kilku tygodni jest na nas zapis. Inne artykuły z PRZEGLĄDU na temat spraw zagranicznych są w wycinkach, my nie. Dziękujemy za to wyróżnienie! Pracowników MSZ zapraszamy więc na nasz Facebook (TygodnikPrzegląd) w czwartek. Tam cenzura MSZ nie sięga.

Attaché

Big John – czaszka największego znanego triceratopsa ma 8 m długości i ok. 66 mln lat. Została wystawiona w Paryżu przed aukcją, która odbędzie się 20 października.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery C ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą końcowe hasło.

- pierwszy człowiek
- ornament lub film z Gregorym Peckiem i Sophią Loren
- grupa wysp
- Beringa lub Gibraltarska
- ... z Kartaginy, według niego „poza Kościołem nie ma zbawienia”
- Taras... – pseudonim Romana Szuchewycza

- surowiec dla snycerza
- w nim żył pierwszy człowiek
- prorok na ognistym wozie
- „...czyli o wychowaniu”
- potocznie o błonie fotograficznej
- ...publiczne to gospodarka pieniężna państwa

- silny, długotrwały ogień artyleryjski
- uderzać w nie to zasypiać
- taśma bawełniana w lampie naftowej
- czapka, w niej Baccarelli na autoportrecie
- figurowy taniec towarzyski modny w końcu XVIII w.
- i grzyby, i buty
- Fobos jest większym Marsa
- film Kubricka, adaptacja powieści Kinga
- w firmie, też zespołu lub piłkarza
- specjalista zatrudniony w hucie

- imię Polaka, który odbył lot w kosmos
- fałszywą usłyszy się czasem
- i globalne, i polepszenie relacji
- powodowany za dużą szybkością wrażeń wzrokowych
- towarzyszący czemuś, wydawany przez coś dźwięk
- godowy lub inkubacji
- osłona zabezpieczająca przed pociskami
- wiórki z obrabianego metalu
- blokowisko lub domków jednorodzinnych
- miasto nad Świdrem, obok Józefów
- wielkość typowa dla danego procesu, materiału
- napój gazowany typu cola

- ciężka zasłona z grubej tkaniny
- i reklama, i przejście do następnej klasy
- peryferyjna dzielnica
- wałek, na który coś się nawija
- najlepszy okres rozwoju
- plac targowy w mieście
- wątpli we wszystkim
- w duchownym alumn
- przez przeszkody na parkurze
- o mur w „Zemście”
- nieforemny pakunek, tłumok
- może być sylabotoniczny
- spadochronowa w Katowicach
- Klemensiewicz lub Kosidowski
- odczuwanie narastającego chłodu

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

.....

imię i nazwisko:

.....

adres:

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1029”. Do rozlosowania książki „MarZyciel” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 12 września 2021 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1026” z nr. 34: *Burzliwe życie wymaga steru.* Nagrody otrzymują: Zofia Biszewska ze Szczecina, Aleksandra Kołodziej z Białowej, Danuta Spychała z Elku.

PENETRACJE

ZDANIE

**PROF. ALEKSANDRA
JASIŃSKA-KANIA,
SOCJOLOGKA**

Czytanie Baumana może być inspirowane, ale jego tezy są raczej natury ogólnej. Podstawowa była taka, że żyjemy w czasie *interregnum*, kiedy stare instytucje nie potrafią już rozwiązywać aktualnych problemów, a nowe instytucje jeszcze się nie narodziły. Nie narodziły się jeszcze nowe idee, nowe koncepcje świata. A w dodatku żyjemy w „płynnej nowoczesności”, której płynność polega na tym, że każda instytucja, zanim zostanie w pełni uformowana, już zaczyna się rozpylić i zmieniać. W związku z tym wszystko jest bardzo mało przewidywalne. Pewna jest tylko niepewność. Stąd nie da rady w tej płynnej rzeczywistości wymyślić koncepcji, która mogłaby stanowić całościowy plan, zanim ten się zdezaktualizuje. Ludzie muszą poszukiwać rozwiązań na bieżąco.

**DZIENNIK
GAZETA PRAWNA**

**JACEK MARCZEWSKI,
FOTOREPORTER**

Flisacy wywodzili się ze zwykłych chłopów i mieli zakaz wstępu do większości nadwiślańskich miast. W niektórych nie został zdjęty do dzisiaj. Na całej Wiśle też ciągle widać historię. Nie ma jednolitego oznaczenia szlaków żeglownych – są takie jak za zaborów. Na górnej Wiśle, w Galicji, są wiechy i tyczki, na środkowej, czyli

w dawnym zaborze rosyjskim, są tyczki biało-czerwone i biało-zielone, a dolna Wisła to takie krzyże i koła. Od zaborów nikt nie zmienił systemu nawigacyjnego. Robienie z Wisły szlaku handlowego będzie po prostu nieopłacalne i nie znajdą się na to klienci. Dużo większe dochody przynosi turystyka.

WE

**MAGDALENA POPŁAWSKA,
AKTORKA**

Kiedys myślałam, że to normalne w tym zawodzie, że podważasz cały czas swoją pracę. Ale co innego zachować cały czas zdrowy dystans, a co innego ciągle krytykować. Szczególnie my, kobiety, jesteśmy w tym specjalistkami. Pod tym względem jesteśmy okropne. Okrutnie oceniamy siebie i innych. Nie doceniamy. Odkładamy siebie na później. Beznadziejny patriarchalny system: najpierw mąż, potem dzieci, a na końcu ona.

STYL

**CEZARY ŻAK,
AKTOR**

Uprawiam swój zawód dla poklasku! Brawa to dla aktora największy komplement. Albo wymowna cisza, jak podczas spektaklu „Dziewczyna z pociągu”, w którym teraz gram i który reżyseruję. Gdy słyszę oddech ludzi chłonących tę historię, a dopiero po chwili, gdy opadną wrażenia, biją brawa, jestem... szczęśliwy. To sens tego, co robię.

Aby język giętki...

**ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
O WŁODZIMIERZU CZARZASTYM**

Nie rozumiem, dlaczego się zawiesza ludzi, dlaczego się kogoś nie przyjmuje. Przeciwnie temu protestuję z całego mojego wnętrza.

**ANDRZEJ DUDA
W POTYCZCE Z POLSZCZYNĄ**

W każdej sytuacji trzeba wyważyć dobra – **wziąć** jedno dobro, **wziąć** drugie dobro i ocenić.

DANIEL PASSENT O DYPLOMATOŁKACH

Dyplomatołki, z głównym Dyplomatą Kraju na czele, kroczą w dyplomacji od porażki do porażki.

**HENRYK MARTENKA
O MATEUSZU MORAWIECKIM**

Umie zmienić zdanie bez najmniejszej fatygi umysłowej, więc może się nad uchodźcami rozplakać i postać im karton różańców.

PROF. MAGDALENA ŚRODA O SOBIE

Jestem socjalliberalną feministką i ateistką, przekonaną, że nie uda się obalić patriarchy bez obalenia kapitalizmu i kapitalizmu bez patriarchy.

KINGA DĘBSKA O POCZUCIU HUMORU.

To kwestia mojej indywidualnej, prześmiewczej, a nawet cynicznej osobowości.

RAFAŁ KRÓLIKOWSKI O ŻONIE DOROCIE

To mądra osoba i jest moim przeciwieństwem. Bardzo poukładana, racjonalna, silna w momentach kryzysowych. A jednocześnie romantyczna.

**KATARZYNA BŁĄŻEJEWSKA-STUHR
O MĘŻU MACIEJU**

Jest totalnie ugodowy. Muszę mu przypominać o różnych rzeczach, ale mamy do pomocy kalendarz *online* i inne aplikacje.

MONIKA BRODKA O RÓŻNORODNOŚCI

Wciąż mnie zaskakuje, że tak brnimy się przed tym, żeby wszyscy byli różnorodni, inni, ciekawi. Żeby ubogacić tę polską rzeczywistość.

WŁODZIMIERZ NAHORN Y O SŁONINIE

Jeżdżę na bazy, żeby sobie kupić kawałek słoniny. Nie takiej na pół centymetra, tylko takiej na cztery palce.



Roberto Benigni ze Złotym Lwem za całokształt twórczości na 78. Festiwalu Filmowym w Wenecji.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Nie potrafisz? Nie pchaj się na... krzyż

Tragicznie zakończył się ziemski żywot Jamesa Sakary, 22-letniego pastora z Zambii, który chciał udowodnić, że potrafi zmartwychwstać. W tym celu duszpasterz, który uważał się za proroka, namówił członków swojej wspólnoty, by go pogrzebali ze związanymi rękami. Gdy „dnia trzeciego” wierni odkopali grób, okazało się, że duchowny nie żyje; zmiany tego stanu nie przyniosły nawet zbiorowe modlitwy. Tak się kończy nadmierna wiara w siebie...

Tak się tego nie robi

Para z Michigan musi zapłacić synowi ponad 30 tys. dol. zadośćuczynienia za wyrzucenie jego bogatej kolekcji porno, a ponadto 14,5 tys. dol. jego adwokatowi – zdecydował sąd. 43-letni David Werking przez 10 miesięcy po rozwodzie mieszkał w domu rodziców, a gdy przeniósł się do innego miasta, dowiedział się, że pozbyli się oni jego zbioru filmów, czasopism i akcesoriów erotycznych. Sędzia podkreślił, że troska o pociechę nie oznacza prawa dysponowania jej własnością. Innymi słowy: syna swierszczyka się nie tyka!

Gołębiem go!

Studio Ragged Games z podwarszawskiej wsi Hornówek usiłuje podbić światowy rynek gier komputerowych symulatorem kłoszarda. „Bum Simulator” nie jest na szczęście próbą wiernego odwzorowania życia na ulicy, co byłoby raczej niestosowne. Gra, dająca uczestnikom dużo swobody, jest pełna ekscentrycznego humoru, na który składają się choćby możliwość wykorzystywania gołębi



jako broni czy odkrywanie tajemnic szczuroludzi. „Brudne zaułki, miejskie ulice, lombardy, park centralny i podziemne przejścia. Możesz iść, gdzie chcesz i kiedy chcesz”, zachęca producent. To my się jeszcze zastanowimy.

Batutą w wirusa

Ceniony węgierski dyrygent i kompozytor Iván Fischer przypominającą dawkę szczepionki przeciw COVID-19 przyjął zupełnie nietypowo, bo podczas koncertu. Zastrzyk wykonano przez dziurę w rękawie w koszuli, a maestro nawet na chwilę nie przerwał występu kierowanej przez siebie Budapeszteńskiej Orkiestry Festiwalowej. Chciał w ten sposób zwrócić uwagę melomanów na społeczne korzyści z profilaktyki przeciwepidemicznej. Gdyby mu wypadło, pewnie by dodał: kto się nie szczepi, ten trąba!

Galopująca głupota

Tymczasem w USA Agencja ds. Żywności i Leków (FDA) zaapelowała do obywateli, by zaprzestali przyjmowania leków weterynaryjnych w celu leczenia lub zapobiegania covidowi. Sporo osób trafiło bowiem do szpitala w związku ze stosowaniem iwermektyny przeznaczonej dla koni. „Nie jesteś koniem. Nie jesteś krową. Naprawdę. Prześcieńcie”, napisała na Twitterze FDA. Instytucja przypomina, że leki dla zwierząt mogą być niebezpieczne dla ludzi, poza tym żadna forma iwermektyny nie została zatwierdzona do walki z koronawirusem. Nie tylko w Polsce edukowanie pacjentów wymaga końskiego zdrowia.

MEMY BEZ ŚCIEMY





Polscy złoci medaliści Igrzysk Paraolimpijskich w Tokio. Róża Kozakowska zdobyła złoto i pobiła rekord świata w rzucie maczugą, a Piotr Kosewicz zwyciężył w rzucie dyskiem.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Paula Leśniewska, Maja Markowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikula, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumilowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczko, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burzelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoredaktorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. komunikacji i PR
Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszki, ul. Pułtuską 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPLPLP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



I koty syte, i myszy całe

Firma Because Animals opracowała recepturę karmy dla kotów, do produkcji której nie trzeba zabijać innych zwierząt, a jednocześnie znacznie bardziej przyjazną dla środowiska naturalnego. Mięso, z którego wytwarzane są Cultured Mouse Cookies for Cats, powstaje bowiem w laboratorium, z komórek pobieranych od myszy. Mysie ciasteczka mają trafić do sprzedaży już w przyszłym roku, a tymczasem trwają próby wyczarowania karmy dla psów z komórek królików. Know-miau, na którym można bazować, już jest.

Z parkietu do gniazdka

Klub SWG3 z Glasgow klimatyzację, oświetlenie i nagłośnienie będzie zasilać tańczącymi ludźmi. Jak? W przybytku zamontowany zostanie system przechwytyjący ciepło wydzielane przez klubowiczów. Wygenerowany w ten sposób prąd będzie mógł zostać wykorzystany od razu lub zmagazynowany. – BODYHEAT to nasz innowacyjny wkład w walkę z globalnym problemem. Pomoże nam radykalnie zmniejszyć zużycie energii, przybliżając nas do stania się miejscem neutralnym pod względem emisji dwutlenku węgla – wyjaśnia menedżer klubu Andrew Fleming Brown. Może więc zamiast elektrowni jądrowej Polska potrzebuje np. tysiąca nowych dyskotek?





Aneta Grzeszykowska, „Hair #1”, 2009/2021



Iwona Demko,
„Waginatyzm”,
2008-2009

Feminizm. Sztuka Kobiet

Kontrowersyjna „Olimpia” Katarzyny Kozyry, obnażająca wszystko to, co społeczeństwo spycha na margines – chorobę, nagość i śmierć, otwiera wystawę, która obejmuje również twórczość m.in. Magdaleny Moskwy, Doroty Nieznalskiej, Jadwigi Sawickiej, Elżbiety Jabłońskiej czy Poli Dwurnik. Jedne z ciekawszych dzieł to „Doktorantki” Agaty Kus, artystki najmłodszego pokolenia, i obraz Agaty Bogackiej „Nawiedzenie” z cyklu „Ja krwawię!”. 13 września o godz. 18

odbędzie się panel dyskusyjny dotyczący wątków feministycznych w sztuce artystek, zwłaszcza w obliczu dotkliwej zmiany społeczno-politycznej w Polsce ostatnich lat. W spotkaniu wezmą udział Katarzyna Kozyra i Izabella Gustowska, rozmowę poprowadzi Kazimiera Szczuka. Wystawa trwa do 16 września, tego dnia o godz. 19 wszystkie dzieła zostaną zlicytowane na aukcji w DESA Unicum przy ul. Pięknej 1A. Wstęp na wystawę i aukcję wolny.



Agata Bogacka, „Nawiedzenie”, 2003



Danuta Leszczyńska-Kluza, „Virgin”, 1976



Magdalena Sawicka, Bez tytułu, 2020

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Srebrny Niedźwiedź
za najlepszy scenariusz
70 Internationale
Filmfestspiele
Berlin

DAWNO, DAWNO TEMU BYŁ SOBIE SEN, KTÓRY JUŻ NIE ISTNIEJE...

ZŁE BAŚNIE

TA BAŚŃ BRZMI JAK ZGRZYT NOŻA PO SZKLE

REŻYSERIA DAMIANO I FABIO D'INNOCENZO



W KINACH OD 10 WRZEŚNIA

Projekt współfinansowany w
ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywne Europa”



♦ TEATR CAPITOL ♦



BRZECIWA

• 2020 •

REŻYSERIA
OLAF LUBASZENKO

PREMIERA - WRZESIEŃ 2021

OPRACOWANIE MUZYCZNE
JERZY MACZYŃSKI

KOSTIUMY
HONORATA PADROT

SCENOGRAFIA
KATARZYNA DĘBSKA

JOANNA BALASZ HALINA BEDNARZ MARTA BRYCJA KRZYSZTOF CHODOROWSKI JAKUB GĄSOŃSKI WŁADYSŁAW GRZYŃNA MICHAŁ KUCHARSKI HIROAKI MURAKAMI IGOR OBŁOŻA KATARZYNA PIASINSKA IWONA RULEWICZ DELFINA WILKOŃSKA



GRAMY BEZPIECZNIE

• KUP



• www.teatrcapitol.pl

Stowarzyszenie Teatr Capitol
ul. Chłodnia 10, 00-611 Warszawa
Kontakt: 22 620 21 42
www.teatrcapitol.pl



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Partner Medialny

MAXX

Radio

Województwo

ams

Polonia

Stowarzyszenie

Artystów

Familia

Partnerzy Teatru

bombini

Obag.pl

STREFA

MUSIC

Województwo